

Władysław Zambrzycki

**KASKADA
FRANCHIMONT**

Czytelnik · 1962

Niektóre fragmenty tej książki są trawestacją motywów wykorzystanych już raz przez autora w powieści pt. „Mgła nad Skaldą” (Wyd. „Awir”, Katowice, 1947)

OD AUTORA

Ponieważ w tej książce wszystko się obraca dokoła pojęcia „zwanze”, należałoby wyjaśnić i ustalić znaczenie tego terminu. Ale cóż, z ubolewaniem muszę się przyznać, że nie znalazłem ścisłej definicji.

Zresztą twórcy znakomitych słowników też nie spisali się lepiej. Taki na przykład Grand Larousse XX s. wymienia słowo „zwanze” jako: humour belge, co jest niesłusznym uogólnieniem. Niezawodny w większości wypadków Ludwik Quievreux poucza w swym Dictionnaire du Dialecte Bruxellois: Zwanze, plaisanterie, fumisterie.

I to wszystko, inne słowniki nic nie wnoszą. Poeta Ernest Verhaegen* pozostawił nam wiersz, w którym czytamy:

*Autrefois on aimait faire bombance,
Quand l'hiver venait
Et l'on supportait bien la zwanze,
Aux soupers et aux banquets
On bouffait à s'faire craquer la panse.*

Uwzględniając rubaszną szorstkość oryginału, można by tę zwrotkę tak przetłumaczyć:

*Nasi ludkowie chlali tego,
Kiedy zimowy powiał chłód,
Zwanze nie było im mitręgą,
Piwa i jada mieli w bród,
Aż kałdun pęczniał pod siermięgą.*

Co do etymologii słowa „zwanze”, to pisze o tym J. Vercoullie w swym Beknopt Etymologisch Woordenboek der Nederlandsche Taal: w późnym średniowieczu Swans (odpowiednik niem. Schwanz) — ogon, tren sukni, blagier, piękniś.

* Nie mylić z autorem „Les campagnes hallucinées”, Emilem Verhaeren.

Szedeł tedy w parze z czasownikiem swanzen — kluczyć, posuwać się z gracją, krokiem tanecznym, se dandiner. Stąd od XVIII wieku: zwanze, zwanzen (wymawiamy z polska zwanze, nie cwance).

Freud i jego następcy zlekceważyli w swych dociekaniach „zwanze” i jak się zdaje nie spostrzegli, iż jest to czynnik decydujący o wielu postępach świadomych, a nawet głęboko przemyślanych.

Bohaterowie tej opowieści są wrażliwi na „zwanze”. Chwała im za to. Ich osobliwe przygody pozwolą czytelnikom polapać się w tej grze psychicznej, którą chyba słusznie można by nazwać weselem umysłów nieprzeciętnych.

Zapamiętajmy ważny szczegół, że termin „zwanze” zrodził się wśród maluczkich, w najuboższej dzielnicy Brukseli zwanej Quartier des Marolles, w labiryncie zaułków między ulicami Haute i Blaes. Nie jest to więc wymysł pięknoduchów; jest to typowy kompleks, z którym niejeden z nas, rad czy nierad, miewa do czynienia, a który uszedł uwagi rzeczników psychoanalizy.

Szczęśliwy, kto trafnie odczuje „zwanze” i kto w sobie wyzwoli jego uroki.

ROZDZIAŁ I

Pułkownik Bodineau przegląda poranną pocztę. — List od Kuby Schroettera. — Ponętne ruiny Opactwa w Villers. — Spotkanie z Prosperem Pirotte. — Kozia ferma. — Depesza Havasa. — Jak to było naprawdę. — Niewinnie oskarżeni.

W Ardenach śnieg stajał, zazieleniły się drzewa. Weteran pierwszej wojny światowej, pułkownik Gaston Bodineau podszedł do okna i wyrzwał na rynek swego rodzinnego miasteczka Franchimont.

Rynek był pusty, ludzie już pracowali w ogrodach i na skrawkach nieurodzajnej ziemi. Pułkownik wrócił do biurka, zaczął przeglądać poranną pocztę. Tym razem korespondencja była wyjątkowo obfita. Od drukarza z Liège dostał korektę swej najnowszej pracy pod tytułem „Ma campagne mexicaine”. Bardzo go to ucieszyło. Obejrzał pobieżnie pulchną plikę odbitek, położył ją na rogu biurka i zajął się dalszym ciągiem korespondencji. Nie ma gwałtu, korekta może poczekać.

Pułkownik był nocnym markiem i lubił pracować w świetle prawdziwych świec woskowych, których blask nie męczy oczu, a płomyk wydziela przyjemny zapach pasieki. Cisnąwszy do kosza kilka reklam uzdrowisk i pensjonatów, kilka zaproszeń na koncerty, odczyty i otwarcia wystaw, pułkownik zajął się listami.

Wśród nich był jeden w podłużnej kopercie z godłem fabrycznym i nazwą firmy „Schroetter et Co, distillerie des liqueurs, Bruxelles-Anderlecht”. Godło wyobrażało świętego Michała, pogromcę piekieł.

Z przyjaznym uśmiechem pułkownik rozerwał kopertę. List pochodził od jego wiernego druha, Kuby Schroettera,

założyciela fabryki wódek i likierów. Gorzelnia nie była wielka, ale szła na dwie zmiany.

Kuba zwierzał się w liście, że wpadł na pomysł nowego likieru, któremu chciałby nadać cechy bogobojne.

„Upatrzyłem sobie — pisał — ruiny klasztoru kartuzów w Villers* znane jako Opactwo Św. Brunona. Zwiedzałem je niedawno i przy sposobności kupilem od przewodnika broszurkę. Z tego, co tam przeczytałem, wynika, że klasztor spłonął przed jakimiś 140 laty. Zapytuję, drogi pułkowniku, czy można wypuścić likier pod nazwą „Liqueur de l'Abbaye Saint-Bruno”. Proszę zważyć, że ludzie odczuwają dziwny pociąg do świątobliwych napojów, czego przykładem jest popyt na benedyktynekę. Chodzi mi głównie o to, czy kongregacja kartuzów nie rozpiekli się na mnie, czy nie wytoczy mi sprawy sądowej. A pan wie, panie pułkowniku, jak bardzo tego nie lubię...”

Oszołomiony pułkownik przerwał na chwilę lekturę listu, zrobił głęboki wdech, a potem sam do siebie zawołał:

— Mais c'est magnifique!

Zadzwoił na gospodynię, poprosił o dodatkową filiżankę kawy i czytał dalej:

„Jedyną słabą stroną mojego pomysłu jest fakt, że kartuzi z Villers nigdy nie wyrabiali żadnej gorzałki. Ach, panie pułkowniku, niech pan nad tym pomyśli i da mi znać, jak mam postąpić, aby, broń Boże, nie wpłatać się w proces z kongregacją”.

Pułkownik łyknął kawę, schował list do kieszeni i postanowił się przejść. Wybierał co rano zawsze tę samą drogę. Przecinał rynek Franchimont, mijał kościół, kamiennym mostem przechodził na drugą stronę rzeki Hoëgne i skręcał w lewo, na szosę, która biegła do Spa.

Lubił ten spacer, gdyż w każdej chwili mógł sięść i odpocząć na niskim murku oddzielającym drogę od rzeki,

* Opactwo Villers, założone w roku 1147 przez cystersów, spalone w roku 1796, leży w odległości 45 kilometrów od Brukseli. Malownicze ruiny są celem wycieczek turystycznych. (Przyp. red.)

mógł popatrzeć na wodę, na stadka wędrujących pstrągów, mógł wreszcie, jeżeli czuł pociąg do gawędy, odwiedzić kozią fermę starego dziwaka Prospera Pirotte, który zbierał srebrne pięciofrankówki z podobizną Leopolda II i nie wiadomo gdzie je chował.

Pstrągi sunęły pod prąd. Woda była tak czysta, słońce tak jasne, że pułkownik dostrzegał różowe cętki na rybach brzuskach. Zaczął się zastanawiać nad treścią listu Kuby Schroettera. No, pomysł świetny. Likier Opactwa Św. Brunona, tak, to budzi zaufanie. Tym bardziej że przecie istniało kiedyś takie opactwo.

Pułkownik siadł na murku i marzył. Jak by to było ładnie, gdyby Kuba mógł porozysłać do sklepów i restauracji nowy likier ze stylizowanym herbem samego opata. W grubościennych pękatach gąsiorkach. Szkło ciemnozielone. Korek z wypalonym napisem łacińskim. Szyjka zakończona przylutowaną kapsłą z ołowiu. Nad etykietą czerwona pieczęć lakowa.

Niestety, nie ma żadnego śladu, a tym bardziej dowodu, że cystersi z Villers pędzili kiedykolwiek alkohol. Nie ma dowodu, tak, nie ma dowodu... Ale, ale, nie ma też dowodu, że likieru nie wyrabiali. A gdyby się taki dowód nagle znalazł?

Pułkownik poczuł, że wpada w radosne podniecenie. Na prawym policzku wyskoczyła mu gałka, zadrgała pod skórą i znikła. Potarł palcami policzek, opanował się, zapalił papierosa.

Ogarnęły go rzewne wspomnienia o przyjaźni z dwoma Polakami*. Jeden z nich, Kuba Schroetter, pędzi teraz wódkę w Brukseli, drugi mieszka w Warszawie i bawi się literaturą.

Westchnął pan pułkownik, zaciągnął się dymem z pa-

* W tej książce występuje w kilku epizodach pułkownik Gaston Bodineau, główny bohater powieści tegoż autora „Nasza Pani Radosna” (wydał „Rój” 1931, wznowił „Czytelnik” 1957 i 1959). Tym, którzy nie znają pompejańskich przygód pułkownika, zalecamy ich przestudiowanie. Konfrontacja obu tych książek wypadnie nader zajmująco. (Przyp. red.)

pierosa i rzucił niedopałek do rzeki. Zdążający szosą wieśniak uchylił kapelusza.

— Mamy ładną pogodę, mój pułkowniku.

— A tak, mamy ładną pogodę. Co tam porabiają wasze kózki, ojczy Pirotte?

— Zdrowe, zdrowe, już tylko pięć mi zostało. Idę do Theux po starą prasę do wyciskania serów; była w naprawie.

Wieśniak poszedł, pułkownik wrócił do rozmyślań. Likier Opactwa Św. Brunona, likier sędziwy, poważny, dostojny, szlachetny, uroczysty, czcigodny, przez klientelę szanowany. Ach, jak by to było ładnie.

— „Le Jour”... „Le Soir”... „La Wallonie”...

Szosą maszerował sprzedawca gazet. Ujrawszy pułkownika, skłonił głowę i o nic nie pytając wyłożył na murek całą stertę.

— Jest co ciekawego?

— Jest, mój pułkowniku. Na stacji w Sottegem eksplodował syfon z wodą sodową. Pięć osób rannych.

Gazeciarski zgarnął pieniądze, podziękował i poszedł. Pułkownik zaczął przeglądać prasę. Nudna była, wciąż to samo w kółko o jakimś Hitlerze, o jego zachciankach zagarnięcia władzy w Rzeszy Niemieckiej.

— Nom de diousse! — zaklął po żołniersku pułkownik. — Kto to jest ten Hitler? I skąd się wziął?

Dalej były pocieszające wiadomości ze Stanów Zjednoczonych o przypuszczalnym końcu kryzysu, o nowej polityce gospodarczej Roosevelta, która daje coraz lepsze wyniki. Wśród rozmaitości pułkownik znalazł krótką depezę Havasa z Vlissingen o bezceremonialnym wtargnięciu turystów polskich do tamtejszego klasztoru sióstr jansenistek. Uśmiechnął się i pomyślał, że kto jak kto, ale Polacy miewają czasem oryginalne zachcianki.

*

A naprawdę sprawa pogwałcenia klauzury klasztornej tak się przedstawiała:

Polski statek „Kujawy” stał od kilku godzin w porcie Vlissingen i nie mógł się ruszyć z powodu gęstej mgły. Pan Ksawery i jego uczeń Błażej, znudzeni bezczynnością, postanowili dotrzeć do miasta choćby po omacku i zjeść coś oryginalnego w holenderskiej kuchni.

Znaleźli dobrą gospodę, gdzie ich nakarmiono jakąś rybą i szynką z rodzynkami. Wypili do tego po dwie wódki Hulstkampa, po dwie wódki Bolsa i po dwa kufle piwa. Syci, nieco rozmarzeni, chcieli wracać na statek. Ale zamiast do portu, dotarli do jakiejś zamiejskiej posesji i po krótkim błądzeniu znaleźli się w zaułku, z którego nie było wyjścia. Zresztą może i było, ale nie mogli odnaleźć. W wilgotnej ćmie Błażej namacał mur, a pod murem zwalone na kupę deski. Wytarł je chustką do nosa i rzekł:

— Niech pan spocznie.

Pan Ksawery usiadł, Błażej ulokował się obok. Tymczasem mrok zgęstniał, gdyż słońce już zachodziło i mgła mieszała się z nocą. Gdzieś w dali słychać było trwożliwe porykiwania parowców. Pan Ksawery, wzruszony troskliwością swego wychowanka, tak do niego przemówił:

— Chciałbym, drogi chłopcze, abyś wyrósł na czcigodnego człowieka, na rycerza bez skazy. Krótko mówiąc chciałbym ci przekazać całą moją wiedzę, którą zdobyłem w ciągu długiej i mozolnej wędrówki po tym świecie. Bądź mężny, Błażejku.

— Zgoda, mogę być mężny.

— Pielęgnuj cnoty, które stopniowo będę wpajał w twe serce.

— Zgoda, nie zapomnę o cnotach.

— I stań się mędrce.

Pan Ksawery głośno wytarł nos.

— Bardzo pana proszę, niech pan aby nie płacze.

— Kiedy nie mogę się powstrzymać.

— Niech pan nie płacze, bo i mnie zbiera się na płacz.

— Widzisz, Błażejku, gdy sobie pomyślę, że a nuż nie wchłoniesz moich nauk, to okrutny żal mnie ogarnia.

— Wchłonę, wchłonę, niech pan będzie spokojny.

— Żal mnie ogarnia, że takie skarby przepadną.

- Nie przepadną, już się o to postaram.
- Och, pocieszyłeś mnie, Błażejku. No to chyba zaczniemy od Talesa z Teb.
- Zgoda, niech będzie Tales.
- Przejdziemy potem do innych myślicieli, do Heraklita z Efezu, który głosił, że wszystko na tym świecie jest dysonansem, że wszystko płynie. Przerobimy Sokratesa, Platona, sięgniemy do pism filozofów, którzy uznawali cztery żywioły, zajmiemy się Filolausem, który uznawał pięć żywiołów.
- Im więcej, tym lepiej. Niech się pan nic nie krępuje.
- Omówimy naukę Demokryta o duszy ludzkiej złożonej ze świetlistych atomów.
- To może być ciekawe.
- Wspomnimy dobrym słowem Empedoklesa, który skoczył do Etny.
- Szkoda go.
- Zapoznamy się z Gorgiaszem, według którego nie ma nic, a gdyby coś było, to i tak nikt by o tym nie wiedział.
- Słusznie. Że też mi wcześniej nie przyszło do głowy.
- Omówimy dzieła światłego Kardeanesa. Postaramy się odtworzyć postać Tymona z Aten, strasznego szyderycy, którego w końcu wyszydono.
- Dobrze mu tak.
- Aż wreszcie, Błażejku, zajmiemy się wielkim Zenonem z Kiton, tym, co głosił męstwo, niezłomność, odporność na cierpienia, szlachetność i surową moralność. Chciałbym, mój chłopcze, żebyś był do niego podobny.
- Zgoda, będę podobny.
- Od filozofów antycznych przejdziemy do chrześcijańskich.
- Doskonale!
- Omówimy Tertuliana.
- Wybornie!
- Orygenesesa.
- Wiwat!
- Alberta Magnusa.
- W to mi graj!

- Potem... potem...
- Błażej odczekał kilka sekund i szeptem zagadnął o dalsze imiona filozofów. Okazało się, że pan Ksawery śpi.

*

Może to był odgłos, może złudzenie. Zdawało się Błażejowi, iż niedaleko, za murowanym ogrodzeniem, ryczy jakaś syrena okrętowa. Wszedł na deski, zbadał przestrzeń rękami i stwierdził, że murek jest dość niski, że łatwo można przeskoczyć.

- Panie, wracamy do portu.
- Co, co?
- Wracamy, niech pan wstaje. Przełazimy przez mur i zaraz będziemy w porcie.
- Przez mur?
- Tak, po tych deskach, pomogę panu.
- W chwilę potem byli po tamtej stronie. Szli trzymając się pod ramiona, wpadali na jakieś krzaki, na drzewa, na klomby, przewrócili z hałasem blaszane wiadro.
- Jesteśmy w ogrodzie — odezwał się Błażej — trzeba poszukać furtki.

Znaleźli ją po kilku minutach błądzenia, ale to nie była furtka od ulicy, bo kiedy pan Ksawery nacisnął klamkę i ruszył naprzód, rozległo się gdakanie. Jakaś kwoka, widocznie nagle przebudzona, frunęła na oślep i trafiła go w twarz. Pan Ksawery zachwiał się, zamachał rękami, a ponieważ nic nie widział i skakał na wszystkie strony, wypłoszył mnóstwo kur, które się rozbiegły po ogrodzie i zaczęły głośno lamentować.

- To kurnik — rzekł Błażej.
- I ja tak myślę — zgodził się pan Ksawery.
- W świetle zapalki stwierdzili, że istotnie znajdują się w kurniku.
- Tymczasem na zewnątrz zrobił się ruch. Słychać było głosy, bieganinę, stukot sabotów.
- Łapią kury — rzucił uwagę Błażej.

— Tak, łapią kury, wolałbym jednak stąd wyjść.
Pan Ksawery podszedł do drzwi, ujął klamkę.
— Olaboga — zawołał — zamknięto nas na skobel!

*

Noc spędzili w areszcie. Zgodnie z międzynarodowym obyczajem odebrano im krawaty i szelki, co pana Ksawerego okrutnie rozgoryczyło.

Następnego ranka dostali po kubku kawy z bułką. Koło południa, trzymając spodnie w garści, musieli przejść przez dziedziniec. Znaleźli się w trybunale policyjnym, gdzie pół godziny czekali na sędziego. Zdążyli zauważyć, że mgła zanika, że słońce oświetla już ziemię.

Sędzia zapytał ich po holendersku, następnie w kiepskiej francuszczyźnie, czy byli już karani za kradzieże i czy zamierzali przywłaszczyć sobie zawartość kurnika.

Nietaktowne pytanie wstrząsnęło panem Ksawerem. Wygłosił mowę obrończą powołując się na Abelarda, Kartezjusza i Fenelona.

W odpowiedzi na to sędzia przez kilka minut coś tam plótł, paplał, bąbał o szkodliwości alkoholu, wreszcie skazał pana Ksawerego na pięć florenów grzywny, Błażeja na dwa floreny i polecił im opuścić Holandię.

W kwadrans później odzyskali szelki i krawaty, po następnych piętnastu minutach znaleźli się w porcie. Tam ich poinformowano, że statek „Kujawy” odpłynął przed godziną.

— Nie martw się, Błażejku, to fraszka — mówił pan Ksawery. — Pojedziemy pociągiem do Brukseli, gdzie znam każdy kąt i żadna niemiła przygoda już nas nie spotka.

Wstąpili do fryzjera, wysłali depezę na przystań w Antwerpii z poleceniem zaopiekowania się ich walizkami i poszli na obiad. Tym razem ani jednego kieliszka wódki pan Ksawery nie wypił, nie pozwolił też pić Błażejкови.

ROZDZIAŁ II

Przyjazd do Brukseli. — To nie jest w porządku. — Namydlona uliczka. — W drodze do uniwerku. — Co się stało? — Pan Ksawery zwiedza stare zaułki. — Kwiaciarka na dawnym miejscu. — Tu był mój stolik. — Tkliwa opowieść o gałgacce mimozy.

Kiedy pociąg wjeżdżał na dworzec północny w Brukseli, pan Ksawery zdecydował:

— Zostawimy nasze walizy w przechowalni i pójdziemy szukać mieszkania. Tak będzie najlepiej.

Chciał zamknąć walizkę, nie mógł dać sobie rady z niesfornym zamkiem.

— Pomogę panu — rzekł Błażej. — Co pan taki zdenierwowany?

— Sam nie wiem dlaczego, mój chłopcze. Czuję się, jak gdybym miał spotkać ukochaną kobietę po dwudziestu latach niewidzenia.

Na peronie pan Ksawery rozejrzał się i oznajmił:

— To nie jest w porządku. O tam, nad tym dachem, powinno być ogłoszenie margaryny „Axa”.

Na wielkim placu przed dworcem zamiast kamieniczek z tanimi hotelikami pan Ksawery ujrzał potężny gmach hotelu „Palace” z dansingiem i własnym urzędem pocztowym. W pobliżu stał drugi drapacz chmur, hotel „Albert”.

— To też nie jest w porządku — powtórzył.

Chciał przejść z Błażejkiem przez bulwar Ogrodu Botanicznego, ale powstrzymał ich policjant i uprzejmym gestem wskazał na schody wiodące do tunelu. Zamiast kepi miał na głowie lśniący biały kask, na dłoniach białe rękawiczki.

— To nie jest w porządku — jeszcze raz orzekł pan Ksawery. Po chwili dodał:

— Całe szczęście, że choć hotel „Cecil” stoi na dawnym miejscu. Ale, miły Boże, dlaczego tak się skurczył, dlaczego jest taki mały?

Przeliczył piętra. Przy sposobności spostrzegł tabliczkę z nową nazwą ulicy.

— Spójrz, Błażejku, tu był zawsze Boulevard du Nord, a teraz widzę Boulevard Max. Nie wątpię, że burmistrz Max dobrze się zasłużył ojczyźnie, ale czy to się godzi odrzucać starą nazwę, która się zrosła z miastem?

— No, no, niech pan się już przestanie martwić — prosił Błażej.

— Widzisz, chłopcze, wszyscy ci magistraccy działacze, co tak skwapliwie zmieniają nazwy ulic...

Błażej nie dosłyszał dalszych wywodów, gdyż wpadła mu w oko ładna dziewczyna ze spanielem na smyczy. Pies miał uszy tak długie, że musiano je związać wstążeczką nad łbem, aby mu się nie wlokły po ziemi.

— I dlatego — zakończył pan Ksawery — taka goła tabliczka przypomina raczej Maxa Lindera, a nie burmistrza Maxa.

Szli ku śródmieściu, pan Ksawery coś tam opowiadał. Błażej co kilka kroków dostrzegał przyjemne dziewczęta ze spanielami, z ostrowłosymi jamnikami, z kerry blue, z airedale i jeszcze innymi terierami.

Pan Ksawery przystanął przed narożnym sklepem tytoniowym i rzekł:

— To nie jest w porządku. Tu nad wejściem powinien wisieć rzeźbiony w drzewie Indianin. Teraz widzę jakąś reklamę świetlną. Pozwolisz, Błażejku, że wejdę tam na chwilę i przemówię kupcowi do sumienia.

Wszedł. Błażej został na ulicy i znów się gapił na ładne dziewczęta, na ładne psy. Zachciało mu się pić. Pomyślał, że trzeba będzie naciągnąć wychowawcę na kufel piwa. Zajrzał przez okno do sklepu. Pan Ksawery, tkliwie uśmiechnięty, stał przed ladą, opowiadał coś sprzedawcy, ten zaś zawiązał w papier płaskie pudełko z cygarami.

W pięć minut później Błażej i jego mistrz raczyli się piwem.

— W porządku — mówił pan Ksawery — ten Indianin stoi wewnątrz sklepu na honorowym miejscu. Zdjęto go, żeby nie pękał od wilgoci.

— A co pan kupił?

— Ten sprzedawca, mój chłopcze, tak pięknie opowiadał o Indianinie, z taką troską wyrażał się o nim, że kupiłem dwadzieścia cygar.

— O, to pan pali cygara?

— Nie, nie palę, i właśnie się zastanawiam, dlaczego nie wziąłem zwykłych papierosów.

Rozwinął paczkę. Na pudełku był wyciśnięty napis „Don Pablo”, a spodem słowa „Colorado maduro”. Drewniana skrzyneczka wydzielala silny aromat.

— Już wiem, co zrobię — rzekł pan Ksawery — będę je dawał listonoszom po jednej sztuce. Pocztylioni są łąsi na cygara. Zawsze byli łąsi. Widocznie inaczej nie może być, takie jest prawo natury.

Kelner przyniósł im jeszcze po piwie. Zaczęli się zastanawiać nad wynajęciem mieszkania. Gdzie szukać dachu nad głową? W dzielnicy starej, czy w nowoczesnej? I jedna, i druga mają zalety, mają też wady. Nowoczesna jest dobra dla słuchaczy szkół technicznych, dla medyków i dla prawników. Dzielnica stara, nad którą wiruje wiew historii, jest bardziej odpowiednia dla humanistów.

— Ponieważ pan postanowił zrobić ze mnie mędrca — odezwał się Błażej — no to wybierzmy starą.

— Dobrze, wybierzmy starą — zgodził się pan Ksawery.

Kiedy idąc bulwarem Anspacha minęli Marché-aux-Poulets, Błażej nagle spytał:

— A gdzie stara?

— Jaka stara?

— Mówię o dzielnicy.

— Zaraz, Błażejku, zaraz, skrećimy w lewo.

Na Grand'Place Błażej stanął i zaniemówił. Wodził tylko oczami w koło, milczał.

— A co, mój chłopcze, podoba ci się stara? — spytał pan Ksawery.

To była typowa uliczka staromiejska opodal Grand' Place. Nieco koślawa, wąska, bez chodników, wyłożona przez całą szerokość kamienną kostką. Chodziło się po tej uliczce jak kto chciał, z jednej lub drugiej strony, naprzód lub w tył, w prawo lub w lewo. Jeżeli wjeżdżał tam jakiś wóz, to drugi nie mógł już wjechać, gdyż nie udałoby mu się wyminąć pierwszego, a tym bardziej zawrócić.

Nazywała się ta uliczka Petite rue des Bouchers, nazywała się tak od setek lat. I na szczęście żaden działacz magistracki nie wpadł na pomysł, żeby zmienić jej nazwę.

Pachniała ta uliczka korzeniami, piwem, rumianym tłuszczem, na którym smażono fryty. Była czysta, jak wszystkie uliczki w tym mieście. Co piątek gospodynie wносиły z domów kubły wrzątku, szczotki, szmaty, pudełka z szarym mydłem. No i myły swoją ulicę. Myły ją rzetelnie, zapamiętale. Szczotkowały jezdnię i ściany aż do okien pierwszego piętra.

W taki dzień uliczka kapała się w pianie, była mokra, ociekająca mydłem. Kobiety też były mokre, ale rzecz szczególna, nie zlorzeczyły światu i nie przeklinały króla. Słychać było ich głośne rozmowy i klekot lipowych sabotów.

— Błażejku — powiedział pan Ksawery — musimy czekać, póki nie skończą, bo teraz są nieprzytomne. Ta uliczka bardzo mi się podoba. Widzę w oknach kartony „Chambre à louer”. A dlatego mi się podoba, że jeszcze płoną na niej gazowe rewerbery.

— To chodźmy na spacer — rzekł Błażej — trzeba będzie powysłać pocztówki do znajomych, no i napisać do mego papy-satrapy, żeśmy szczęśliwie dojechali.

*

Dom, w którym wynajęli dwa sąsiadujące pokoje, był to typowy dom mieszczański, jednorodzinny, wąski, dwupiętrowy. Wchodziło się przez sionkę albo przez sklep spożywczy. Gospodyni, pani Teresa Loomans, wdowa, którą wszyscy nazywali po prostu ciotką Teresa, chlubiła się

ślusznie, że jej sklep istnieje w tym samym lokalu już z górą sto pięćdziesiąt lat i raz tylko był przez pewien czas zamknięty, kiedy go obrabowali żołnierze po bitwie pod Waterloo.

Pokoje, które mistrz i jego uczeń wynajęli wraz z utrzymaniem, znajdowały się na pierwszym piętrze. Pan Ksawery wybrał pokój od tyłu, żeby mieć ciszę, Błażej od ulicy. Jadalnia mieściła się na parterze, zaraz za sklepem, a była to właściwie kuchnia, tylko tak czysta i przyjemna, że bardziej przypominała pokój wypoczynkowy niż kuchnię.

Ciotka Teresa miała do pomocy kuzynkę, też wdowę, na którą mówiono Dikke Mee, bo była gruba. Te dwie kobiety prowadziły dom, prowadziły sklep, pielęgnowały lokatorów z pierwszego piętra, a same sypiały na drugim piętrze, gdzie też były dwa pokoje, ich prywatne.

— Wiesz, Błażejku, czego mi tu brak — rzekł pan Ksawery — brak mi fotela na biegunach. Myślę, że długo nie wytrzymam i w końcu go sobie kupię. Tak, nie wytrzymam.

Ciotka Teresa wezwała ich na dół. Zeszli do kuchni i siedli przy stole nakrytym do kolacji. Dostali, co było do przewidzenia, potrawę zwaną scholles z suszonej rai, ryby morskiej. Kto chce żyć tanio w Brukseli, ten musi się z tą rybą pogodzić, inaczej ani rusz. Ach, rybo, gdzie twoje sumienie? Rybo tandetna, nudna, pospolita! Rybo mizerna, nędzna, przez morskie odmęty wypluta! Rybo niewydarzona, poczwarna, pokraczna! Rybo plugawa, podła, niegodziwa! Rybo znienawidzona, złowroga, pogardzana! Rybo przekłeta, obrażająca, obmierzła! Rybo szkaradna, obrzydliwa! Rybo szpetna, wstrętna, ohydna! Rybo śliska, lepka, kleista! Rybo dropiata, trędowata! Rybo smrodliwa, rybo zjełczałym tranem cuchnąca! Rybo, tam do licha, bodaj cię wszyscy diabli wzięli!

— Błażejku — rzekł pan Ksawery — posmaruj toto musztarda, polej oliwą, posyp pieprzem i jedz. Popijaj piwem co pół minuty.

Piwo stało w dzbanku. Był to napój lekki, kwaskowaty,

prawie bez alkoholu, tak zwane piwo sezonowe. Pan Ksawery zapatrzył się na stary kolorowany miedzioryt wiszący na ścianie. Rysunek składał się z trzech równych części. U góry widniał napis „Les classes sociales”. Po lewej stronie artysta wyobraził chłopca orzącego ziemię, w środku szlachcica ze szpadą, a po prawej stronie księdza z brewiarzem. Pod figurami były kolejne teksty objaśniające: „Ja na wszystkich pracuję” mówił chłop, „Ja wam zapewniam bezpieczeństwo” mówił szlachcic, „Ja za was się modłę” mówił kapłan.

Weszła ciotka Teresa. Zachęciła ich, by jedli, i spytała, czy życzą sobie na noc grzałek.

Błażej rzekł się stanowczo, a pan Ksawery powiedział, że owszem, lubi mieć w łóżku butelkę z gorącą wodą.

Na zakręcie schodów, między parterem a pierwszym piętrzem, było dwoje małych drzwiczek. Jedne prowadziły do toalety, drugie do ciasnej łazienki z natryskiem.

— W Warszawie śpiewałem zawsze w wannie — odezwał się Błażej. — Jak pan myśli, czy można śpiewać pod prysznicem?

— A co śpiewałeś?

— Przeważnie arie z oper.

— Spróbuj, powinno ci się udać.

Nazajutrz rano podczas śniadania, smarując chleb masłem, pan Ksawery mówił do swego ucznia:

— Nie wiem, czyś zauważył, Błażejku, że jestem chytry, szczwany, przebiegły jak gęś.

— Nie, tego nie zauważyłem.

— No to się dowiedz i zapamiętaj, że wynajmując pokój z utrzymaniem wybieram zawsze taką gospodynię, która ma własny sklepik spożywczy. To bardzo ważne, mój chłopcze. Po pierwsze będą dobre śniadania, jak to, które mamy przed sobą. Co do obiadów, to mogą być gorsze. Ale spójrz na stół. Jest masło, jest wyborny ser z Kampiny, jest marmolada brzoskwiniowa, jest miód, jest

plaster szynki z Bastogne. Gdybyśmy nie mieli pod ręką sklepiku spożywczego, wybór na pewno byłby mniejszy. Po drugie, rzecz nader ważna, sklepik zaspokoi twoje i moje potrzeby. Otworzymy w nim sobie rachunek bieżący i będziemy czerpać, co dusza zapagnie, papierosy, zapalki, keksy, herbatniki, mydło, pastę do butów, koperty, znaczki pocztowe, butelkowany porter. Chyba teraz uwierzysz, Błażejku, że jestem przebiegły jak gęś.

— Zgoda, jest pan przebiegły, ale dlaczego jak gęś?

— Tego nie wiem, bo tak się mówi.

Pan Ksawery przekrajał okrągły plaster szynki. Jedno półkole położył na talerzu Błażeja, drugie na własnym i dodał:

— Tak się mówi w moim rodzinnym mieście.

— A skąd pan jest rodem?

— Z Radomia.

— Ohoho!

— Co za „ohoho”? — pan Ksawery zjeżył się, zerknął nieufnie na swego wychowanka. — Czy w twoim okrzyku „ohoho” mam się domyślać lekceważenia?

— Ach, skądże, panie Ksawery. Tylko, wie pan, kiedy jest mowa o Radomiu, to ludzie się zwykle uśmiechają.

— Niech się uśmiechają.

Słowa te zabrzmiały twardo, stanowczo. Pan Ksawery złożył serwetkę, wsunął ją do drewnianego krążka i rzekł:

— Mamy kilka wolnych godzin, aż do obiadu. Chciałbym ci, chłopcze, pokazać, jakimi ulicami będziesz chodził po zapisaniu się na uniwersytet. Humanistyka jest w starym gmachu, to nawet stąd dosyć blisko, może dziesięć minut piechotą. Chodź, pójdziemy.

Wyszli z domu, minęli Marché-aux-Herbes.

— O, widzisz, jak tu jest ślicznie — pouczał pan Ksawery. — Zaraz za tym kościołem będzie ulica, która się nazywa Putterie*.

— Ładnie się nazywa, no, no!

— Cóż robić, uszanujmy tradycję. Ulica Putterie jest

* Lepiej się nie zagłębiać w etymologię tego słowa. (Przyp. red.)

trochę koślawa i to jej dodaje wdzięku. Dalej będzie zaułek. Zaraz, zaraz, co to?

Pan Ksawery stanął w miejscu i patrzył. Zamiast zaułka wiodącego najkrótszą drogą do uniwersytetu, miał przed sobą wysoki parkan z desek oklejony barwnymi plakata-
mi. Patrzył i czytał:

„Odkąd używasz do warg pomadki LENTHERIC, ko-
cham cię coraz mocniej”.

„Zegarki LIP to sprawność i powodzenie”.

„THERMOGENE leczy grypę i reumatyzm”.

Pan Ksawery patrzył, patrzył, odczytywał plakat po pla-
kacie. A za ogrodzeniem coś huczało, zgrzytało, podrzucało
w powietrze obłoki kurzawy.

— Błażejku, źle się dzieje. Tam powinien być uniwersytet,
a widzę jakiś potworny dźwięk, czy coś w tym rodzaju.

Zatrzymany przez Błażeja przechodzień wyjaśnił krótko:

— Uniwersytet? Teraz jest za miastem w nowym gma-
chu, a tu budują centralny dworzec kolejowy*.

Stali jeszcze chwilę, spoglądali na zniszczenie, słuchali
łoskotu walących się murów. Pan Ksawery przemówił:

— Sztuka inżynierska bywa gorsza od trzęsienia ziemi.
Chodź, Błażejku, sprawdzimy, co ocalało przed furją ar-
chitektów.

Bez pośpiechu przeszli przez targowisko. Błąkali się po-
tem po krzywych uliczkach, zaglądali do mrocznych za-
kamarków, w których się przyczaiły wytwórnie medali-
ków z podobiznami świętych, tokarnie paciorków różań-
cowych i najdziwniejsze wśród wielu dziwów — rzeźbiar-
nie fajek z morskiej piany.

* Stary uniwersytet mieścił się w zabytkowym pałacu kar-
dynała Granvelli (1517—1586), który z ramienia Filipa II spra-
wował w Brukseli twarde rządy. Pałac ten znikł podczas ni-
welowania terenów pod dworzec kolejowy (Gare Centrale).
Budowa sześciotorowego tunelu oraz burzenie gęsto zaludnio-
nej dzielnicy, wszystko to zajęło wiele czasu. Dworzec stanął
dopiero w roku 1953. Wraz z pałacem kardynała Granvelli
znikła też zabytkowa ulica Dwunastu Apostołów, gdzie chęt-
nie się osiedlali studiujący w Brukseli Polacy. (Przyp. red.).

W wąskich okienkach leżały fajki w kształcie szyszki
sosnowej, orlich szponów, helmu z opuszczoną przyłbicą,
to znów w kształcie mopsa, lwiej paszczy, delfina z za-
winiętym ogonem, skulonego homara, końskiego łba, ba-
lonu Montgolfiera, gniazda pelikana, głowy Wiktora Hugo,
rozkwitłej róży, sfinksa, skręconej spiralnie muszli. Były
też wśród ozdób na fajkach motywy nieprzyzwoite, na-
wet wszeteczne, pełne poplątanych nóg, przypominające
stary herb Obojga Sycylii. Bezceństwa te leżały spo-
kojnie na framugach okiennych, współżycząc w sąsiedzkiej
zgodzie z różańcami i medalikami. Ale najczęściej spoty-
kanym na fajkach motywem zdobniczym był Turek w tur-
banie z rozczesaną szeroko, niby wachlarz, brodą.

Odwiedzili potem sklepiki bukinistów, obejrzeni wyło-
żone w oknach sztuchy, starodruki. Pan Ksawery był
smutny, nie mówił nic, a Błażej nie chciał mu mącić za-
dumy. Chodzili, przystawali, gapili się, wszystko w mil-
czeniu.

Dopiero kiedy wyszli na rue Saint Jean, pan Ksawery
nagle zawołał:

— Stoi, jak Boga kocham, w tym samym miejscu stoi.

— Kto stoi?

— Kwiaciarka. Ale inna, być może wnuczka tamtej
kwiaciarki, tamtej z moich czasów. Nie wytrzymam, kupię
sobie kwiatek. Eh bien, mademoiselle, poproszę gałązkę
mimozy.

Zapłacił, podziękował i patrzył przez chwilę na włocho-
te kulki.

— Chodź, Błażejku, tu powinna być studencka kawiar-
nia, w której niegdyś przesiadywałem. Może przetrwała.
Chodźmy, coś ci opowiem.

Kawiarenka była, ta sama co i dawniej. Weszli, siedli
przy oknie od ulicy, zamówili piwo. Pan Ksawery nie
kwapił się jednak z opowieścią, zwlekał, marudził, bawił
się gałązką mimozy, obracał ją w palcach.

— No co? — spytał Błażej.

— To był mój stolik, przy którym dawniej siadywałem,
o ile ktoś obcy mi go nie zajął.

- Rozumiem.
- A przy tamtym stoliku siadywał Kaden-Bandrowski.
- Tak, rozumiem.
- Okładał się książkami i kuł.
- No i co?
- Mówię, żebyś wiedział.
- Ej, panie Ksawery, pan nie to chciał opowiedzieć, pan coś zataja, pan się za bardzo przejął tym kwiatkiem. Tu chodzi o kobietę.
- Zgadłeś, Błażejku. Czasem myśli się płaczą, uciekają, a czasem nie chcą wyjść z ukrycia. Spójrz, przez okno widać handel kwiatami. Przesiadując tu przed laty, patrzyłem z uwagą w tamtą stronę, bo do stoiska podchodziła czasem drobna dziewczyna, studentka. Rozmawiała przyjaźnie ze sprzedawczynią i kiedy niekiedy kupowała kwiatki, zazwyczaj w sobotę.
- Żeby mieć na niedzielę, rozumiem. To może być ładna historia. Zaczyna się jak w angielskiej powieści romantycznej. Pan się zapewne zaczął, potem pan wyszedł nagle z kawiarni...
- Nie, Błażejku. Po prostu zwróciłem się do kwiaciarki, dałem jej pół franka i poprosiłem, żeby wręczyła ode mnie owej drobnej panience gałązkę mimozy.
- I tak się stało?
- Tak się stało.
- A co powiedziała tamta drobna panienska?
- Wedle relacji kwiaciarki miała zawołać: „Olala!”
- To wszystko?
- Tak.
- A pan co na to.
- Ponieważ tuż pod bokiem jest biblioteka publiczna, pobiegłem tam w te pędy i przewertowałem mnóstwo słowników, żeby ustalić, co właściwie znaczy „Olala”. Dowiedziałem się, że okrzyk ten zwiastuje wszelkie odmiany uczuć, zaczynając od gniewu i kończąc na wybuchu radości.
- Czyli, że pan się nic nie dowiedział.
- Nic, mój chłopcze.

- No i co dalej?
- Nic.
- I to ma być koniec opowiadania o gałązce mimozy?
- Koniec.
- Błażej nie był zachwycony. Szczerze to wyznał i dorzucił uwagę:
- Dwójka z minusem.
- Zamówili jeszcze po szklance piwa.
- Dwójka z minusem — powtórzył pan Ksawery. Wziął ze stołu gałązkę i znów się przyglądał złotym kulkom.
- A ta studentka — spytał Błażej — czy dowiedziała się przynajmniej, kto wyłożył pół franka na kwiatki?
- Nie, nigdy się nie dowiedziała.
- Wypili piwo, wstali. Na ulicy szalała włoska katarynka, wielka jak fisharmonia, głośna, rozhukana. Wyszli z kawiarni. Kobiecie, która kręciła korbą, pan Ksawery dał kilka drobnych monet.
- Grazie, padrone! — zawołała uszczęśliwiona tak hojnym datkiem.
- Błażej odezwał się do pana Ksawerego:
- Powiedziała „padrone”, słyszał pan? Podoba mi się ten zwrot i chciałbym go sobie przyswoić. Czy pan pozwoli, że odtąd będę pana nazywał patronem?
- Proszę bardzo, nazywaj.
- Pan Ksawery przyspieszył kroku, żeby uciec przed słodko-ckliwym refrenem. Błażej znów przemówił:
- Cała pańska opowieść o mimozie tyle jest warta, co ta piosenka z katarynki. Zabrzmiała, uleciała i zostawiła melancholię. Czy pan przynajmniej zna imię tamtej dziewczyny?
- Znam, Maria.
- Polka?
- Tak, kaliszanka.
- Olala! — zawołał Błażej. — Teraz już się domyślam, kim była ta delikatna panienska.

ROZDZIAŁ III

Wzmianka w gazecie. — Nic się nie zmieniło. — Straszny list z Warszawy. — Pan Ksawery rozpacza. — Dyskurs o mezaliansach polskich hrabiów. — Oryginalny pomysł zarobkowania na życie. — Depesza do Franchimont i uprzejma odpowiedź pułkownika.

Niepokój spadł na nich tegoż dnia, spadł nagle i nieoczekiwanie. Pan Ksawery rozbierał się właśnie, aby iść spać, gdy Błażej zapukał i wszedł trzymając w rękę „Le Soir”.

- Czy pan nie zauważył czegoś w gazecie? — spytał.
- Nie, a bo co?
- Bo tu piszą o nas.
- Piszą o nas? Bój się Boga, Błażejku, pokaż no to.

Gdzieś w rogu stronnicy, między sportem a ogłoszeniami, czaiła się drobna wzmianka pod tytułem „Turyści polscy pogwałcili klauzurę żeńskiego klasztoru”. Pan Ksawery czytał ze zgrozą:

Vlissingen (Havas). Do tutejszego portu zawinął polski statek „Cujavi”, z którego zeszli na ląd dwaj pasażerowie i nie wiadomo czym powodowani wtargnęli do klasztoru sióstr jansenistek.

Od roku 1708, czyli od secesji w Port-Royal, jest to pierwszy wypadek pogwałcenia klauzury tej kongregacji. Istnieje domniemanie, że turyści działali w podnieceniu alkoholowym. Starszy z tej dwójki, niejaki Ksawery Stkrłuski podaje się za filozofa, młodszy za jego ucznia.

- I co teraz będzie, Błażejku?
- Nic nie będzie.

— Ha, tak myślisz. Przecież to Havas, potężna agencja, która wszędzie dociera. Warszawskie gazety na pewno wydrukują tę wzmiankę i kto wie, może ją nawet upiększą, jak się to u nas zdarza. I co wtedy?

— No cóż, damy sobie radę.

Pan Ksawery zamyslił się, podbródek zaczął mu drgać ze zdenerwowania.

— Czy już pisałeś do ojca, Błażejku? Czyś podał nasz adres?

— Zaraz po przyjeździe wysłałem do papy pocztówkę z Manneken-Pisem, a jako adres podałem poste-restante.

— To dobrze — powiedział pan Ksawery.

W chwilę potem zaczął się zastanawiać, dlaczego ma być dobrze, kiedy jest źle.

*

Pan Ksawery z zadowoleniem stwierdził, że w ciągu trzydziestu ubiegłych lat obyczaje mieszkańców starej dzielnicy nic się nie zmieniły. Od poniedziałku do połowy soboty ludzie mówili tu po flamandzku. W każdą sobotę o godzinie czwartej po południu następował przełom językowy. Ci sami ludzie zaczęli między sobą mówić po francusku, co trwało do końca niedzieli. W poniedziałek rano wracali do flamandzkiego.

Pan Ksawery, jeszcze będąc studentem, chciał to zjawisko wyjaśnić i przeprowadzał ankietę. Odpowiadano mu jednomyślnie, że francuski jest językiem odświętnym, podczas gdy flamandzki jest to „moedertaal”, mowa na co dzień.*

Drugi obyczaj, który przetrwał i który nadal zdumiewał pana Ksawerego, był to lęk kobiet przed wychodzeniem samopas z domu w czwartki wieczorem. Dikke Mee i ciotka Teresa nie umiały tego wytłumaczyć, a na pytanie, dlaczego nie idą się przejść, odpowiadały zgodnie:

— No bo czwartek.

Pan Ksawery i w tym wypadku uciekł się był do an-

* Tłumacząc dosłownie: mowa matki. (Przyp. red.)

kiety. Ktoś mu powiedział, że jest to dalekie echo obław na niewiasty lekkiego prowadzenia, obław dokonywanych niegdyś co czwartek wieczór przez austriacką policję obyczajową. Choć od tych wypadków minęło półtora wieku, lek przed czwartkiem pozostał.

*

Nieprawdą byłoby twierdzenie, że pan Ksawery nie czuł niepokoju. Owszem, czuł, ale się przemógł. Wszedł do urzędu pocztowego na tyłach Giełdy i odszukał okienko z napisem „Poste-restante”. Okazało się, że właśnie przed chwilą nadszedł dla niego list. Na stemplu była Warszawa.

Rozerwanie koperty, kiedy się palce trzęsą, nie jest łatwe. Przekonawszy się o tym, pan Ksawery schował list do kieszeni, poszedł na place de la Bourse i rozejrzawszy się dokoła wybrał jeden z barów. Tam siadł przy stoliku, wyjął list i z pomocą zapalki rozdarł kopertę. Znalazł w niej wycinek z jakiejś gazety oraz kartkę z nagłówkiem „Bank Zjednoczonego Cukrownictwa” zapisaną drobnym pismem. Zaczął czytać:

Panie, proszę przyjąć do wiadomości, że stosunki z Panem uważam za zerwane; syna mego Błażeja nie wzywam na razie do Warszawy; rad byłbym jednak, gdyby Błażej rozstał się z Panem; ani Panu, ani Błażejowi nie zamierzam przysyłać pieniędzy; jeżeli wolno mi coś doradzić, to mniemam, że praca zarobkowa połączona ze wstrzeźliwością dobrze by zrobiła zarówno Panu, jak i mojemu synowi.

Zamaszysty podpis świadczył, że autor listu ma twardą wolę i niczego nie zechce odwołać.

Pan Ksawery jęknął, przyłożył rękę do serca.

— Żle się pan czuje? Un skokske au coeur? — spytał barman.

I nie czekając na odpowiedź sięgnął po butelkę z Amer

Picon, nalał nieco płynu na dno kielicha, potem łąpał kolejno butelki z wermutem Martini, z Indian Tonic, z jałowcówką Bolsa, ze smółką Bonnekampa i lał, lał, lał, wrzucił plasterek cytryny, dopełnił wodą sodową.

— Proszę, to panu dobrze zrobi.

Pan Ksawery wypił jednym łykiem. Napój wydał mu się gorzki, och, jakże gorzki.

*

— Pod koldrę niech mi pani wsunie butelkę z gorącą wodą.

— Już to zrobiłam. Będzie pan miał wygodne spanie. Powiedziawszy dobranoc, ciotka Teresa wyszła z pokoju, a pan Ksawery mówił do Błażeja:

— W chwilach życiowych katastrof, jak ta, która nas dziś dotknęła, wolę, mój chłopcze, nie iść na udry z rozszalałym fatum.

— Czyli, że pan przegrywa.

— Tylko pozornie, Błażejku, tylko pozornie. Boże dopomóż. Która to godzina?

— Za kwadrans dziewiąta.

— To przez piętnaście minut będziemy sobie gawędzili, potem stąd wyjdiesz, potem na trzy godziny pogrążę się w rozpacz, a o północy zażyję podwójną dawkę luminalu i będę spał aż do rana.

— Myśli pan, że taka trzygodzinna rozpacz dobrze panu zrobi?

— Na pewno. Gdybym ją zdławił, złe fatum wcisnęłoby się do mojej wątroby.

— Wygląda to tak, jak gdyby złe fatum czyhało na pana.

— A coś ty myślał, Błażejku. Ono tu gdzieś jest, krąży w pobliżu, czai się, zagląda, dybie, myszkuje.

— Brrr... Niech pan tak nie mówi, bo ciarki mnie przechodzą.

— Ale wyprowadzimy w pole złe fatum, mój chłopcze, wyprowadzimy w pole. Podaj mi, proszę, zapalki.

Błażej podał.

— Ty, jak widzę, Błażejku, nie masz zamiaru rozpaczać.

— Ani mi się śni.

— Czyżbyś się nic a nic nie przejął listem twojego ojca?

— Och, panie, to pan nie zna mojego papy. Powiem panu tyle, że mama też nie mogła z nim wytrzymać i drapnęła z francuskim dyplomata. Wzięli potem ślub i teraz żyją w najlepszej zgodzie.

— Czy to prawda, Błażejku, że twój papa jest hrabia?

— Tak, panie, jest potomkiem jednej z licznych córek Augusta Drugiego. Za to moja mama pochodzi z przedmieścia Paryża. Była tancerką w „Fol'Bergeres” i papa ją poznał za kulisami. Pan się kiedyś dziwił, że mówię po francusku z akcentem batignolskim. To po mojej matce, proszę pana.

Ksawery zamyślił się, spojrział na Błażeja.

— Warto by skonfrontować — rzekł — najnowsze zdobycze biologii z koligacjami polskich hrabiów. Coraz częściej arystokraci żenią się z tancerkami, pieśniarkami, aktorkami, w czym widzę dążność do odświeżania krwi, do ratowania wygasających ródów. Mezalianse takie mogą wydać niezłe potomstwo. Tak przypuszczam.

— O, jeżeli o mnie chodzi — zawołał Błażej — to wynik skrzyżowania jest znakomity. Po matce odziedziczyłem zwinność, zdrowe nerwy. A po ojcu, Bogu niech będą dzięki, odziedziczyłem tylko umiejętność wiązania krawatów.

— Powiedz mi, skąd wzięłeś takie niecodzienne imię. Przecież Błażej to odpowiednie dla starca, nie dla młodzieńca, i raczej dla ekonoma, dla gajowego, niż dla hrabicy.

— Mama mi dała francuskie imię Blaise, po polsku Błażej.

— Która godzina, Błażejku?

— Dochodzi dziewiąta.

— Za chwilę się rozstaniemy, inaczej nie można.

— I pan będzie rozpaczał aż do północy? Z lękiem o tym myślę, żal mi pana.

— Nic, nic, mój chłopcze, zapędzimy fatum w kozi róg.

— Cyt, patronie, fatum słuca.

*

Nazajutrz, choć dzień był słotny i wietrzny, a deszcz pomieszany ze śniegiem uderzał falami w ściany domu, pan Ksawery o zwykłej porze zeszedł na parter.

— Wypałem się — rzekł do Błażeja.

— A bardzo pan desperował?

— Strasznie, bite trzy godziny.

Ciotka Teresa przyniosła kawę. Na stole był jak zwykle biały chleb pokrajany, masło, ser, jakaś wędlina, miód i konfitura z moreli.

— Dlaczego pan się tak śpieszy? — spytał Błażej.

— Idę na pocztę.

— W taki deszcz?

— Muszę wysłać telegram.

— O, to ja pójdę, a pan niech się tymczasem zastanowi, z czego będziemy żyć, jeżeli mam studiować na uniwerku i uczyć się od pana różnych mądrości.

— Właśnie się nad tym zastanawiałem, mój chłopcze. Dowiedz się więc, że mi przysłała do głowy pewna myśl twórcza, z którą nie chciałbym się rozstać.

— Niechże pan pilnuje, żeby nie uciekła. Taka myśl to może być skarb.

— Zgadłeś, Błażejku, trzeba tylko pomysł rozwinąć, wcielić w czyn, przyoblec w ciało. Jak to zrobić, nie wiem. Jestem dyletantem w tej dziedzinie. Tu będzie potrzebna inna głowa, mocniejsza od mojej.

— A czy pan taką znajdzie?

— Może znajdzie, Błażejku. I właśnie dlatego chcę wysłać telegram.

— Wyślemy razem.

— Doskonale.

Pan Ksawery przełknął chleb z masłem, popił kawą i spojrział pytająco na ucznia, który oznajmił:

— Jestem gotów, możemy wyjść.

Na poczcie nie było tłoku. Pan Ksawery stanął przy pulpicie, wyjął z kieszeni wieczne pióro, wziął blankiet i zaadresował:

„Colonel Gaston Bodineau, Franchimont, par Theux.”

Coś jeszcze pisał, potem podarł blankiet, sięgnął po drugi, zamyślił się. Dopiero po kilku minutach udało mu się zredagować depeszę, która w przekładzie na polski miałyby taki wygląd: „Czy pan naprawdę istnieje? Jeżeli tak, to proszę mnie upoważnić do odwiedzin. Marzę o spotkaniu z panem. Mój adres: 14, Petite rue des Bouchers, Bruksela”. Własne nazwisko pan Ksawery wykaligrafował bardzo starannie, żeby telegrafista nie przekreślił.

— Co o tym sądzisz, Błażejku?

— No cóż, na razie nic, bo nie mam pojęcia, kto to jest ten pułkownik. Zwrócę panu tylko uwagę, że za przecinki, kropki i znaki zapytania liczą na poczcie jak za całe słowa.

— Wiem o tym, ale do pułkownika Bodineau nie można wysyłać skrótów. No bo jakże!

Wydało się to panu Ksaweremu takie zabawne, że aż się roześmiał.

— Chodź, napijemy się piwa.

W oberży na Grand'Place, gdzie zasiedli, Błażej chciał się coś dowiedzieć o pomysłe cennym jak skarb, ale pan Ksawery się zaciął.

— Nic ci na razie nie powiem — rzekł twardo — bo mógłbym pomysł zapeszyć i ze wszystkiego byłyby nici. Powiem ci kiedy indziej, może jutro.

— No to niech pan choć wspomni o tym pułkowniku. Dlaczego pyta go pan w depeszy, czy naprawdę istnieje.

— Bo nie jestem pewny, czy istnieje. Przed rokien „Rój” wydał w Warszawie książkę o pułkowniku Bodineau. Fantastyczna historia, wprost nie do wiary, a jednak tyle tam logiki, tyle nieznanych szczegółów obyczajowych, historycznych i geograficznych, że tego wszystkiego chyba nikt nie zmyślił.

— A kto jest autorem tej książki?

— Jakiś dziennikarz. Rozmawiałem o nim ze współwydawcą „Roju” podczas antraktu w Teatrze Polskim. Za-

gadnałem wręcz, czy historia opowiedziana w tej książce jest prawdziwa. „Mogę pana zapewnić, że jest prawdziwa” — odpowiedział wydawca i szybko wyszedł z palarni, bo właśnie rozległ się dzwonek. Miał przy tym dziwną minę, uśmiechał się zagadkowo, i do dziś dnia nie wiem, czy mówił z przekonaniem, czy żartował.

Do piwiarni weszła niewiasta w sztywnym czepku na głowie. Równoległe z rondem biegła różowa wstążka, na której można było odczytać: „Armée du Salut”. Sprzedawała broszurki pod tytułem „Sensacja w piekle”.

— Kupić? — spytał Błażej.

— Kup, koniecznie, to może być coś ciekawego.

*

— Pomysł zarobkowania — mówił pan Ksawery — jest prosty. Polega na tym, żeby wróżyć szczęśliwą przyszłość noworodkom polsko-amerykańskim. Jak wiesz, Błażejku, w Stanach Zjednoczonych wychodzą różnojęzyczne gazety, między innymi i polskie. Otóż chciałbym w nich zamieszczać drobne anonse, że gotów jestem opracować horoskop dziecka z daty jego narodzin, opracować gratis, zupełnie bezinteresownie.

— I cóż by pan na tym zarabiał?

— Tego nie wiem. W ogłoszeniu skierowanym do matek byłoby wspomniane, że do koperty można wkładać dolara na koszty przesyłki i manipulacji biurowych. Horoskop darmo.

— Ach, panie, zaczynam rozumieć. Jeżeli w kopercie znajdzie się dolar, to pan odpisuje, jeżeli nie ma dolara...

— To też odpisuję, bo obiecałem i muszę słowa dotrzymać.

— Tak, ale pan będzie miał straszną orkę z tymi horoskopami.

— Tu właśnie jest delikatny mankament mojego pomysłu. Chodzi o to, Błażejku, żeby nie było orki. No bo przecież nie zamienię się w astrologa, który ślęczy nad horoskopami niemowląt.

— Pan jest stworzony do wznioślejszych poczynañ.

— Niewątpliwie, ale musimy żyć.

— Musimy.

Pan Ksawery zapalił papierosa i mówił dalej:

— Dlatego wysłałem depezę do pułkownika Bodineau. Zdaję sobie sprawę, że trzeba będzie zastosować jakiś powielacz, czy coś w tym rodzaju, żeby naodbijać z góry zapas horoskopów. No bo mogą się zwalić zamówienia i wtedy zdechł pies. Ale jak się do tego zabrać, nie mam pojęcia. Tu tylko pułkownik mógłby coś pomóc.

Po chwili pan Ksawery dodał smutnym głosem:

— Odpowiedź nie przychodzi, zaczynam wątpić o istnieniu Gastona Bodineau. Kto wie, może warszawski wydawca zrobił ze mnie dudka.

Błażej był większym optymistą, bo odrzekł:

— Albo zrobił, albo nie zrobił. To się wkrótce okaże. Niech pan będzie cierpliwy. I niech pan choć cokolwiek hamuje nerwy, bo już podbródek zaczyna panu latać.

— Naprawdę, drga mi podbródek?

— Jeszcze jak.

Pan Ksawery przejrzał się w zwierciadle, podszedł do szafki, wyjął butelkę z napisem „Armagnac”, napełnił szklankę do połowy i wypił.

— Ciebie nie zapraszam, Błażejku — rzekł zamykając szafkę — albowiem przyrzekłem twemu ojcu, że cię wychowam w surowej trzeźwości.

— Niech mi pan lepiej nie przypomina o moim papie-satrapie — odpowiedział Błażej.

*

Pan Ksawery chodził po mieście, odwiedzał drukarnie, wypytywał o ceny akcydensowych druków, oglądał w sklepach maszyny do pisania, zaznajamiał się z różnymi systemami powielaczy. Nic nie kupił, niczego nie załatwił, bo nie wiedział, jak się do tego zabrać.

A przez ten czas Błażej zdążył obejrzeć wszystkie muzea brukselskie, był nawet w domu malarza Wiertza. Zaczy-

nał teraz nabierać przekonania, że dla zwalczenia nudy będzie musiał znaleźć sobie dziewczynę. Bo jak tu żyć, nie mając nic do roboty.

Dziewcząt dokoła było mnóstwo, dzielnica aż się od nich roiła. Chodziły najczęściej parami trzymając się pod ręce i uśmiechały się do chłopców. Był koniec marca, zanosilo się na kwiecień.

*

I tak mijaly dni. Razem minęło ich jedenaście od wysłania depezy do Franchimont. Pan Ksawery już nawet nie wymawiał nazwiska pułkownika i jeżył się, kiedy Błażej o nim wspominał.

Siedzieli właśnie przy wieczerzy, a ponieważ był piątek, ciotka Teresa podała im rolmopsy w oliwie, zasypane ziarnkami gorzycy. Jedli bez zapalu, nastrój był markotny. Wtem ktoś zadzwonił, w sieni rozległ się okrzyk:

— Facteur!

Pan Ksawery zerwał się na równe nogi i wybiegł. Wrócił w chwilę potem trzymając w ręku sinawy papierek. Podeszli pod lampę, otworzyli depezę i przeczytali: „Byłem w Irlandii. Uroczyście zapewniam, że istnieje. Czekam każdego dnia. Bodineau”.

— Ach, Błażejku.

— Ach, panie Ksawery.

Siedli do stołu, spojrzeli sobie w oczy, nic więcej nie mogli powiedzieć, póki nie ochłonęli. Ciotka Teresa spytała, dlaczego nie jedzą.

— Ależ jemy, jemy.

Pan Ksawery wybrał zwiniętego spiralnie rolmopsa, połał go oliwą, sięgnął po słoik z piklami, potem coś sobie przypomniawszy powiedział „pardon” i truchcikiem pobiegł na pierwsze piętro, skąd przyniósł butelkę z arma-niakiem.

— Błażejku, było nie było, wypijemy za zdrowie pułkownika.

ROZDZIAŁ IV

Pan Ksawery jedzie do pułkownika. — Serdecznie powitany, zatrzymuje się w pobliskim Verviers. — Zaczyna pisać teksty do przenoszenia na kamień. — Oberża pod glicyniami. — Wymiana listów z Błażem. — Kwaśne źródelko. — Stara litografia. — Pułkownik jest zachwycony.

Pan Ksawery wysiadł na stacji w Theux. Walizkę zostawił w przechowalni i spytał o drogę do Franchimont. Doradzono mu, żeby się trzymał ścieżki nad rzeką aż do kamiennego mostu, przez który trzeba przejść, a dalej już trafi. Szedł więc doliną rzeki Hoëgne, spoglądał w prawo i w lewo.

Kiedy rankiem wyjeżdżał z Brukseli, mżył deszcz, skurczeni przechodnie snuli się ulicami, nastroje były grypowe. A teraz praży słońce, na wzgórzach szumi bór, hałasuje rozrukana rzeka.

„Ładnie tu jest” — pomyślał.

Mijające go kobiety miały na głowach zabawne kapelusze słomkowe podobne do czepców zakonnych. Dojrzał wywieszoną oberżę, co mu przypomniało, że od rana nic nie jadł. Wszedł, zamówił posiłek. Czekając na zupę rozglądał się po izbie, a było na co patrzeć. Wzdłuż bielonych ścian wisiały kolorowe sztychy z czasów napoleońskich. Jeden przedstawiał bitwę pod piramidami, mameluków szarżujących piechotę skupioną w zwartym czworoboku. Jeźdźcy tureccy mieli surowe miny i takie same miny miały też ich konie. Na pierwszym planie leżała na murawie ręka francuskiego oficera, odrąbana wraz z jego szablą. Dłoń była w białej rękawiczce. Tuż obok poniewierała się noga piechura w bucie zapiętym na guziki.

— Podoba się panu? — spytała kelnerka wnosząc wazę. Ksawery przytaknął. Przez skojarzenie tematów wojskowych zagadnął dziewczynę o pułkownika Bodineau. Odpowiedziała z szacunkiem w głosie, że owszem, zna pana pułkownika, który tu czasem przychodzi na piwo.

Okno było otwarte, wiatr poruszał zwisającymi luźno gałązkami glicynii. Wśród liści można było dostrzec gdzieś bladobłękitny kwiatek.

— Coraz słabiej kwitną — poskarżyła się kelnerka. — Przed kilku laty o tej porze cała przednia ściana aż po komin była niebieska od kwiatów. Ziemia jest zła, piasek i kamienie.

Ksawery wtrącił uwagę, że można by ziemię użyźnić. Spytał potem, czy ludzie wciąż się modlą do Naszej Pani Radosnej.

— O tak — zawołała dziewczyna — niedawno był tu nawet biskup.

*

Pułkownik łyknął kawy, przedmuchał cygarniczkę i odpowiedział:

— Uwzględniając lata przestępne, trzeba by wydrukować trzysta sześćdziesiąt sześć pocztówek z horoskopami. Rzecz kosztowna i zastanawiam się właśnie, czy godna polecenia. Wszystko zależy od wyników kampanii reklamowej w gazetach amerykańskich. Jest to niewiadoma, którą można sobie wyobrazić, ale nie można obliczyć.

— To prawda — zgodził się Ksawery — reklama chwyci lub nie chwyci.

— Raczej powinna chwycić, bo w Stanach Zjednoczonych kończy się kryzys. Niektórzy są zdania, że już się skończył. Jednak ten Roosevelt to mądry gość.

Pułkownik wstał i zaczął się przechadzać po pokoju. Głównie trzymał wzniesioną, jak gdyby się spodziewał, że spłynie nań z nieba dobroczynne natchnienie. Chodził tak dość długo, wreszcie zatrzymał się przed Ksawerym.

— Czy był pan kiedy w litografii?

— Nie,

— To nic, drobiazg, wprowadzę pana w sekrety tego kunsztu. Przyszło mi właśnie na myśl, że cztery duże kamienie litograficzne zastąpią drukarnię i cały nakład pocztówek można będzie odbić za tani pieniąż. Co pan na to?

Ksawery przyznał się do niewiedzy i prosił o pouczenie. Mimochodem spostrzegł i zapamiętał, że pułkownik ma miłą, życzliwy uśmiech.

— Niech pan spojrzy — mówił stary wojak ze wzrastającym zapałem — kamienie litograficzne bywają tak wielkie, jak to biurko. Zdaje się, że na jednym kamieniu można zmieścić ze sto pocztówek. Czy pan umie pisać na maszynie?

— Owszem, nieźle.

— No to doskonale się składa. Siądzie pan do maszyny i machnie pan te trzysta sześćdziesiąt sześć horoskopów. Będzie pan pisał na woskowanym papierze przez specjalną taśmę litograficzną. Cały ten „bazar” zaniesiemy do litografii i rozmieścimy na kamieniach. Zapłaci pan tylko za zrobienie odbitek i za pocięcie na format pocztówkowy. No i za papier. Odpadnie największy wydatek, mianowicie zecernia, gdyż sam pan będzie sobie niejako zecerem. Rozumie pan teraz?

Pułkownik promieniał. Krokiem pełnym godności chodził po pokoju. Postawę miał zwycięską.

— Tak, drogi panie, dwadzieścia minut jazdy koleją to niedaleka droga. Niech pan jedzie do Verviers i zamieszka w hotelu. Jest tam stara litografia z dużym wyborem kamieni. Co prawda trochę partolą robotę, ale tanio liczą. Nie zależy nam zresztą na artystycznym wykonaniu pocztówek, byle tekst był czytelny.

Za drzwiami rozległo się skrobanie. Pułkownik nacisnął klamkę. Do pokoju wbiegł pstrokaty pies o ostrym pysku z pędzelkami na końcach uszu. Przystanął, jak gdyby zdumiony obecnością gościa, wciągnął nozdrzami powietrze i warknął.

— Spokój! — zawołał pułkownik.

*

Ksawery ciężko pracował. Na stole miał przed sobą następujące przedmioty: małego remingtona z polską klawiaturą, książkę pod tytułem „Uniwersalny słownik biograficzny”, karafkę z wodą, popielniczkę, paczkę papierosów, zapalki, pudełko z proszkami od bólu głowy, zegarek, dwa nugaty i torebkę miętówek.

Siedział nad remingtonem i w pocie czoła stukał w klawiaturę. Skończył właśnie jeden z kolejnych horoskopów. Sprawdził go i był zadowolony. Treść tak się przedstawiała:

Odpisując na list W. P. śpieszymy zaznaczyć, że opracowanie horoskopu sprawiło nam szczerą radość, albowiem dziecko urodzone 27 stycznia będzie miało wyjątkowe zdolności i może zrobić karierę artystyczną.

W dniu tym przypada paralaksa Neptuna i Wenera, a dzięki wpływowi Merkurego dziecko ma zapewnione powodzenie i dobre zarobki.

Dziecko urodzone 27 stycznia należy starannie pielęgnować, broń Boże nie bić, okazywać dużo przyjaźni. Odważemni się za to, kiedy dorośnie. Dzień szczęśliwy sobota, kamień szczęśliwy topaz. W dniu tym urodzili się między innymi: kompozytor „Wesołej wdówki” Lehar, sławny malarz Fragonard, japoński generał Kuroki i pan Zagłoba. Pokażcie ten horoskop Waszym znajomym i krewnym. Niech do nas piszą.

Ksawery sięgnął po miętową pastylkę, wyjął z maszyny papier i położył na kupce. Po chwili wypluł miętówkę i łyknął proszek od bólu głowy. Podszedł do okna, wyjrzał na ulicę.

Hôtel du Théâtre, w którym mieszkał, był siedliskiem aktorów. Mieścił się tuż przy teatrze miejskim, gdzie ta sama trupa grywała dramaty, farsy, opery i operetki. Ksawery dobrze się czuł w tym towarzystwie. Do Verviers przyjechał zaraz po pierwszej wizycie u pułkownika Bodineau, a nazajutrz zwiedził wraz z nim litografię i omówił szczegóły. Teraz oto ślęczał od kilku dni nad horoskopami.

I jak tu nie wierzyć w ludzką życzliwość? Maszyna, na której pisał, miała polskie znaki. Pożyczył mu ją pułkownik. Okazało się, że jest własnością autora książki o pompejańskich przygodach pułkownika.

A oto drugi przykład ludzkiej życzliwości. Kiedy Ksawery opowiedział aktorom o swych kłopotach z horoskopami, wyszperali mu w bibliotece teatralnej „Uniwersalny słownik biograficzny”. Mógł teraz cytować daty narodzin wielkich ludzi, przy czym dane książkowe urozmaicał własnymi dodatkami.

Horoskopy styczniowe dobiegały końca. Ksawery obliczył, że opracowanie całości zajmie mu co najmniej dziesięć tygodni. A dalej, przenoszenie na kamień, korekta, odbijanie. Pomyślał, że nie wróci do Brukseli wcześniej niż w końcu czerwca.

Odszedł od okna, założył świeży papier, zaczął pisać:

Z wyjątkową radością powitaliśmy list W. P., albowiem dziecko urodzone 28 stycznia będzie się odznaczało urodą, wdziękiem i rozumem, a dla rodziców stanie się w przyszłości wielką pociechą.

W dniu tym przypada transfiguracja Saturna z Plutodem, co sprawia, że dziecko rodzi się w glorii, niejako przeznaczone do zdobycia sławy i rozgłosu.

Dziecko urodzone 28 stycznia należy posyłać do polskiej szkoły, dawać mu dużo mleka i owoców. Uwaga: nie pozwalać na uprawianie boksu. Dzień szczęśliwy takiego dziecka czwartek, kamień szczęśliwy cyrkon. W dniu tym urodzili się między innymi: sławny matematyk Kacper Monge, faworyta królewska pani de Montespan, znakomity przyrodnik Cuvier i bohaterka wojny trojańskiej Piękna Helena. Pokażcie ten horoskop Waszym znajomym i krewnym. Niech do nas piszą.

Ksawery zmienił papier na wałku, westchnął. „Wciąż to samo w kółko”. Zaczął pisać następny horoskop, ale jakoś mu nie szło. Postanowił zejść na dół, do kawiarni, i pogawędzić z aktorami.

*

Błażej do pana Ksawerego:

„Drogi Patronie, przed chwilą otrzymałem Pański list z opisem Franchimont i domu pułkownika. Owszem, podobają mi się ten stary wojak. Jego pies, który warczy na gości, mniej mi się podoba. Pomyśl zastosowania litografii zamiast druku wydaje mi się znakomity. Tak, warto było jechać do Franchimont.

Będzie mi tu Pana brak, ale jakoś wytrzymam te kilka tygodni. Aby nie być samotnym, znalazłem sobie Walentynę. Jest to słuchaczka tutejszego konserwatorium muzycznego, klasy śpiewu. Ciemna blondynka, dobrze zbudowana, smukła, bardzo zdrowa i wspaniale pływa. Uczy mnie właśnie cawla w basenie Bains Leopold, dokąd chodzimy wieczorami. A czasem chodzimy do kina. Tylko niech Pan nie myśli, że puszczam gotówkę. Te 300 dolarów na horoskopy są nietykalne. Leżą w pudełku od cygar.

Gospodaruję groszem oszczędnie. Zapłaciłem ciotce Teresie z góry do 1 czerwca, jak Pan mi radził. Mam więc zapewnione utrzymanie mniej więcej do Pańskiego powrotu. Dalej zobaczymy. Walentyna wie, że przyjechałem tu na studia. Traktuje mnie jak kolegę i nie naciąga na zbyteczne wydatki. Aby się zrewanżować za cawla, obiecałem, że ją nauczę jeździć konno. Bardzo się z tego ucieszyła. W Bois de la Cambre jest piękny hipodrom. Byłem tam, ale wynajęcie koni okazało się tak kosztowne, żeśmy zrezygnowali na razie z nauki odkładając wszystko do lepszych czasów.

Z Warszawy nie nadszedł żaden list. Przypuszczalnie mój papa liczy na to, że po roztrwonieniu pieniędzy wrócimy ze skrucą. Zdziwiłby się, gdyby usłyszał, że zamierzamy założyć polsko-amerykańską centralę horoskopów.

Wie Pan, mam dużo czasu, aż za dużo. Może by mi Pan co zlecił, choćby wyszukiwanie dat urodzin wybitnych osobistości. Mógłbym w ten sposób dopomóc Panu w pracy nad horoskopami, tym bardziej że bywam codziennie na rue de la Régence w okolicy konserwatorium, gdzie się spotykam z Walentyną. Stamtąd parę kroków do bi-

bioteki. (Czytam teraz historię miasta opanowanego przez diabłów. Zalecił mi ją kustosz. Wstrząsające.) Niechże Pan przyśle wskazania, co i jak mam robić dla dobra astrologii. Ściskam Pana i do zobaczenia”.

*

Co kilka dni pan Ksawery rzucał pisanie horoskopów, siedł na dworzec kolejowy i jechał do Theux, skąd spacerkiem docierał do Franchimont. Zjadał obiad w gospodzie, podziwiał sztychy napoleońskie i bolał wraz z kelnerką, że glicynie tak mało mają kwiatów.

— Jeżeli nie zapomnę — rzekł kiedyś do niej — to spytam w Verviers ogrodników, co trzeba robić.

Po obiedzie Ksawery odwiedzał pułkownika i zdawał mu relacje z postępów w pracy. Pili kawę, gawędzili, a przed zachodem słońca szli na spacer w kierunku Spa.

Raz się zdarzyło, że zboczywszy nieco z drogi wstąpili na fermę ojca Pirotte. Była to duża posesja przytulona do prostopadłej ściany skalnej. Pośrodku dziedzińca biło źródelko zasilające wodą niewielką sadzawkę, ujętą w kamienny czworobok. Ksawery chciał się napić ze źródła, poprosił o kubek.

— Och, panie — powiedział ojciec Pirotte — tej wody nawet kozy nie piją, bo kwaśna. Muszę je pędzić do rzeki.

Ksawery zrobił uwagę, że być może źródło jest mineralne. Pułkownik wyjaśnił, iż wiele źródeł w dolinie Hoëgne można by na uparteo zaliczyć do mineralnych. Są to lekkie szczawy bez większych zalet. Eksploatacja ich byłaby nieopłacalna.

— Zresztą — dodał — istnieje w Spa jakiś Komitet Inicjatywy Balneologicznej, który zamierza, jak słyszałem, pobrać próbki wód ze wszystkich okolicznych źródeł i wysłać do analizy. Przypuszczam, że nie pominie sadzawkę ojca Pirotte.

Fermer poczęstował gości chlebem i kozim serem.

— Coś wybornego — zawołał Ksawery.

— Tak — przyznał pułkownik — to dobry ser, ale trudny do nabycia. Ojciec Pirotte ma swoiste wyobrażenie o handlu.

*

Ksawery do swego ucznia:

„Drogi Błażejku, ucieszyła mnie wiadomość, że bywasz w bibliotece. Owszem, przyjmuję Twoją pomoc. Spytaj kustosza, może tam mają książkę z kolejnymi datami urodzin na wszystkie dni roku. Na pewno był jakiś dziwak, co to napisał. Podkreśl w rozmowie z kustoszem, że chodzi tu o kolejność dat, a nie o alfabetyczny spis nazwisk. Tego rodzaju dorywcze opracowania widywałem w starych kalendarzach. Zależy mi zwłaszcza na datach urodzin znakomitości amerykańskich i polskich. Poszperawszy, znajdziesz. Mam tu pod ręką słownik biograficzny, rzekomo uniwersalny, ułożony niestety w kolejności alfabetycznej. Są w nim przeważnie francuskie nazwiska.

To dobrze, Błażejku, że twoja przyjaciółka uczy się śpiewu. Jest to jeden z zawodów, który szanuję i cenię. Ja też za młodu żyłem w przyjaźni ze śpiewaczką. Opo wiem Ci kiedyś.

Z pudełka od cygar wyjmij, Błażejku, 100 dolarów, zanies do banku des Pays Bas (na bulwarze Anspacha) i wyślij mi we frankach tu, do hotelu. Muszę dać litografowi większy zadatek, no i na papier. Załatw wszystko zaraz po otrzymaniu tego listu.

Ze swej strony wyślę Ci pocztą pół bryły koziego sera z Franchimont. Delicje. Dawniej wszyscy chłopci hodowali tam kozy, dolina słynęła z wybornych serów. Obecnie jest tylko jeden hodowca, już ostatni, w dodatku wielki dziwak. Żąda za bryłę 5 srebrnych franków z Leopoldem II, jak przed wojną, innych pieniędzy nie przyjmuje. Miałem sporo kłopotu ze zdobyciem pięciofrankówki, ale chodziło mi o to, byś poznał ten ser, który wkrótce zniknie i już się nie odrodzi. Tak giną cuda tego świata. Do zobaczenia, Błażejku, bywaj zdrow”.

*

Błażej do swego nauczyciela:

„Drogi Panie, wziąłem kustosza do galopu i już są wyniki. Przyniósł mi kilka książeczek z kolejnymi, dzień po dniu, datami urodzin sławnych ludzi. Wkrótce zacznę wysyłać wszystko, co Panu jest potrzebne. Dziś załączam pół setki dat urodzinowych różnych amerykańskich prezydentów, generałów i gubernatorów. Będzie więcej, nie zapomnę też o wybitnych Polakach.

Z Warszawy nie ma listów. W bibliotece zadomowiłem się na dobre. Odkrywam coraz więcej dziwów. Są i polskie książki. Proszę, niech mi Pan poda w liście nazwisko autora tej powieści o pułkowniku Bodineau, może tam ją mają, a chętnie bym przeczytał. Ser znakomity, dziękuję”.

*

Prasa zgrzytnęła, wałek przejechał po kamieniu. W chwilę później pułkownik trzymał oburącz wielki arkusz pokryty czworokątami w formacie pocztówkowym.

— Poproszę o nożyczki — zawołał.

Kiedy mu je podano, odciął długie pasmo, zwinął w rolkę i zwrócił się do pana Ksawerego.

— Chodźmy na kawę. Chciałbym się zorientować w nastroju tych przepowiedni.

Poszli na place Verte i siedli przy kawiarnianym stoliku pod gołym niebem. Wzruszony pułkownik rozwinął zwój, złożył go w harmonijkę, wyjął z kieszeni scyzoryk i zaczął rozcinać gruby papier.

— Format w porządku — orzekł — trudno było lepiej utrafić. Teraz potasuję, wyciągnę pierwszą lepszą pocztówkę i poproszę pana o dosłowny przekład horoskopu.

Ksawery zaczął czytać, tłumacząc na francuski:

— Dawnośmy nie odczuwali tak wielkiej radości jak dziś, po otrzymaniu listu W. P., albowiem dziecko urodzone 11 marca będzie miało skłonność do zajmowania wysokich stanowisk. Może nawet zostać gubernatorem. W dniu tym wypada hypertransfiguracja Jowisza z Księżycem, dzięki czemu dziecko stanie się chlubą rodziny i parafii...

— Ça est bon — mruknął pułkownik uwzględniając lokalną wymowę.

— Dziecko urodzone w tym dniu — czytał Ksawery — należy traktować sprawiedliwie, dobrze karmić i często kąpać. W mieszkaniu powinien być porządek, a w rodzinie spokój, żeby dziecko nie było świadkiem kłótni i scen gorzających...

— C'est magnifique!

— Odwzajemni się za te starania, kiedy dorośnie. Kamień szczęśliwy takiego dziecka ametyst, dzień szczęśliwy piątek. W dniu tym urodzili się między innymi: prezydent Transwalu Krüger, podróżnik Marco Polo, papież Juliusz II, kołodziej Piast i J. C. Gregory, gubernator stanu Wyoming. Pokażcie ten horoskop Waszym znajomym i krewnym. Niech do nas piszą.

— Epatant! Coś wspaniałego!

Z zachwytu pan pułkownik stracił na chwilę orientację. Zamiast kostek cukru wrzucił do kawy dwie zapalki i usiłował zamieszać papierosem.

Przejrzeli jeszcze kilka horoskopów. Pułkownik spytał:

— Czy pan lubi dzieci?

— Nie, a pan?

— Ja, tak sobie, nie za bardzo.

— Jednak na pańskiej posesji widuję małego chłopca, biega po ogrodzie. Raz nawet mierzył do mnie z łuku.

— To mój przybrany syn. Przywiozłem go sobie z dalekiej podróży... hm... chciałem powiedzieć...

Pułkownik zająknął się, urwał w połowie zdania. Po chwili dodał nieoczekiwane zakończenie:

— Ach, to było takie coś. Lepiej o tym nie mówmy. Może kiedyś...

Zapłacili za kawę i poszli w kierunku stacji kolejowej.

ROZDZIAŁ V

Dalsza wymiana korespondencji. — Co to jest „zwanze”? — Sól na porost kwiatów. — Błażej w Bibliotece Królewskiej. — Telefon do fabrykanta likierów. — Pan Ksawery wraca do Brukseli. — Zjawia się Walentyna. — Odkurzacz na raty. — Och, Błażejku, odpukaj.

W sąsiednim pokoju artystka teatru miejskiego odśpiewywała po raz szósty arię z „Poławiaczy perel”, myśląc się stale w tym samym miejscu. Pan Ksawery, choć sobie powtykał watę w uszy, nie mógł układać horoskopów. Zabrał się więc do korespondencji.

Ksawery do Błażeja, wyjątek z długiego listu:

„Nie, chłopcze, nie przyjeżdżaj. Twoja obecność zahamowałaby tempo mojej pracy. Zbyt dobrze znam nas obu, Ciebie i siebie. Czas by nam upływał na gadaniu, a tu trzeba pisać, pisać, wlatywać ku gwiazdom.

Muszę Ci się przyznać, Błażejku, do pewnego żartu, na który sobie pozwoliłem. Był taki pechowy dzień, że nie zastałem we Franchimont ani pułkownika, ani kelnerki w tamtejszej oberży, gdzie czasem jadam obiady. W kieszeni miałem kartonowe pudełko, a w nim ćwierć kilo ogrodniczej mieszanki soli mineralnych do zasilania roślin (ten mały prezencik obiecałem kelnerce). Nie mając nic lepszego do roboty, wstąpiłem na fermę ojca Pirotte, ostatniego wytwórcy kozich serów. Gawędziłem z nim o jego kłopotach, gdy raptem zjawili się delegaci Syndykatu Inicyjatywy Balneologicznej ze Spa. Fermer wyszedł na ich spotkanie, a ja, Błażejku, coś mnie podkusiło, nie mogłem się opanować, no i wyspałem ową mieszankę soli mineralnych do źródelka, które bije na dziedzińcu fermy. Na-

stępnie siadłem na ławce pod lipą i udawałem, że czytam gazetę.

Tamci panowie, być może, nawet nie zauważyli mojej obecności. Zerkalem na nich spoza gazety i doskonale pamiętałem każdy ich gest. Jeden wyjął z teczki trzy podłużne flakony szklane i pobrał próbki wody. Drugi zalakował i przyłożył pieczęcie. Trzeci wyciągnął z futerału termometr i zmierzył temperaturę źródła. Potem zrobili szkic sytuacyjny, spisali protokół i poszli.

A we mnie serce łomotało na myśl, co z tego wyniknie. I czy mój postępek jest «zwanze», czy też nie jest. Z pewnością nie znasz tego słowa. Wy tłumaczę Ci po powrocie, gdyż to wymaga dłuższej gawędy urozmaiconej przenośnikami i anegdotami. Określenie «zwanze» jest jeszcze żywe w gwarze brukselskiej, zwłaszcza w dzielnicy Marolles, i tylko tam je rozumieją”.

*

Wyjątek z listu Błażeja do pana Ksawerego:

„Walentyna zna słowo «zwanze». Gdybym siedział w teatrze na galerii — powiada — i gdybym rzucił stremowanej śpiewaczce wiązaną kwiatów, a potem się więcej nie odezwał, byłby to postępek w stylu «zwanze». Ale gdybym załączył bilet wizytowy, to już nie byłoby «zwanze». Tak mówi Walentyna”.

*

Wyjątek z listu pana Ksawerego:

„Litografia przynagła, muszę się śpieszyć. Nadsyłane przez Ciebie daty urodzin są dla mnie wielką pomocą. Wkrótce zaczniemy rozmieszczać teksty na czwartym kamieniu. W końcu czerwca powinienem wrócić do Brukseli.

Teraz dopiero widzę, Błażejku, jak zbawienny był pomysł zastąpienia druku litografią”.

*

Wyjątek z listu Błażeja:

„Niech Pan sobie wyobrazi, że w Bibliotece Królewskiej wśród polskich nowości znalazłem książkę pod tytułem «Nasza Pani Radosna, czyli dziwne przygody pułkownika armii belgijskiej Gastona Bodineau», wydał «Rój», Warszawa 1931.

Przeczytałem w dwa dni. Ach, panie, to pisał jakiś zuchwały kpiarz. Tak czy owak, od tej lektury mam zawieruchę w głowie. Są tam zagadki, które chciałbym wyjaśnić. A sama książka, co tu dużo gadać, świetna.

Drogi Patronie, niech mi Pan przyśle fotografię psa z pędzelkami na uszach. Koniecznie. I radziłbym Panu wziąć na spytki proboszcza Seutesa”.

*

Wyjątek z listu pana Ksawerego:

„Do czego Ci potrzebna psia fotografia? No cóż, jeżeli się wybiorę z pułkownikiem na przechadzkę do Theux, to może się zgodzi wstąpić z psem do fotografa. Nie wiem, jak uzasadnić taką zachciankę, gdyż pies okazuje mi raczej niechęć. Proboszcza nie będę brał na spytki, no bo jakże, duchowna osoba”.

*

Wyjątek z listu Błażeja:

„Byłem na poczcie, coś mnie tknęło, zacząłem przerzucać książkę telefoniczną i w dziale podmiejskim znalazłem: «Schroetter & Co, distillerie des Liguers, Anderlecht». Rzecz jasna, że zaraz zadzwoniłem. Rozmowa miała taki przebieg. On, podnosząc słuchawkę:

- Et bien?
- Czy to Kuba?
- Tak, Kuba. To ty, Władziu? Przyjechałeś?
- Nie Władzio, tylko Błażej.
- Jaki Błażej?
- Taki Błażej.

— Mówże, gamoniu jeden.

— Nie gniewaj się, Kuba.

— Ale kto mówi?

— Błażej.

W tym miejscu mój rozmówca rzucił słuchawkę na widelki.

Wniosek: opisany w książce Kuba nie jest postacią urojoną”.

*

Depesza: „Prześlij mi 150 dolarów przez bank, wracam za tydzień, Ksawery”.

*

Zakończenie listu Błażeja:

„Dziękuję za psią podobiznę. W moim przekonaniu cała ta pompejańska historia jest czelnym wybrykiem literackim. Autor po prostu dworuje sobie z czytelników, z całego świata. Ale na Boga, dlaczego pułkownik Bodineau, o którym wspomina pan w listach z najgłębszym szacunkiem, dał się w to wszystko wplątać? Dlaczego napisał przedmowę?

Tak mnie te pytania zdenerwowały, że się poskarżyłem przed Walentyną. Ona, proszę sobie wyobrazić, odrzekła po krótkim namyśle: Wszystko to może być «zwanze» mój Błażejku.

Wie Pan, podczas ostatnich spacerów po Bois de la Cambre rozmawialiśmy dość dużo o «zwanze» i tak to sobie teraz wyobrażam:

Prawdziwe «zwanze» powinno być bezinteresowne, zafajone, wytworne i zabawne. Innymi słowy jest to wysublimowany żart, dla większości ludzi niezrozumiały, a tak osobisty, że pozostawia radość na całe życie.

W domu spokój. Z Warszawy przyszły dziś dla Pana dwa listy. Przeadresowałem i za chwilę wrzucę do skrzynki pocztowej”.

*

Wyjątek z listu Ksawerego:

„Twoja dziewczyna podoba mi się coraz bardziej. Trafnie Ci wytłumaczyła znaczenie słowa «zwanze». Wracam pojutrze (wtorek). Gdybyś miał ochotę, to wpadnij na Gare du Nord. Przyjadę o 6 wieczór z minutami. Jutro wybieram się do Franchimont, by złożyć pułkownikowi pożegnalną wizytę”.

*

— Zgadzam się z panem — rzekł pułkownik — Polacy są indywidualistami. Gdybym Polaka miał z kimś porównać, to chyba z Irlandczykiem. Te same skłonności, te same zalety serca i charakteru. Spędziłem niedawno tydzień w Irlandii i wróciłem oczarowany. Co prawda, na dworcu kolejowym w Dublinie skradziono mi walizkę.

— Obawiam się — wtrącił Ksawery — że w Warszawie mogłoby pana spotkać coś podobnego.

Pułkownik mówił dalej:

— Widocznie cudza walizka ma w sobie jakiś powab, jakiś urok rzeczy nieznannej, zagadkowej, pełnej sekretów i niespodzianek. Myślę, że człowiek polujący na cudzą walizkę dąży przede wszystkim do zaspokojenia ciekawości, że pcha go do tego pasja odkrywcza.

Siedzieli w wygodnych fotelach, przedzieleni stolikiem, na którym stała gliniana kafetierka. Pułkownik zajrzał do filiżanek i dolał kawy.

— Aha — rzekł — byłbym zapomniał. Czy pan wie, że do Legii Cudzoziemskiej tłumnie się garną Polacy i Irlandczycy? Nie są to dezernerzy i elementy przestępcze, lecz dzielni poszukiwacze przygód.

— Wiem — przytaknął Ksawery — przed wojną co drugi warszawiak marzył o wstąpieniu do Legii.

Weszła Anetka, zaczęła coś żywo opowiadać pułkownikowi. Mówiła po wallońsku, była podniecona.

— Ça y est! — zawołał pułkownik. — Zaraz ich powitam.

I zwrócił się do pana Ksawerego.

— Spotkał mnie zaszczyt nie lada, chłopci przynieśli mi

w darze sarenkę. Podobno pies ją ścigał i wpadła do jakiejś fermy. Wypijmy kawę, trzeba będzie zejść. Dla wyjaśnienia powiem panu, że rozstrzygnąłem i załatwiłem szczęśliwie odwieczny spór dwu wiosek, które się nawzajem nienawidziły, choć nikt nie wiedział, dlaczego tak się dzieje. Korzystali z tej waśni pokątni doradcy sądowi, ci, co się ogłaszają w kalendarzach ludowych. Obie wioski płaciły im haracz za podjudzanie do procesów.

— Ci pokątni doradcy sprawili — wtrącił Ksawery — że w brukselskim języku potocznym zjawilo się przezwiśsko „espèce d'advokaat”.

Zeszli na dół. Zastali w głębi dziedzińca kilku chłopów, którzy na widok pułkownika podkrywali głowy. Anetka, trzymając sarenkę na kolanach, podsuwała jej pod pyszczek płaskie naczynie z mlekiem.

*

Po kolacji pułkownik odprowadził pana Ksawerego do Theux na stację.

— Polubiłem pana — rzekł. — Cenię pańską delikatność i dyskrecję. Przez te kilka tygodni naszych spotkań i miłych pogawędek ani razu nie zadał mi pan kłopotliwe-go pytania.

— Och, a po cóż bym miał... — bąknął Ksawery.

Pułkownik uściskał mu rękę.

*

Skrzynka z horoskopami dojechała do Brukseli wcześniej niż pan Ksawery. Zajął się nią Błażej. Wniósł na górę i umieścił w pokoju swego mistrza. Wniósł z pomocą tragarza kolejowego, gdyż była ciężka, zawierała 3660 pocztówek, po dziesięć na każdy dzień roku z uwzględnieniem lat przestępnych.

Tego samego dnia koło godziny pół do siódmej wieczór pan Ksawery wysiadł z wagonu trzeciej klasy na Gare du Nord.

— Patronie — mówił Błażej — horoskopy już są w pańskim pokoju.

— Oglądałeś?

— Nie, czekałem na pana. Razem obejrzymy.

W domu pan Ksawery umył ręce, szybko zjadł kolację, pożyczyl od Dikke Mee toporek, przeżegnał się i z pomocą Błażeja otworzył skrzynkę. Zaczęli wyjmować horoskopy. Były równo pocięte, umieszczone w dwunastu paczkach, z których każda odpowiadała jednemu miesiącowi roku.

Ułożyli, a raczej ustawili pocztówki na półce w bezbłędnej kolejności, od 1 stycznia do Sylwestra. Miesiące poprzegradzali książkami.

— Czy mogę teraz poczytać? — spytał Błażej.

— Czytaj, mój chłopcze, czytaj. Och, ileż ja się z tym namęczyłem. Planety wirują mi w głowie, a do niemowląt, bez względu na datę ich narodzin, czuję wyraźną wrogość.

Błażej czytał, od czasu do czasu odgarniał z czoła włosy pięcioma palcami i wydawał okrzyki:

— Ajajaj! Coś takiego!

— Podoba ci się, Błażejku?

— Panie, to kapitalne.

— Musimy zamówić, mój chłopcze, drobne ogłoszenia w jednej z polsko-amerykańskich gazet. Musimy dobrze wszystko obliczyć, bo pieniędzy mało, a agencja nas nie zna i nie da ogłoszeń na kredyt. List do Ameryki idzie ze dwa tygodnie, może dłużej. Nim wydrukują, nim się odezwą matki noworodków, upłynie sporo czasu*. A przecież trzeba żyć.

— Niech pan będzie spokojny, patronie. Mam zdrowe mięśnie i w razie potrzeby zarobię na nas obu. Mogę być roznosicielem piwa, tragarzem, kelnerem, gajowym, masztalerzem, co kto zapragnie. Niech pan się nie martwi. Pomyślmy lepiej o treści anonsów w amerykańskich gazetach.

— Och, Błażejku, to już zrobione. Ogłoszenia zaprojektował pułkownik.

Pan Ksawery sięgnął do kieszeni po pugilares i wyjął

* Poczta lotnicza nie miała jeszcze wzięcia. (Przyp. red.)

czworokąt bristolu, na którym pułkownik Bodineau własnoręcznie wykaligrafował tuszem polski tekst reklamowy.

Z lewej strony w rogu była chmurka, spoza chmurki wyłaniał się księżyc. A dalej: KOCHASZ twe Dziecko? Jeżeli tak, to napisz zaraz do Europejskiej Centrali Horoskopów, Bruxelles, 14 Petite rue des Bouchers (Europe), podaj datę urodzin Twojego Dziecka, a otrzymasz zupełnie gratis dokładny Horoskop, czyli Wróżbę o Jego Życiu, Szczęściu i Powodzeniu. Załącz, jeżeli zechcesz, 1 dolara na koszty manipulacji pocztowych i wysyłkowych. Horoskop gratis.

Błażej spytał, czy to będzie fotograficznie pomniejszone.

— Tak — odpowiedział pan Ksawery — do szerokości szpały drobnych ogłoszeń.

Ktoś zapukał. Na progu stała niepokojąco ładna dziewczyna. Skinęła im głową.

— O, patronie — zawołał Błażej — przedstawiam panu Walentynę. No i cóż pan powie na mój coup de foudre?

*

Załatwili, co było do załatwienia. Seria cotygodniowych ogłoszeń w „Ameryka-Echo” okazała się droższa, niż przypuszczali. Zakrzętała się więc Błażej i zaczął szukać zarobku. Znalazł zajęcie domokrażnego sprzedawcy elektro-luksów na raty.

— Tu trzeba coś wymyślić — rzekła Walentyna — coś takiego, co by oszałamiało gospodynie.

I poradziła mu, żeby sobie napchał do kieszeni różnokolorowych confetti.

— Rozumiesz, Błażejku? Wchodzisz do pokoju i niby od niechcienia rozsypujesz confetti na dywanie. Kobieta w lament. Ty na to, że zaraz, zaraz, wszystko się załatwi bez wynoszenia i bez trzepania dywanu. Rozumiesz?

— Walentyno, jesteś wspaniała dziewczyna.

W pierwszym tygodniu obchodu mieszkań Błażej sprzedał tylko sześć odkurzaczy. Rynek był nasycony, konkurencja duża. Po zastosowaniu systemu Walentyny sprzedał

w następnym tygodniu osiemnaście sztuk. Przy takim tempie mógłby już utrzymać siebie i pana Ksawerego.

W trzecim tygodniu miał osobliwą przygodę. Zapowiedziawszy pewnej pani domu, że jej pokaże coś ciekawego, sięgnął po confetti i obficie zaśmiecił pokój. W chwili potem, żegnany okrzykami gniewu, musiał zmykać ze swoim odkurzaczem. Okazało się, że w mieszkaniu jest tylko gaz.

Skacząc po dwa stopnie, pan Ksawery wbiegł na pierwsze piętro i stanął przed Błażejem.

— Chłopcze — zawołał — masz tu gdzie kawałek nieheblowanej deski?

— No cóż, choćby spód tego stołu. Zaraz sprawdzę. Tak, surowa deska z tartaku.

— To zapukaj, Błażejku, zapukaj. Ja po tobie zrobię to samo.

— Zapukałem.

— Och, chłopcze, będzie zarobek dla nas obu. Mamy zarobek. Bez rozkładu godzin, bez dyrektorów. Sami sobie będziemy kapitanami, będziemy pływać po wodzie. Ach, Błażejku.

— Po morzu?

— Po kanałach. Przed chwilą podpisałem wstępną umowę, a ciebie podałem jako pomocnika. Będziemy konwojentami barki z pszenicą. We wtorek mam się stawić wraz z tobą dla podpisania ostatecznej umowy.

— No to świetnie.

— Odpukaj, Błażejku, odpukaj. Nie mów świetnie, póki nie dostaniesz legitymacji konwojenta. Żebyś wiedział, że trochę nakłamałem. Barkę ciągnie koń, wmówiłem więc w tamtych panów, że znasz się na koniach.

— No to świetnie.

— Odpukaj, Błażejku.

— Ani mi się śni. Przecież znam się na koniach, skończyłem podchorążówkę w Grudziądzu,

— A prawda. Zupełnie o tym zapomniałem. To już nie pukaj, Błażejku. Zaczynam nabierać wiary, że się obejdzie bez naszej kompromitacji. Bo widzisz, koń ciągnie barkę, po drodze są postoje. Koń idzie na noc spać do stajni, trzeba mu podesłać, trzeba mu dać owsa, siana, saradeli, bo ja wiem czego tam jeszcze. To ty się tym zajmiesz, Błażejku, a rano trzeba konia myć, czyścić, nakładać chomątą, zaprzęgać. Też chyba się tym zajmiesz, prawda?

— Ależ, patronie, damy sobie radę. A dokąd mamy płynąć?

— Od holenderskiej granicy aż do Mons.

— No to świetnie.

Tym razem Błażej też nie odpukał okrzyku. Był pewny siebie. Powiedział z przekonaniem, że z tego wszystkiego wyjdzie niezła zabawa.

ROZDZIAŁ VI

Romantyczna tablica. — Dopisek zrobiony obcą ręką. — Na którego widok pan Ksawery posmutniał. — Jego wielka trema. — Wyjazd do Hoeke. — Ślady dawnej potęgi. — Tak, to jest koń. — Walentyna zgadza się im towarzyszyć. — Wyruszają samotrzeć na daleką wędrówkę.

— Można by pomyśleć — odezwał się Błażej — że to bociany klekocą.

Pan Ksawery skinął głową i dodał:

— My też, Błażejku, zaopatrzymy się w takie saboty, bo to jest wielce malownicze i podobno chroni przed katem. Wyobrażam sobie, że nim się nauczę w nich chodzić, wywrócę kilka koziołków. Nie będziesz się ze mnie śmiał, prawda?

— Och, panie Ksawery.

Weszli do poczekalni, stanęli przed czarną tablicą z nagłówkiem „Prochains Départs”. Wypisano na niej kredą zapowiedzi bliskich rejsów. Tablica miała przejrzysty układ, była poliniowana na kilka rubryk: nazwa barki, imię i nazwisko konwojenta, obecne miejsce postoju, miejsce przeznaczenia, rodzaj ładunku i data odpłynięcia.

Pan Ksawery skupił uwagę na dwu pierwszych rubrykach, które tak wyglądały:

Nom de la barque

Sinte Dorothea
Anneke
Colombine
De Brusselsche Crotje
La Fèe Koekebak

Chef-conducteur

Joris Grootekamer
Sébastien Van Zwol
Jef Thyskens
Léo Smets
Maurice Papaque

Bonne Amie
Le Petite Schoepke
Mam'zelle Nitouche
Cendrillonske
La Belle Toinette
Bon Voyage
Lison-Lisette
Nul s'y Frotte
Sinte Elisabetha

Pieter Offermans
Albert Cock
Roger Paternoster
Lazarus Sponsgoete
Kisaewry Srlkuooski
Emile Grootianszon
Justus t'Kind
Jef Hammerlijck
Hendrik Vandekerke

Na podłodze leżały jakieś zwoje lin do holowania. Pan Ksawery siadł na nich, wskazał Błażejowi miejsce obok siebie, sięgnął po papierosa, zapalił i wpatrzył się w tablicę.

— Nazwy tych barek są piękne, prawda, Błażejku?

— Tak, i mnie się podobają.

— Można w nich wyczuć życzliwość, nawet miłość. Zapewne twórcami tych nazw byli robotnicy ze stoczni. Dawali barkom imiona swych dziewcząt, czasem formułowali życzenia dobrej podróży. Tego by nie wymyślił urzędnik przy biurku.

— Na pewno nie.

Pan Ksawery skończył studiować nazwy po lewej stronie i przeniósł wzrok na stronę prawą. Czytał teraz uważnie i wreszcie znalazł coś, co mu przypominało jego nazwisko.

— Boże, Boże...

— Dlaczego pan wdycha?

— Popatrz, popatrz, co oni ze mnie zrobili.

— Gdzie?

— Piąta pozycja od dołu.

— Aha, widzę, Srlk... nie mogę tego wymówić... kuooski. To ma być pan?

— Tak, to ja. Świadczy o tym imię, coś w rodzaju Ksawerego. Nie ma wątpliwości, że tu chodzi o mnie.

— Pan posmutniał.

— Nie przeczę, posmutniałem, żal mi mojego nazwiska. Teraz będę pływał jako Srlkuooski.

— To na pociechę powiem panu, że nasza barka ma uroczą nazwę. Musiała gdzieś zasłynąć jakaś cud-dziewczyna, skoro nazwano barkę „La Belle Toinette”. A co to znaczy Cendrillonske?

— Kopciuszek, od Cendrillon.

Zamilkli, patrzyli na tablicę. Po chwili Błażej przemówił:

— Nie wiem, czy pan spostrzegł, że obok pańskiego nazwiska jest dopisek zrobiony obcą ręką. Ktoś zapytuje: „Wat iz dat?”.

— Dlatego posmutniałem, Błażejku. Ten ktoś dziwi się mojemu nazwisku, którego i ja nie mogę odczytać w tej bezceremonialnej pisowni.

Wezwano ich do przyległego pokoju. Poszli podpisać umowę.

*

Okrutnie pan Ksawery był zdenerwowany. Już nawet nie odliczał kropli walerianowych, zażywał je łyżeczką. Cóż, kiedy nie pomagały. Waleriana, być może, łagodzi podniecenie, ale nie usuwa trwogi.

A pan Ksawery właśnie odczuwał trwogę na myśl o czekających go obowiązkach. Złożył podpis jako konwojent barki „La Belle Toinette”, obiecał, że ją doprowadzi szczęśliwie do miejsca przeznaczenia. Taki podpis, to coś w rodzaju przysięgi. I teraz, w kilka godzin po złożeniu podpisu, czuje się jak krzywoprzysięzca.

Nigdy nie pływał na barce, nigdy nie trzymał steru w rękę, nigdy nie widział służy. Przed urzędnikiem skłamał w żywe oczy dowodząc, że zna się na konwojowaniu barek po kanałach. Urzędnik mu zaufał i oto pierwsze skutki, rozdygotanie nerwów. A jakie będą następne?

Ksawery podszedł do zawieszanej na ścianie szafeczki z wyrzeźbionym w drzewie napisem „Pharmacie de Famille”. Ciotka Teresa oddała mu ją do dyspozycji wraz z zapasem wypróbowanych leków. Znalazł w szafce krople miętowe, krople laurowe, krople króla duńskiego, wodę karmelitów, wodę melisową, aspirynę, kilka plasterków

papierni „Rigolot”, watę do tamowania krwi, pomadę „Sekret Zacznej Kobiety”, pigułki na kaszel Gripekovena, pigułki kaskarynowe, pastylki Vichy, pastylki „Valda”, flakon pain-expelleru do wcierań i nieco środków opatrunkowych. Waleriany więcej nie było, wszystko wypił.

Złamany, zniechęcony, pan Ksawery zamknął drzwiczki podręcznej apteki i leżał na łóżku zamierzając podesperować przez jakie pół godziny, ale nawet nie zdążył się pogrążyć w odpowiednim nastroju, gdyż do pokoju wszedł Błażej. Był pewny siebie, pogodny, uśmiechnięty.

— No co, no co, Błażejku?

— Wspaniale.

— Widziałeś barki?

— Widziałem, byłem w Ruysbroeck nad służą, wszystko już wiem.

Błażej opowiedział mistrzowi o życiu na barkach, o pokładowych ogródkach warzywnych i o flamandzkich koniach-olbrzymach, które holują barki stąpając majestacyjnie wzdłuż kanałów.

— Udało nam się — rzekł. — Za kilka lat wszystkie konie dostaną dymisję, a na ich miejsce przyjdą ciągniki. Co tu tak pachnie? Pan znów coś zażywał?

— Tak, Błażejku, byłem trochę markotny. Powiadasz więc, że konie się kończą. No to skończy się też romantyczna epoka kanałów Flandrii. Najwyższy czas, mój chłopcze, ażeby ją poznać i zapamiętać.

Pan Ksawery ożywił się nagle, siadł na łóżku i zaczął opowiadać o minionej potędze Gandawy i Brugii, o przekopanych przez te miasta kanałach, o ujarzmionych rzekach. A wszystko to służy ludziom po dziś dzień, choć sława twórców dawno przebrzmiała*.

— Czy aby jesteś pewny — spytał — że z pływaniem damy sobie radę?

— Och, patronie, to będzie dla nas fraszka.

* Sieć kanałowa Belgii składa się z kanałów starych i nowoczesnych oraz z rzek i rzeczek przebudowanych na spławne kanały; w sumie długość tych szlaków wynosi 2.200 kilometrów. (Przyp. red.)

*
Pocztalion przyniósł im kopertę, w której znaleźli wezwanie do stawienia się w Hoeke, na północy Flandrii. Były też załączone dwie legitymacje konwojentów. Z ubolewaniem pan Ksawery stwierdził, że jego nazwisko wykalgigrafowano: Kisaewry Srkuooski, czyli tak samo jak na tablicy.

*
Pisze się Hoeke, a wymawia Huke*. Trudno dziś uwierzyć, że ta skromna miejscina była kiedyś kwitnącym miastem portowym tuż nad morzem, że miała rynek z domami patrycjuszów, kościoły, zamożne cechy rzemieślnicze, stowarzyszenia łuczników.

Wcześniej, bo już w XI stuleciu morze zaczęło się oddalać od brzegu. Woda w porcie stopniowo opadała, aż około roku 1500 zamieniła się w płyciznę, wreszcie wyschła i port przestał być portem. Mieszczkańskie rody rozpieczęły się, tak samo cechy. Świadectwem dawnej świetności był teraz jeden jedyny kościół. Kilka pozostałych zamieniono na spichrze.

Hoeke leży w północnej Flandrii, tuż przy granicy holenderskiej. Nie ma tam stacji kolejowej, jest tylko szosa oraz kanał, który przez służę Oostkerke prowadzi do Gandawy. Okoliczna ziemia rodzi pszenicę, a Hoeke jest obecnie miejscem jej zwózki i składem przeładunkowym.

Kiedy autobus stanął przed kościołem, kiedy pan Ksa-

* Aby nie wracać już do tego przedmiotu, zapamiętajmy: OE wymawia się jak U (moeder-muder, matka); IJ jak AJ (rijk-rajk, królestwo); UI jak OJ (Luik-Lojk, flamandzka nazwa Leodium); OU jak AU (oude-aude, stary); AE jak AA (Maeterlink-Maaterlink); J jak w języku polskim (Jan, imię); Z również jak w języku polskim (zoon, syn); V wymawia się jak W (vader-wader, ojciec); SCH na początku słów wymawiamy jak SK (Schaerbeek-Skaarbek, przedmieście Brukseli); CHT jak po polsku, ale z wyraźną chrypką. (Przyp. red.)

wery i jego uczeń wysiedli, ogarnęła ich niczym nie zamąconą ciszą. Rozejrzeli się, rynek był pusty. Zamiast szyb tkwiły w oknach oprawione w ołów zielonawe szkiełka. Kilka sklepów, między innymi, jak i wszędzie, sklep spożywczy firmy Delhaize Frères, niezawodne źródło zakupów. Pośrodku rynku przetrwały ślady dawnej studni kamiennej z płaskorzeźbami.

Błażej podszedł do kobiety, która, siedząc na stołeczku przed drzwiami mieszkania, robiła coś na drutach. Spytał o oberżę i o barkę. Odpowiedziała zabawną francuszczyzną, że oberża jest na tyłach kościoła.

— Idźcie tam — rzekła — pan Grammens czeka na was.

W oberży siedział pan Grammens, kopcił fajkę, popijał piwo. Był ubrany w płócienny granatowy kitel i welwetowe spodnie. Na nogach miał saboty, na głowie baskijski beret, a zamiast kołnierzyka i krawata nosił szalik.

Oznajmił im, że mogą odpłynąć jutro albo pojutrze, bo nie ma gwałtu. „La Belle Toinette” jest już załadowana, gotowa do drogi, pozostają tylko drobne formalności.

Napili się piwa i poszli z Grammensem nad kanał oberżę barkę. Odnowiona, świeżo zawoskowana „La Belle Toinette” wydzielala przyjemny zapach terpentynowej pasty do podłóg. Wskutek obciążenia ledwo wystawała z wody. Jeden krok z brzegu i już się było na barce.

Błażeja i jego mistrza zadziwił ogródek warzywny zajmujący połowę pokładu. Patrzyli na dobrze utrzymane grządki kalafiorów, sałaty, brukselki, kapusty i innych jarzyn, na zielone jeszcze kulki pomidorów, na strąki cukrowego groszku. Tuż przy grządkach stała konewka z wodą. Ktoś niedawno podlewał jarzyny, bo ziemia była wilgotna. Pan Grammens wyjaśnił, że ogródkiem opiekuje się żona dozorczy. Trzeba jej będzie coś dać za te starania, bo taki jest obyczaj. Spytał następnie pana Ksawerego, czy długo pływał po kanałach. Ksawery odpowiedział wymijająco, że jest bardzo zadowolony z wyglądu „La Belle Toinette” tudzież z porządku, jaki zastał.

Zeszli pod pokład. Były tam dwie umeblowane kajuty. W mniejszej jedna opuszczana koja, w większej dwie. Wi-

siało lusterko i oprawiony w ramki regulamin. W szafce ściennej znaleźli sześć koców, prześcieradła, poduszki z morskiej trawy, trzy parafinowe latarki z drucianymi ochraniaczami oraz blaszankę parafiny w płynie.

Oprócz kajut było pod pokładem schowanko na węgiel i drugie schowanko ze sprzętem żeglarskim, z uprzężą końską i workiem owsa. Była kuchenka z małym kompletem naczyń do gotowania i z zastawą stołową. Podnoszony stolik mógł służyć do spożywania posiłków. Na stoliku leżała granatowa serweta w białą kratę. Obok piecyka sterczał ze ściany młynek do kawy. Wszystko tu było schludne, proste i dobrze pomyślane, wynik wieloletniego doświadczenia.

— A kiedy żona przyjedzie? — spytał Grammens.

— Ja nie mam żony — odpowiedział Ksawery.

— Ja też nie mam — zapewnił Błażej.

— To kto wam poprowadzi gospodarstwo, kto poda chefneye * na śniadanie?

*

List express wysłany przez Błażeja z Hoeke:

„Moja mała Walentyno, siedzę tu z patronem od kilku godzin. «La Belle Toinette» jest gotowa do drogi. Zamierzamy wyruszyć pojutrze, ale ogarnia nas niepokój, czy damy sobie radę bez kobiecej pomocy. Wszystko jest tu nastawione na gospodarke rodzinną: kuchnia, ogródek warzywny etc. Pod pokładem są dwie kajuty: mniejsza kapitańska, którą zajmie patron i większa dwuosobowa. Gdybyś chciała spędzić lato na pływającej barce, to przyjedź zaraz. Kup bilet do Knokke, tam będę czekał. Ścisłam cię. Telegrafuj: Hoeke, oberża «Aan de Polder»”.

*

Przed stajnią stała Filomena, Błażej czyścił ją zgrzeblę. Był to zwierz wielki, tęgi, okazały, z szeroką piersią, osa-

* Chefneye, omlet na boczku, nazwa gwarowa. (Przyp. red.)

dzony na bilardowych nogach. Kupiecka Flandria wyhodowała przed wiekami takie konie do przewożenia towarów.

Pan Ksawery patrzył na Filomenę z podziwem. Obszedł ją dokoła, stanął, znów popatrzył i orzekł:

— Tak, to jest koń.

Pomyślał, że gdyby Filomenie dorobić trąbę i pokryć ją bujniejszym włosom, byłby mamut.

— Co pan tam mówi? — spytał Błażej.

— Mówię, że to koń.

— Browar Haberbuscha ma takie konie do rozwożenia antałków z piwem.

Na dziedziniec wpadł nagle pocztylion na rowerze.

— Depesza od Walentyny! — zawołał Błażej.

Walentyna zawiadamała: „Przyjadę wtorek Knokke pięta wieczór całuję”.

*

Bez żadnego targu pan Grammens zgodził się popłynąć z nimi do Oostkerke, gdzie była służa i pierwszy postój. Zamiast honorarium w gotówce zażądał za naukę paczki cygaretek zwanych diabolosami i sześciu butelek porteru do pokrzepiania sił w czasie drogi.

*

Stara służa sączyła wodę bez pośpiechu, jej dozorca grał w warcaby z sąsiadem i też się nie śpieszył. W ogóle nikt się nie śpieszył w Oostkerke, bo czasu było dużo.

Odprowadzili Filomenę do stajni, Grammensa do autobusu, a potem poszli na rynek i robili zakupy. Zaopatrzyli się w saboty, ciemne okulary i sprzęt wędkarski.

Walentyna zajęła się aprowizacją. Wieczere zjedli na barce pod gołym niebem. Warto wspomnieć, że do wędlin mieli salate z pokładowego ogródka. Nazajutrz rano wyruszyli w drogę. I tak się zaczęła ich długa wędrówka przez Flandrię, przez Henegawię, aż do sławnego miasta Mons, które leży blisko granicy francuskiej.

ROZDZIAŁ VII

Prosto jak strzelił. — Kaprysy Filomeny i co. z tego wynikło. — Sprzeczka w oberży. — Walentyna ściga się z kaczkami. — Ryba na haku. — Wspomnijmy życzliwym słowem flamandzkich „dziadów”. — Wieś-rezerwat. — Na horyzoncie Gandawa.

Kanał w tym miejscu był prosty jak strzelił. Płynęli od kilku godzin przez równinę z rozrzuconymi dość gęsto fermami. Ciemne sady, bielone wapnem zabudowania z czerwonymi dachami, wysokie topole z gniazdami gawronów, wszystko to miało malowniczy wygląd i pan Ksawery doszedł do wniosku, że wieś bywa piękna.

Siedział właśnie na składanym stołeczku i łowił ryby, a właściwie usiłował coś złowić. Bawiło go, że barka ledwo wystaje z wody, chyba nie więcej niż łokieć. Bawiło go też, że płynie tak wolno. Ludzie, którzy szli ścieżką w tym samym kierunku, pozdrawiali pana Ksawerego skinieniem głowy, coś tam wspominali o pogodzie i podążali dalej wyprzedzając „La Belle Toinette” bez żadnych trudności.

O pośpiechu nie było mowy, bo i po co? A poza tym Filomena i tak by nie usłuchała. Od ośmiu lat chodziła wzdłuż ustalonego farwateru, przyswoiła sobie właściwe tempo, właściwy rozkład pracy i postojów. Rychło przekonali się o tym i doszli do wniosku, że trzeba się liczyć z jej wolą, że Filomena lepiej się zna na żegludze niż oni.

Pan Ksawery, który dotąd nigdy nie mieszkał w rolniczym kraju, dziwił się wielu rzeczom.

— Co tu ćwierka? — spytał.

Stojący przy sterze Błażej wyjaśnił, że to pasikoniki koncertują na rżysku.

Walentyna podniosła się z klęczek, opłukała ręce za burtą i rzekła:

— Skończyłam pielienie. Trzeba będzie zdobyć kilkanaście patyków na podpórki. Nasze pomidory wołają o pomoc.

Zbliżali się do jakiegoś miasteczka. Niby w czytankach dla dzieci wyłoniła się naprzód zza horyzontu wieża kościelna, potem dach ratusza, wreszcie domy i drzewa. Płynęli jeszcze dobre dwie godziny, nim dotarli do flisackiej oberży.

Ale tu się zdarzyło coś niezwykłego. Filomena nie chciała przystanąć. Na próżno pan Ksawery wołał „Prr...”, tupał, prosił i groził. Człapała dalej, noga za nogą, nie licząc się zupełnie z jego autorytetem. Po przejściu jakichś stu metrów zaczęła zwalniać chodu i najwyraźniej postanowiła się zatrzymać.

— Walentyno, weź ster — rzekł Błażej. A sam się zajął szmacianą kulą, która służy do łagodzenia tarcia przy zetknięciu barki z nabrzeżem.

Filomena szła coraz wolniej, wolniej. Błażej zawołał: „Ça y est!”, Walentyna napała na ster, pan Ksawery powtórzył okrzyk „Prrr!” i Filomena stanęła, a „La Belle Toinette” dobiła gładko do brzegu. Z zadowoleniem stwierdzili, że się znajdują przed wejściem do oberży.

— Zręcznie wycelowane — zawołał Błażej.

— Ale dlaczego Filomena nie chciała stanąć przed tamtą oberżą? — dziwił się pan Ksawery.

Faktem było, że dopłynęli do postoju, że minął dzień pierwszy ich samodzielnej nawigacji, minął szczęśliwie. Z tabliczki umieszczonej na ścianie zajazdu dowiedzieli się nazwy miejscowości. Była to Moerkerke, jedna z niezliczonych kerke (kościół) w tej okolicy.

Błażej wyprzągnął Filomenę i zaprowadził do stajni. Walentyna pobiegła z koszykiem po kartofle, a pan Ksawery, któremu dokuczało pragnienie, poszedł się napić piwa. Kiedy postawiono przed nim szklanicę płynu bez piany, skosztował i oznajmił:

— Ohyda. Że też coś takiego ludziom podają.

Oberżysta był oburzony.

— Panie — zawołał — to jest faro. Moi klienci innego piwa nie chcą pić. To jest faro z Gandawy.

Pan Ksawery jeszcze raz skosztował. Piwo miało smak wina zaprawionego mydłem, tak, mydłem, zwyczajnym mydłem do prania.

— I to ludzie piją? — spytał.

— Ach, panie...

Oberżysta zamachał rękami i wyszedł. Nie chciał rozmawiać. Po raz pierwszy w jego karierze spotkała go taka obrazą.

Siedział więc pan Ksawery nad szklanką faro, patrzył w płyn, medytował. Nie mógł zrozumieć, co się dzieje. Po kwadransie przyszedł Błażej. Oznajmił, że Filomena dostała owsa na noc, a na razie skubie trawę na łące wraz z koniem oberżysty.

— Ten oberżysta — rzekł pan Ksawery — ładnie mnie urządził.

— Zauważyłem właśnie, że pan jest jakiś nieswój.

— Popatrz, Błażejku, co mi dał do picia.

Weszła Walentyna dźwigając koszyk z kartoflami. Od razu spostrzegła, że coś nie jest w porządku.

— Nad czym rozmyślacie, moi panowie, co się stało?

Pan Ksawery, zachowując milczenie, wskazał na szklankę z piwem. Obejrzała pod światło, skinęła głową i wypila.

— Wyborne faro — rzekła.

Wszedł oberżysta i nieufnym spojrzeniem obrzucił trójkę gości. Błażej poprosił o cytronadę, pan Ksawery o wodę mineralną, Walentyna o drugie faro.

— Ojciec panienki nazwał moje faro ohydą — oznajmił gospodarz.

— Ten pan nie jest moim ojcem.

W kilku słowach wytłumaczyła Walentyna panu Ksaweremu, skąd się wzięło nieporozumienie. Faro należy do rzędu piw „dziadowskich”, nie uznawanych na wytworniejszych stołach. Ale faro ma w całym kraju zapamiętałych zwolenników i w każdym osiedlu jest jakaś knajpa, w któ-

rej można je znaleźć. Są nawet stowarzyszenia przyjaciół faro, sam król bywa ich honorowym członkiem.

— To w takim razie — rzekł pan Ksawery wstając — muszę przeprosić gospodarza.

Był upał, zanosilo się na burzę. Płynęli wzdłuż holenderskiej granicy, przez kraj zupełnie płaski. Na rżyskach pasły się łaciate krowy, biegały cielęta. Od czasu do czasu spod kępy drzew wyrastał wiatrak pompujący wodę, a po godzinie gdzieś zniknął. Filomena szła drzemiac i chyba jeszcze wolniej niż poprzednio. Biedaczka nie mogła się opędzać od much, gdyż zgodnie z obowiązującą nad kanałem modą miała ogon zawiązany na węzeł.

— Błażejku — odezwał się Ksawery — czy nie mógłbyś rozplątać jej ogona? Przecież zwierzę się męczy.

— Tak, patronie, wiem o tym. Chciałem rozpuścić jej ogon jeszcze w Hoeke, ale sprzeciwił się temu Grammens. Mówił, że w niektórych stajniach we wschodniej Flandrii grasują końskie zmory i jak się takie coś przyczepi do konia, to mu skołtuni ogon.

— No to lepiej nie ryzykujemy — odrzekł pan Ksawery.

Błażej dodał, że według Grammensa trzeba się strzec zmór aż do miasta Ninove. Dalej stajnie są niezawodne i bez obawy można rozpuszcząć koniom ogony.

Od samego rana Błażej i Walentyna przywdziali kostiumy kąpielowe. Pan Ksawery chodził w pidżamie. Duszno było, gdzieś w dali grzmiało, od czasu do czasu jaśniały błyskawice.

Na spotkanie barki z głośnym kwakaniem płynęło stado kaczek. Zapewne uciekały przed burzą. Walentyna zbiegła pod pokład, po chwili zjawiała się z talerzem, stanęła na dziobie i zaczęła rzucać kaczkom resztki z obiadu.

— Nie wytrzymam — rzekła do pana Ksawerego — muszę się z nimi zmierzyć.

Odstawiwszy talerz, skoczyła do wody. Kaczki poszły w rozsypkę, ścigała je, okazało się jednak, że są lepszymi od niej pływakami.

— Patronie — zawołał Błażej — czy mógłby mnie pan zastąpić przy sterze? Chciałbym pobaraszkować z Walentyną.

Burza przeszła gdzieś bokiem, słońce znów wyjrzało.

Pilnujący steru pan Ksawery zauważył nagle, że jego wędka sunie po pokładzie. Zupełnie o niej zapomniał.

— Błażek — krzyknął — ryba, ryba!

— Gdzie ryba?

— Ryba, na haku.

Wędzisko stanęło dęba, po chwili gładko zjechało do wody. Pan Ksawery, nie mogąc zejść z posterunku sternika, tupał co sił w nogach i wołał:

— Ryba, ryba!

Błażej i Walentyna połapali się wreszcie, o co chodzi, wszczęli pościg za wędką i wyrzucili zdobycz na pokład. Był to kilowy lin, oliwkowy na grzbiecie, spodem złoty.

— Och, och — jęczał pan Ksawery z wielkiej emocji, po raz pierwszy bowiem w życiu udało mu się złapać rybę na haczyk. I to taką rybę! Wprawdzie złapał ją cudzymi rękami, ale zawsze to było coś.

— Będziemy dziś mieli dobrą wieczerzę — zapowiedziała Walentyna.

Ten postój nie był podobny do innych. Filomena zaciągnęła ich do miejscowości Eede, gdzie kanał stykał się z ziemią holenderską i gdzie dwie komory celne współżyły w najlepszej zgodzie. Konwojentów barek nikt nie pilnował, mogli się włóczyć po obu stronach granicy, mogli iść na piwo do karczmy holenderskiej lub do belgijskiej.

— Błażek — przemówił pan Ksawery — sędzia trybunału policyjnego miasta Vlissingen bardzo by się zdziwił, gdyby dostał od nas pocztówkę ze znaczkiem holenderskim.

— I ja tak myślę, patronie.

Ponieważ Walentyna była ciekawa, dlaczego sędzia by się zdziwił, Błażej opowiedział jej zwięźle o przygodach w klasztorze jansenistek i co z tego wynikło.

— No to idziemy na piwo do Holandii — zdecydował pan Ksawery.

Tam kupili pocztówkę ze ślicznym holenderskim wiatrakiem oraz znaczek z podobizną królowej Wilhelminy, podpisali się czytelnie i wrzucili do skrzynki pocztowej.

Barka płynęła, czas też płynął.

Walentynie w ogródku zarumieniły się pomidory, rozkwitły georginie i karłowate dalie. Pan Ksawery jakimś cudem złapał na wędkę drugiego lina, potem karpia, który nie był łysy jak karpie ze sklepu, lecz miał drobną złocistą łuskę.

Zbliżyli się do miasta Eecloo. Wachta wypadła na pana Ksawerego, stał więc przy sterze i patrzył w dal. Był ubrany, jak zwykle, w pidżamę, na nogach miał saboty. Uczył się właśnie w nich chodzić i robił postępy. Walentyna i Błażej urządzali w wodzie gonitwy i symulowane bijatyki. Od czasu do czasu, dla wypoczynku, rozciągali się na pokładzie i gawędzili z panem Ksawerem.

— Patrzcie — rzekła Walentyna — będziemy się mijać z jakąś barką.

Po drugiej stronie kanału stąpał ścieżką koń-olbrzym podobny do Filomeny. Ogon też miał zawiązany w węzeł. Ciągnął za sobą coś, co widocznie zaciekawilo Błażeja, bo zawołał:

— Patronie, baczność, zbliża się ku nam pancernik.

Była to jednak barka jak wszystkie inne, ale z gołębnikiem, który jej nadawał dziwny wygląd. Na pokładzie, dookoła ogródka, biegały dzieci. Matka skrobała kartofle. Ojciec stał przy sterze i kopcił fajeczkę z białej glinki. Namalowany na dziobie napis oznajmiał, że plynie „Sinte Barbara”, a jej macierzystym portem jest Wachtebeke.

Była to pierwsza barka, którą spotkali od wyruszenia z Hoeke. Dzieci na pokładzie zbiły się w gromadkę i zamachały rękami. Walentyna posłała im całusa.

— To stary Justus już nie pływa? — spytał mężczyzna z fajką.

— Nie, nie pływa, jego syn wrócił z Konga i wspólnie kupili fermę — wyjaśnił Ksawery.

— A wy dokąd płyniecie?

— Do Mons.

— Ja wiozę z Borynażu węgiel dla Bruges. Wystrzegajcie się dozorczy słuzy w Dendermonde, nabił mi guza. Zdziebko i byłby mnie udusił. Ach, potferdeke!

Zamienili słowa pożegnania, pancernik odpłynął. Wi-dzieli z dala wirujące nad nim stado gołębi.

— Chce mi się pić, potferdeke! — wykrzyknął Błażej.

— Tego nam brakowało, żebyś zaczął kłać — zrobiła uwagę zgorzozna Walentyna.

Podnieceni spotkaniem ze „Św. Barbarą”, zaczęli się za-stanawiać, w jaki sposób barka ta przepływa pod mosta-mi. No bo jakoś musi się przeciskać bez zawadzania go-łębnikiem.

— Gdyby nie pogaduszki wolteriańskie, którymi prze-siąkłem za młodu — rzekł pan Ksawery — widziałbym w tej zagadce nieczystą siłę.

Po chwili dodał:

— Obawiam się, że jeśli nie znajdę wytłumaczenia, to z konieczności uwierzę w czary.

— Patronie — odezwał się Błażej — a może on jest wy-wrotny, ten gołębnik, może się daje łamać?

— Łamać, powiadasz?

— Tak. Wystarczy wyjąć kołek z drąga, przechylić go-łębnik i za mostem znów go ustawić.

— Och, dziękuję ci, Błażejku, żeś mnie uspokoił. Tak, masz słuszność, to nie są czary.

Pan Ksawery oznajmił, że dostrzega oberżę, zaraz więc będzie piwo. Rozleniwiony Błażejek dźwignął się z pokła-du, sięgnął po szmaciany odbijacz i stanął przy burcie. Cóż, kiedy Filomena nie chciała się zatrzymać. I tym ra-zem szła dalej, nie wiadomo jakim wiedziona popędem, nie wiadomo dokąd i po co. Na prośby i groźby pozostawała głucha.

Płynęli jeszcze długo. Oglądali w tej podmiejskiej dziel-nicy różne oberże, piwiarnie, estaminety, hoteliki i bary.

Filomena zatrzymała się wreszcie przed zajazdem, którego właściciel był, jak się zdaje, trochę w niezgodzie z ortogra-fią. Świadczył o tym szyld: „Vous z'y viendrez”.

Tu spotkała ich ta sama niespodzianka, co na postoju w Moerkerke. Podano im faro, innego piwa nie było. Ale pan Ksawery nie czuł się już zlekceważony, jak za pierw-szym razem. Przeciwnie, nawiązał z oberżystą przyjazną gawędę. Do rozmowy wmieszała się Walentyna i dzięki jej bystrości zdołano wreszcie wyjaśnić końską zagadkę.

— Tak, panie — mówił oberżysta — znam Filomenę już parę ładnych lat. Jest to moja stała klientka. Jej opiekun, stary poczciwiec Justus, był wielkim amatorem faro. Tak, panie, choćbyś pan z bata strzelał, Filomena nie zatrzyma się przed inną oberżą.

Po tym oświadczeniu pan Ksawery pokiwał głową i z ubolewaniem stwierdził, że odtąd w ciągu całej podróży będzie skazany na picie piwa, do którego nie czuje naj-mniejszego pociągu.

— Panie — zaproponował gospodarz — niech pan się zmusi, niech pan wypije kilka szklanek, potem już gładko pójdzie.

Walentyna dodała, że to prawda, że zawsze tak się dzie-je z tym osobliwym piwem. Pan Ksawery zamknął oczy, łyknął faro za jednym zamachem, skrzywił się, ale mężnie zniósł próbę i rzekł:

— Jeszcze jedno. I niech już będzie, co ma być.

W kilka godzin później, po wieczery, poszli znów do gospody i znów pili faro. Pan Ksawery już się nie otrzą-sał, a po którejś tam szklance przemówił do Walentyny:

— Moje dziecko, miałaś zupełną słuszność, w tym piwie jest jakiś wabik.

Stało się więc, że dzięki Filomenie pan Ksawery powięk-szył grono zwolenników „dziadowskiego” piwa.

Tu trzeba wspomnieć coś niecoś o zagmatwanych sto-sunkach w piwowarstwie belgijskim. Od czasów Dyzia

Sowizdrzała Gandawa wyrabia różne odmiany piw „dziadowskich”, między innymi najslynniejsze: faro, gueuze, lambic i krieken lambic. Są to napoje sporządzane według prastarych przepisów, dojrzewające w sędziwych kadziach, które przesiąkły fermentami i tylko one nadają piwu właściwy smak i aromat.

Fermentacja piw „dziadowskich” trwa miesiącami. W browarach gandawskich nie ma nowoczesnych maszyn. Wszystko się tam odbywa według odwiecznych zasad, wśród których niejedna zatrąca zabobonem.

Piwowarzy z innych miast śmieją się z gandawczyków, nazywając ich alchemikami. Stale też szyczą z ich wiary w czynniki nieuchwytnie.

Niechże sobie szyczą. Nie było jeszcze wypadku, by nowoczesny browar potrafił sporządzić piwo przypominające smakiem lub aromatem jedyne w świecie faro. Waśń trwa, a ściśle się wyrażając nie jest to waśń, lecz konkurencja handlowa. Nowoczesny przemysł piwowarski uruchomił reklamy, zaprzęgi też do pracy karykaturzystów.

Stopniowo piwa „dziadowskie” zostały wyparte z eleganckich lokali restauracyjnych, z bufetów kolejowych, z lepszych hoteli. Ludzie zaczęli się wstydzić, że piją faro, zaczęli się z tym ukrywać. I tak z wolna powstały jak gdyby zakonspirowane kluby miłośników piw „dziadowskich”.

Taki stan rzeczy groził upadkiem browarom gandawskim. Burmistrz tego miasta ujął sprawę w swe ręce, założył „Towarzystwo Miłośników Faro” i zaprosił króla Leopolda II na członka. Król, choć nigdy nie brał do ust „dziadowskich” napojów, uwzględnił prośbę, stał się członkiem-założycielem. Odtąd nowe zrzeszenie przybrało nazwę „Królewskiego Towarzystwa Przyjaciół Faro” („Société Royale des Amis du Faro”) i powołało do życia liczne filie w miastach i miasteczkach całego kraju.

Wypada jeszcze wspomnieć, skąd się wzięło pogardliwe na pozór przezwisko piwa: „dziadowskie”, pisane w cudzysłowie. Ano stąd się wzięło, że w XVI wieku był to istotnie napój ubogich, wszelkich dziadów i włóczęgów. Ale

gueuzę i faro pili też żołnierze luźnych oddziałów walczących z Hiszpanami o wolność. Ba, sami zaczęli się przezywać: les gueux, czyli dziady, żebraki. Słowo to zmieniło znaczenie i dziś nie ma w nim akcentu obelżywego (kiedy jest mowa o piwie).

*

Płynęli przez kraj pastwisk, żywopłotów, sadów owocowych i pasiek. Pomalowane ultramaryną ule przykuwały ich wzrok. Zmieniali się przy sterze. Błażej i Walentyna często leżeli w słońcu, rozmawiali, żartowali.

Równoległe z kanałem biegła szosa gęsto przybrana znakami drogowymi. Czerwona stacja firmy „Shell” kontrastowała z krajobrazem.

— Nie podoba mi się ta pompa benzynowa — rzekł Błażej, a Walentyna przyznała mu słuszność.

Z obu stron pompy rzucały się w oczy tablice reklamowe na wysokich podporach ze słupów. Jedna z tych reklam zawiadamiała:

U w a g a, jeszcze 2 kilometry!

EVER LOO

Wieś-rezerwat z XVII wieku

Największa osobliwość Wschodniej Flandrii

Możecie obejrzeć:

Drewnianą karczmę

Drewniane domy

Drewniane stodoły kryte słomą

Do zwiedzenia zaprasza Królewski Touring-Klub

Błażej i pan Ksawery spojrzeli sobie w oczy i jednocześnie wybuchnęli wesołym śmiechem.

— Z czego się śmiejecie? — spytała Walentyna. — Nie widzę w tym nic zabawnego.

*

Na horyzoncie rosły coraz wyżej baszty gandawskiego zamczyska s'Gravensteen, groźne i potężne. Widać je było

od godziny. Górowały nad całym krajobrazem. Walentyna zaczerpnęła wody z kanału i podlewając grządki rzekła:

— A najwięcej mnie cieszy, że będę w kinie.

Stojący przy sterze, opalony na brąz Błażej spytał:

— Pan z nami pójdzie, patronie?

— Mogę iść — odpowiedział Ksawery. — Co prawda nigdy w Gandawie nie byłem i wolałbym zwiedzać za-
bytki, choćby ten zamek.

— Och, patronie — Błażej na to — zdąży pan obejrzeć. Opowiadano mi na ostatnim postoju, że będziemy musieli przebrnąć przez wiele śluz i zastanawiam się właśnie, czy nie zrobimy jakiej pomyłki.

— Ufajmy Filomenie — rzekła Walentyna.

Płynęły teraz przez miejscowość gęsto zaludnioną, gdzie już zaczynały się plantacje gandawskich kwiatów. Wzdłuż kanału połyskiwały w słońcu coraz liczniejsze szklarnie. Na ścieżce był ruch. Filomena zaczynała zwalniać chodu. Po kilku minutach zatrzymała się przed zajazdem.

ROZDZIAŁ VIII

Dzień sobotni w Gandawie. — Błażej kupuje patentowaną wędkę Allcocka. — Dobry król Gambrinus. — Pan Ksawery zmaltretowany przez okrutnych mieszczan. — Dramatyczna noc. — Co napisano w gazetach. — Walentyna pociesza patrona. — Lew Flandrii wkracza na pokład.

Była sobota, nastroje przedświąteczne. Zwiedzali miasto w najprzyjemniejszy sposób, jaki sobie można wyobrazić, bez baedekera, bez celu, bez programu. Błądzili po krętych uliczkach. Zaglądali do bezsensownych i dlatego miłych zakamarków, zjawiali się nagle na kamiennych mostach nad kanałami, mijali stare, porośnięte bluszczem kościoły.

I tak doszli do jakiegoś rynku, zatłoczonego w połowie kramikami z warzywem. Błażej wypatrzył sklep wędkarski, nad którego wejściem wisiał wielki wąsaty sum; wisiał i zdawał się świadczyć, że na haczyki z tego sklepu można łowić nie byle jakie ryby.

— Wejść tam — rzekł — ogromnie lubię oglądać takie cudeńka.

Walentyna chciała się czegoś napić, poszła więc z panem Ksawerym do pobliskiej kawiarni. Zasiedli na świeżym powietrzu, pod rudym parasolem.

A Błażej, zrećcznie inspirowany przez sprzedawcę, zapomniał o bożym świecie. Miał oto w ręku ostatnią nowość, wspaniałą komplet rybołówczy nazwany przez fabrykanta „Allcocks Colorado Spinner”. Przybór składał się z drewnianego kołowrotka, z trzydziestu metrów linki koloru świeżego siana oraz ze sztucznej metalowej rybki zaopatrzonej w potrójny haczyk. Zamiast pyszczka rybka miała

turbinę, na której mogła się obracać, miała też ogon zrobiony z czerwonej włóczki wełnianej.

— Zapewniam pana — mówił sprzedawca — że na tę błystkę ryby rzucają się jak szalone, po prostu same się łapia. Płynie pan, ciągnąc za sobą sznurek, a tu raptem trzepocze się na haczyku oko, sum albo szczupak.

— Same się łapia? — powtórzył zdumiony Błażej.

— Tak, panie, same się łapia, bez żadnego wysiłku z pańskiej strony.

Błażej pomyślał, że to byłoby dobre dla pana Ksawerego. Okazało się, co zresztą potwierdzał katalog firmy Allcock, że cena wędki jest wysoka.

— Tak, to dosyć drogo — przyznał sprzedawca — ale niech pan zauważy, rybka jest grubo pozłacana, bo musi błyszczeć w wodzie. No i nowość, a poza tym marka pierwszorzędna, szczupaki same się łapia.

Wizja automatycznego zaopatrywania barki w świeże ryby była tak pociągająca, że Błażej przeprosił sprzedawcę i wyszedł ze sklepu, aby naradzić się z panem Ksawerym.

— Jak to, Błażejku, szczupaki same się łapia?

— Tak, patronie. Rzuca pan błystkę do kanału, Filomena clap, clap, sztuczna rybka wierci się w wodzie, a pan nic nie robi, tylko siedzi i myśli, o czym pan chce. Raptem szczupak.

— Ależ to byłoby wspaniałe! — zawołała Walentyna.

— Tak, to byłoby wspaniałe — przytaknął pan Ksawery. — Ile on żąda za ten szatański wynalazek?

Błażej wymienił cenę. Naradzili się w skupieniu, kalkulowali. Walentyna wspomniała o kilku sposobach przyrządzania okoni i szczupaków. Stało wreszcie na tym, że kupują. Błażej wrócił do sklepu, skąd po chwili wyszedł z kartonowym pudełkiem oraz ze ślicznie wydrukowaną wielobarwną broszurą firmy Allcock. Wyobrażenia w tej książeczce wędkarze mieli miny radosne i triumfujące. Każdy z nich trzymał w lewej dłoni kołowrotek, a w prawej złowioną rybę. Wszystkie ryby były fenomenalnej wielkości, taaakie ryby.

Walentyna zapewniła panów, że jako kucharka nie robi im zawodu.

— Ach, drogie dziecko — pan Ksawery z tkliwością pogłaskał ją po głowie — wiem przecież, że doskonale gotujesz.

Usłyszeli warkot bębna. Z bocznej uliczki wyłonił się pochód. Na przedzie szli dostojni mieszczanie w tużurkach i świeżo wyszczotkowanych cylindrach. Za czołówką podążał zwarty tłum, nad którym powiewały czarno-żółto-czerwone sztandary.

— Oho — zawołał pan Ksawery — manifestacja. Może pójdziemy posłuchać?

Pochód zatrzymał się tuż obok kramików z jarzynami, przed domem z płaskorzeźbą wyobrażającą jakiegoś grubasa, który siedzi na beczce i głupkowato się uśmiecha.

— Wolalabym nie iść, póki nie przejdzie ta chmura — odpowiedziała Walentyna. — Szkoda mi sukienki.

Rzeczywiście, słońce gdzieś znikło, zanosilo się na przełotny deszcz.

— Ja jednak pójdę — postanowił Ksawery.

Wstał, podniósł kołnierz marynarki i poszedł wprost ku pomnikowi grubasa. Walentyna i Błażej widzieli z oddali, jak jakiś pan w cylindrze przemawia pod płaskorzeźbą, słyszeli pomruk tłumu i okrzyki.

Potem przemawiał drugi obywatel, też w cylindrze, a potem trzeci. Mówcy byli podnieceni, wygrażali komuś pięściami, tłum reagował żywo.

— Patrz, Błażejku — rzekła Walentyna — pan Ksawery też krzyczy i wymachuje pięścią.

Błażej spytał kelnera, co tam się dzieje. Ten odpowiedział, że piwowarzy i sprzedawcy piwa są rozżaleni na rząd za faworyzowanie nowoczesnych browarów, które zalały kraj lichym piwem. Dlatego manifestują.

Deszcz przestał rosić, zza chmury wypłynęło słońce.

— Chodźmy do pana Ksawerego — rzekł Błażej.

Zapłacili i poszli. Za ledwie zrobili kilkanaście kroków, przed pomnikiem coś się zakotłowało.

— Sainte Vierge! — krzyknęła Walentyna — Błażejku, biją go.

Rozległ się gwizdek. Z tłumu wyskoczył pan Ksawery i usiłował uciec. Ktoś go trzymał z tyłu za marynarkę, ktoś inny tłukł go parasolem. Był straszny wrzask, zamęt. Z bocznej uliczki wybiegli policjanci.

Błażej rzucił się naprzód. Widział, jak na głowę mistrza spadają parasole. Nim zdążył ująć się za nim, pan Ksawery był już aresztowany i pod opieką policjanta maszerował do komisariatu. Włosy miał rozwichrzone, oczy niewinne i zdumione, a podbródek silnie mu dygotał.

— Patronie! — wołał Błażej, ale zgiełk uliczny zagłuszył jego słowa.

*

Tej fatalnej soboty, po bezskutecznych próbach porozumienia się z panem Ksawerym, Błażej i Walentyna późno wracali na barkę. Poinformowano ich, że dopiero w poniedziałek zaopiekuje się nimi pilot, który przeprowadzi „La Belle Toinette” przez zawilży węzeł kanałów gandawskich i skieruje na wody tzw. Śpiącej Skaldy. Rzeka ta, ujarzmiana i tresowana przez wiele stuleci, wyrzekła się własnej woli, własnych zachcianek i kaprysów. Między Gandawą a Termonde płynie teraz tak ślamazarnie, że trudno ją odróżnić od sztucznego kanału.

Wstrząśnięci przygodami, Błażej i Walentyna spędzili noc prawie bezseną. Szukali wyjaśnienia tego, co zaszło. O czwartej nad ranem wypili po filiżance kawy i wyszli na pokład. Dzień zapowiadał się ciepły, pogodny.

O godzinie piątej usłyszeli nawoływanie sprzedawcy dzienników. Szedł wzdłuż kanału z pliką gazet pod pachą i zachrypniętym głosem wykrzykiwał:

— Vooruit! La Flandre Liberale! Het Volk!

Walentyna wstała z pokładu.

— Masz drobne? — spytał Błażej. — To kup wszystkie miejscowe gazety.

Obłożyli się prasą, zaczęli szukać wzmianek o zajściu

z panem Ksawerym. Błażej pierwszy znalazł dwuszpaltową relację w „La Flandre Liberale” i głośno ją odczytał:

Gorszący wybryk wariata

NASZ DOBRY KRÓL GAMBRINUS

ugodzony pomidorem w oko

Hałas, biegania i nieoczekiwane aresztowanie — taki był epilog wczorajszego wiecu na Marché-aux-Grains przed pomnikiem dobrego króla Gambrinusa, gdzie piwowarzy gandawscy chcieli zaprotestować przeciwko krzywdzącej ich uchwałie parlamentu.*

W chwili najmniej odpowiedniej, kiedy przemawiał znany w naszym mieście księgowy p. Léo Papstoumper, pewien obcy mężczyzna zaczął wydawać okrzyki: „Naprzód, nie damy się!” Następnie podbiegł do straganu, złapał pomidora i rzucił na króla Gambrinusa, trafiając go w oko.

Oburzeni tym postępkim uczestnicy wiecu pobili awanturnika, a policja zabrała go do komisariatu. Aresztowany daje niejasne odpowiedzi. Istnieje domniemanie, że jest niespełna rozumu.

*

Z kolei Walentyna odczytała i przetłumaczyła notatkę z socjalistycznego dziennika „Vooruit”. Treść była identyczna, zapewne wzięta z tego samego komunikatu lokalnej agencji. Różnica polegała na tym, że zamiast terminu „un fou” figurował w tekście flamandzkim „halvemaft”, czyli półgłówek. Pozostałe gazety nic ponad to nie przynosiły.

O godzinie siódmej Walentyna i Błażej wsiedli do tramwaju, pojechali do miasta, kupili w sklepie placek ze śliwkami, butelkę wina, papierosy, zapalki i wszystko to zanieśli do komisariatu. Dyżurny podoficer policji poinformował:

* Gambrinus, właściwie Jan Primus, legendarny król Gandawy, rzekomy wynalazca piwa i założyciel pierwszego browaru w tym mieście. Nazywany pieszczotliwie „le bon roi Gambrinus”. (Przyp. red.)

mował ich, że niepotrzebnie się trudzili, gdyż sprawca wczorajszych zajść na Marché-aux-Grains został przed pół godziną zwolniony.

Zawrócili więc w te pędy i pojechali na miejsce postoju. Pan Ksawery, skulony, cichy i bardzo smutny siedział na pokładzie „La Belle Toinette”. Kiedy Walentyna objęła go ramieniem, powiedział:

— Boże, Boże...

Błażej odkorkował butelkę, napelnił kubek winem i podał. Pan Ksawery wypił. A potem skarżył się na los, na złe fatum.

— No już — mówiła Walentyna — już po wszystkim. Będzie pan teraz z nami i żadna przykrość pana nie spotka.

Zapewniła, że czuje wzmożoną życzliwość i przyjaźń dla pana Ksawerego, no i gniew na jego prześladowców. Pocałowawszy go w oba policzki spytała, czy jadł śniadanie, potem zeszła pod pokład.

— Patronie — odezwał się Błażej — a czemu to pan rzucił pomidorem w króla Gambrynuśa?

— Ba, mój chłopcze, żebym to ja wiedział. Mówcy przemawiali tak pięknie, tak podniecająco, że nie mogłem się pohamować. Ten Falstaff na beczce miał bezczelną minę, pod ręką były pomidory, no więc, rozumiesz, Błażejku, samo tak się stało. Nie domyślałem się zresztą, że to jest król.

Słyszeli, jak Walentyna się krząta, miele kawę i smaży coś na patelni. Błażej spojrział uważnie na pana Ksawerego i poczuł żal, widząc jego zmizerowane oblicze.

— Bardzo tam pana dręczyli? — spytał.

— Ach nie, Błażejku, byli raczej zakłopotani. Nie wiedzieli, co ze mną robić, i radzili się przez telefon jakiegoś prawnika, który też nie wiedział. Komisarz i jego pomocnik wertowali przez cały wieczór różne przepisy, paragrafy, odnośniki, nie mogli się jednak doszukać obrazy majestatu, boć przecie nie ma dowodów, że król Gambrynuś istniał kiedykolwiek. Noc przedzemałem w poczekalni. O siódmej rano komisarz zatelefonował z mieszkania i kazał ze mnie ściągnąć dziesięć franków za hałasowanie

w miejscu publicznym. Oni to nazywają „tapage en pleine rue”. O, spójrz, Błażejku, mam nawet kwitek.

Zjawiła się Walentyna niosąc na tacy „chefney”, czyli omlet z boczkiem, chleb, kawę i placek ze śliwkami. Pan Ksawery wyraźnie się uśmiechnął.

— No to zjem — oznajmił — a potem zejść na dół, zamknę się w kajucie i trochę porozpaczam.

— Powinien pan spać, zamiast rozpaczać — rzekła Walentyna.

Błażej przebrał się w kombinezon, wziął zgrzebła i poszedł do stajni czyścić Filomenę. Przy burcie „La Belle Toinette” zjawiły się dwie uprzejme damy, wysłanniczki jakiegoś bractwa, i spytały, czy mogą zwiedzić barkę. Pan Ksawery szerokim gestem zaprosił je na pokład. Jedna z nich była lekarką. Chodziło im o to, czy na barce są dzieci i czy nie potrzebują tranu i witamin.

Walentyna poczęstowała damy kawą. Wypiły po filiżance, podziękowały i poszły wzdłuż kanału na poszukiwanie barek z pływającymi dziećmi.

Walentynie zdawało się przez sen, że po pokładzie ktoś chodzi. Usiadła, zaczęła nasłuchiwać. Tak, ktoś tam był, ktoś się ruszał.

— Błażejku!

— Co?

— Ktoś chodzi po pokładzie.

— E, nikt nie chodzi.

Błażej był senny, wtulił głowę w poduszkę. Walentyna postanowiła jednak sprawdzić, poszła. Tej nocy była pełnia, niebo bezchmurne. Walentyna ujrzała pana Ksawerego. Siedział na składanym stołeczku i patrzył w księżyc.

— Co pan tu robi, patronie?

— Ach, to ty. Nie mogłem zasnąć, dręcą mnie złe myśli. Widzisz, moje dziecko, stała się rzecz okropna. Mój uczeń, którego pokochałem, stracił dla mnie szacunek.

— Ale, niech pan nie opowiada takich nedorzeczości.

— Stracił, musiał stracić, bo przecie widział, jak rzucam pomidorem, jak mieszczanie tłuką mnie parasolami.

— Panie Ksawery — przemówiła Walentyna — wszystko jest na odwrót. Błażej dlatego pana szanuje i wielbi, że pan potrafi rzucić pomidorem, że pan nie przypomina jego ojca. Tak, panie Ksawery, Błażej sam mi to mówił.

— Że nie przypominam?

— O to właśnie chodzi. Jego ojciec nie rzuca pomidora-
mi, tak, to prawda, ale w sercu ma chłód. Błażej nie chce
być jak ojciec, Błażej chce być podobny do pana.

— Tak mówił Błażej?

— O, nie jeden raz. Mówił mi o tym przed kilku godzi-
nami.

— Dziękuję ci za te słowa, dobra Walentyno.

*

W poniedziałek wczesnym rankiem zjawił się pilot, a po-
nieważ Filomena stała w uprząży, ruszyli natychmiast
w drogę. Wypadło im przebrnąć przez kilka śluz, przez
kilka skrzyżowań kanałów, dzień był więc ciężki i dla
nich, i dla Filomeny.

Koło południa wszedł na barkę inspektor żeglugi śród-
lądowej. Sprawdził, czy plomby i pieczęcie są nienaruszone,
obejrzał wszystkie zakamarki. Był to flamandzki nacjona-
lista, który nie chciał rozmawiać po francusku. Do pana
Ksawerego zwracał się: „mijnheer kapiteen”, a na Błażeja
mówił: „jonge matroz”.

Gandawa zawsze była wylegarnią antagonizmów języko-
wych. Wiedział o tym pan Ksawery, mimo to z niedowie-
rzaniem patrzył na przybysza, jak na jakie dziwo nie
z tej planety. Po jego odejściu Walentyna orzekła, iż jest
to tak zwany „de lieuw van Vlandern”, lew Frandrii, osob-
nik rozgoryczony, cierpiący przy tym na różne kompleksy.

ROZDZIAŁ IX

Allcocks Colorado Spinner. — Ryby rzeczywiście sa-
me się łapia. — Słone jezioro Donk. — Przegrany
zakład z oberżystą. — Walentyna wprowadza za-
mienny handel rybami. — Dziki dozorca śluzy. —
Wielkie pranie. — Pan Ksawery zaczyna opowiadać.

W zastępstwie Błażeja stanęła przy sterze Walentyna,
a pan Ksawery i jego uczeń pochylili się nad ilustrowaną
broszurą firmy Allcock. Na twarzach ich znać było uwagę
i skupienie.

— Patentowana błystka firmy Allcock — czytał głośno
Błażej — ma bogatą historię. Jak się zdaje, wynalzcami
tego rodzaju łowów na drapieżne ryby byli mnisi z północ-
nych Włoch. Istotnie, w zbiorach poklasztornych nad jezio-
rami alpejskimi Como i Garda można znaleźć okazy bły-
stek ze śladami pozłoty. Uwaga! Uwaga! Allcocks Colo-
rado Spinner jest grubo złocony. Zaufajcie naszym paten-
tom. Allcocks Colorado Spinner nie robi Wam zawodu.
Prawdziwa błystka naszej marki... — Oni się coś za bar-
dzo chwala, patronie.

— Tak, trochę za bardzo. Zobacz dalej, Błażejku, jak
się łapie.

— Zaraz, zaraz... O, tu jest coś ciekawego. Niech pan
posłucha... Każda wytwórnia sprzętów wędkarskich poleca
najdziwaczniejsze błystki własnego pomysłu, jednakże tyl-
ko Allcocks Colorado Spinner zasługuje na baczną uwagę,
gdyż bije wszystkie rekordy świata. Zapamiętaj dewizę na-
szej firmy: Ty trzymasz w rękę Allcocks Colorado Spin-
ner, a ryby same się łapia.

— Same się łapia — z nadzieją w głosie powtórzył pan
Ksawery. — Ale jak należy trzymać? Zobacz no, mój
chłopce.

Błażej przerzucił kilka kartek, znalazł, co trzeba, i czytał:

— Siedząc na rufie łodzi, spoglądamy z ufnością na leżący obok nas Allcocks Colorado Spinner. Kiedy łódź nabierze równomiernego rozpędu, ujmujemy prawą dłonią rączkę kołowrotka (USA Patent), lewą zaś dłonią odwijamy około pięciu jardów linki wraz z osadzoną na turbinie błyską Allcocka, którą ostrożnie opuszczamy do wody. Uwaga, nie rzucać na odległość, nie płoszyć ryb. Wskazującym palcem prawej ręki naciskamy zielony guzik na kołowrotku, wskutek czego zwolniona linka zaczyna się odwijać i osiąga coraz większą długość. Płyniemy, siedząc na rufie, trzymamy w dłoni kołowrotek i z wdzięcznością rozmyślamy o firmie Allcock, albowiem na jej błyskę ryby same się łapia.

— Same się łapia — jeszcze raz powtórzył pan Ksawery, dla którego słowa te zaczynały nabierać magicznego znaczenia.

Spojrzał na ślicznie wykończony kołowrotek, na lśniąca od pozłoty błyską i bąknął nieśmiało:

— No to, Błażejku, może byśmy tak połapali?

— Ale nie ze mną, patronie, bo idę już do steru. W razie potrzeby Walentyna panu pomoże. Ja tylko zarzucę razem z panem.

Błażej zrobił wszystko, co zalecała broszurka, i wetknął kołowrotek panu Ksaweremu do garści.

— Nie potrzebuje pan tak ścisnąć — mówił — bo po co. I niech pan się tego nie boi, patronie. Zobaczmy, co dalej będzie.

Mniej więcej w godzinę po tej rozmowie, wydając głośnie zawadiackie okrzyki, pan Ksawery wyciągnął z wody szczupaka. A kiedy na niebie ukazała się chmurka, kiedy ryby zaczęły brać, wyciągnął jeszcze jednego szczupaka, tym razem ogromnego, i dwa okonie. To już zapowiadało przewrót w ich gospodarce.

— Dzieci moje — zawołał pan Ksawery — ryby same się łapia.

*

Płynęli korytem Śpiącej Skaldy, tak ujarzmionej, tak spętanej sztucznymi nabrzeżami, że się niewiele różniła od kanału. Może byłaby prostsza, gdyby ją ludzie planowali, może uniknięto by pętli pod Uitbergen.

Ale właśnie tam, dzięki pętli w Uitbergen, pan Ksawery dowiedział się w gospodzie od oberżysty o istnieniu słonego jeziora Donk. Tak był tą wiadomością wstrząśnięty, że zawołał:

— Co, słone jezioro? W tej części Europy? Chyba bym coś o tym słyszał, na Boga! Nie, gospodarzu, nie uwierzę w pańskie jezioro, nie uwierzę, nie uwierzę.

— Panie — replikował gospodarz — może się założymy?

— Dobrze, założmy się, daję szczupaka.

— A ja, jeżeli przegram zakład, nic nie wezmę za stajnię i jeszcze dosypię owsa pańskiemu koniowi.

Obaj byli zdenerwowani. Postanowili wyruszyć pieszo, bez zwłoki, polnymi ścieżkami. Gospodarz zapewniał, że do jeziora jest niecałe trzy kilometry.

Poszli, Walentyna załamała ręce.

— I co ja teraz zrobię, Błażejku? Szczupak miał być na kolację, a pan Ksawery przegra.

— Słyszałaś o takim jeziorze?

— Wiem ze szkoły, że jest*.

*

Zgodnie z przewidywaniami Walentyny, pan Ksawery przegrał. Dla podkreślenia własnej kłeski przyniósł butelkę wody ze słonego jeziora. Siedział teraz na pokładzie strapiony i smutny, rozmyślając nad tym, co go spotkało.

Walentyna krzątała się na dole w kuchni. Robiła jakąś jarską potrawę pod beszamelem. Słychać było, jak trze na tarce ser.

— Błażejku — przemówił pan Ksawery — cóż są warte

* Słone jezioro Donk, 88 hektarów powierzchni, kąpieliska, sporty wodne. Posiada swoistą florę i faunę. (Przyp. red.).

lata moich studiów, przeczytane książki, encyklopedie, czasopisma, skoro pierwszy lepszy karczmarz może mnie zapędzic w kozi róg.

— To przypadek, patronie.

— Jaki tam ze mnie patron, Błażejku. Fujara, nie patron.

Walentyna nakryła do stołu i zeszła pod pokład, skąd po chwili wróciła z tacą.

Błażej mrugnął porozumiewawczo na Walentyne. Odpowiedziała skinieniem głowy, że uszanuje nastrój. Jedli w milczeniu. Stropiony pan Ksawery unikał wzroku współbiesiadników. Wciąż myślał o słonym jeziorze i czuł się jak mąż, który ni z tego, ni z owego stwierdził, że od trzydziestu lat jest rogaczem.

Na dobitkę zwycięski oberżysta ukazał się w oknie. Miał serwetkę pod brodą, w rękę trzymał widelec z dzwonkiem szczupaka.

— A co — ryknął — woda słona?

Nieoczekiwana konfuzja, której pan Ksawery przez kilka dni nie mógł przeboleć, miała dla ich życia na barce doniosłe następstwa. Walentyna, dziedziczka świetnych tradycji handlowych i gospodarskich swej rasy, połapała się szybko, że z ostatnich wypadków można wyciągnąć pożyteczną naukę. Jej rozumowanie tak się przedstawiało.

Ponieważ oberżysta ofiarował Filomenie nocleg i paszę za szczupaka, ponieważ ryby same się łapią, to wprowadziwszy handel zamienny rybami można będzie opędzić bieżące wydatki i nawet, kto wie, coś zarobić.

Na następnym postoju wzięła do koszyka kilka ryb i poszła na targowisko. Przyniosła trzy bitki baranie, puszkę pasztetu, masło, jaja, ser limburski, pieczywo i plik ilustrowanych tygodników.

Początek był zrobiony. Odtąd stało się jasne, że mogą pływać po kanałach bez troski o chleb powszedni. Nad ich aprowizacją czuwała firma Allcock.

Zajadając baraninę z rusztu, pan Ksawery rzekł:

— Ach, drodzy moi, powinniśmy klęknąć i odmówić paciorem na intencję Allcocka, żywiciela naszego.

Roztrząsali dziwny splot wypadków, który doprowadził ich gospodarstwo na barce do nieoczekiwanego rozkwitu.

— I pomyśleć — dodał Błażej — żeśmy się wahali w Gandawie, czy kupić błystkę, czy nie kupić.

Jedli obiad pod daszkiem z brezentu, który ich chronił przed słońcem i letnich upałów. Daszek był zawieszony na czterech cienkich słupkach. Końce słupków tkwiły w mosiężnych tulejkach osadzonych w pokładzie. Było południe. Filomena też się posiłała. I jej przysługiwał w porze obiadu godzinny odpoczynek. Stała na brzegu trzymając pysk w worku z owsem.

— Jedno tylko wspomnienie psuje mi humor — odezwał się Ksawery — to ten szelma oberżysta z Uitbergen.

— Niech pan źle o nim nie mówi, patronie — zaproponowała Walentyna — przecież jemu zawdzięczamy pomysł z handlem wymiennym.

— Tak, ale wołał do mnie przez okno: „A co, woda słona?”. Ach, ja mu tego nigdy nie zapomnę.

*

Co właściwie zaszło w Dendermonde, trudno ustalić. Walentyna wzięła kobiałkę ze szczupakiem (tym razem wyjątkowo był tylko jeden) i poszła do miasta. Błażej wyprzął Filomenę, przeprowadził na drugi koniec śluzy, tam ją przywiązał do palika.

— Patronie — zawołał — chciałbym się trochę przejść. Da pan sobie radę?

— Dam, dam, bądź spokojny.

Błażej poszedł. Samotny Ksawery pozostał na barce.

W godzinę później Walentyna i Błażej, którzy się spotkali w mieście, wrócili do śluzy. Barka była już na dolnym poziomie, a w cieniu brezentowego daszku siedziała na pokładzie ludzka kulka.

Ta kulka, to był skulony pan Ksawery. Oburącz trzymał się za głowę. Na czole miał guz wielkości kieszonkowego zegarka.

— Kto pana tak oporządził? — spytał Błażej.

— Dozorca służy.

— Jak to się stało?

— Powiedziałem: „Bonjour, mon ami”, a on zdjął z nogi sabot i dał mi w łeb.

Walentyna orzekła, że wypadaloby zaprowadzić patrola do pobliskiej apteki. Wzięli go więc pod ręce i powiedli. Na ich widok aptekarz kiwnął przyjaźnie głową.

— Poznaję robotę — oznajmił — to dozorca, on jest lwem Flandrii.

Dodał, że w sezonie często miewa takich pacjentów. Nałożył na guz warstwę maści, pokrył gazą, nakleił różowe paski plastra.

— Et voilà — oznajmił z zadowoleniem.

Błażej był wściekły na dozorcę, chciał go odnaleźć i stłuc na kwaśne jabłko. Walentyna, lękając się słusznie dalszych awantur, nagliła do odpłynięcia. Ponieważ pan Ksawery nie był mściwy, opuścili rychło niedobre miasto Dendermonde.

Na schyłku dnia, spożywając wieczerzę na pokładzie, zastanawiali się nad sensem ostatnich wypadków.

— Tak, trzeba przyznać — mówił pan Ksawery — że dozorca służy jest istotą dziką i niebezpieczną. Ale, przebóg, jastrzębie też zaliczano w czambuł do szkodników, a teraz podlegają ochronie. Może ten dozorca ma do spełnienia jakąś misję w biotopie kanałów Flandrii, któż to odgadnie?

Dotknąwszy końcami palców guza na czole, pan Ksawery tak zakończył swój dyskurs:

— Odkąd przeczytałem rozprawę Giovanniego Pazzi o siedmiu zagadkach bytu, gotów jestem wypuścić szczura z pułapki. Pazzi wierzy w celowość natury, twierdzi jednak, że jest niepoznawalna.

— Niech sobie będzie niepoznawalna — powiedział Błażej — ale tego dozorcę z chęcią bym poturbował.

Płynęli teraz wodami rzeki Dendre lub Dender, jak kto woli, przerobionej na splawny kanał. (Od Dender pochodzi

nazwa miasta Dendermonde, w którym pan Ksawery niewinnie ucierpiał.)

Pewnego razu, podczas postoju w jakiejś wiosce, Walentynę ogarnął gospodarski zapał. Wyniosła na pokład blaszaną balijkę i zawołała:

— Idźcie sobie, urządzam wielkie pranie. I żeby was oczy moje nie oglądały aż do wieczora.

Była godzina czwarta po południu. Pan Ksawery wstał do swej kajuty, zabrał stamtąd jakiś zwitek papierów i wraz z Błażem zeszedł na ląd. Nie wiedząc dokąd by tu iść, powędrowali ku kępie koślawych wierzby nad wodą.

— Niech pan spojrzy na wierzby — odezwał się Błażej — zupełnie jak na Mazowszu. Może byśmy tak siedli w ich cieniu.

Pan Ksawery skinął głową.

— Masz słuszność, chłopcze. Jest to rzadka w naszych warunkach sposobność swobodnego pogawędzenia po polsku.

Błażej na to:

— Odkąd we trójkę pływamy, rozmawiam stale po francusku, myślę po francusku, sny miewam francuskie i słyszę we śnie francuskie dialogi.

— Ja to samo, Błażejku. Zdarza się też, kiedy piszę w nocy przy lampce parafinowej, że moje myśli zaczynam tłumaczyć z francuskiego na polski.

— A co pan pisze?

— Dla własnej przyjemności, Błażejku, dla własnej przyjemności.

Siedli pod wierzbą, na której ćwierkał jakiś ptaszek. Błażej przemówił:

— Niechże mi pan opowie, patronie, coś ciekawego. O jakim domu, w którym straszny, i dlaczego ludzie boją się trzynastki, i dlaczego jaja liczą na kopy, a snopki zboża na mendle, i dlaczego pociągi w Belgii chodzą lewym torem, i czy mańkut może grać na skrzypcach, i dlaczego w Poznaniu jest tak mało poetów...

— Hola, hola, Błażejku — zawołał pan Ksawery. — Za wiele byś chciał wiedzieć na raz. Zamiast roztrząsać spr-

wy, do których musiałbym się zresztą rzetelnie przygotować, proponuję ci dziś biesiadę literacką.

— Zgoda, niech będzie biesiada literacka.

— Odczytam ci opowieść o pewnym biskupie, co źrebce hodował.

— O, to może być ciekawe.

— Nadzwyczajnie ciekawe.

— No to słucham.

— Skup się, Błażejku.

— Obiecuję panu, że się skupię.

Pan Ksawery zapalił papierosa, uporządkował kartki rękopisu i zaczął czytać.

ROZDZIAŁ X

Zajęty w całości przez opowieść pana Ksawerego. — O biskupie, co źrebce hodował. — O młodym poecie Marku. — O zamówionej przez biskupa pieśni. — O kamieniarzach, którzy tej pieśni nie chcieli śpiewać. — I o innej pieśni, którą chętnie śpiewali.

Ariański Chrystus miał oczy wizjonera, ściągnął twarz bez zarostu i bujne jasne kędziory. Wokół głowy Chrystusa biegł ognisty krąg, a w kręgu połyskiwały trzy złote promienie, jeden pionowy tuż nad czołem i dwa poziome.

Marek, choć arianinem nie był, wpatrywał się w mozaikę z zachwytem i lękiem. Onieśmielały go zwłaszcza oczy Zbawiciela. Kiedy stał z lewej strony, oczy patrzyły w lewo, kiedy przechodził na prawą stronę westybulu, oczy zwracały się w prawo. Cztery pola wewnątrz aureoli były geometrycznie wyrównane, a każde z nich zawierało około trzydziestu niebieskawych kamyków. Dawno już Marek zdążył je przeliczyć; czasu miał dość, gdyż co piątek czekał wczesnym rankiem na wezwanie biskupa, który spał w atrium na wąskim łożu zasłanym wilczymi skórami.

Nad łożem, między jednym z filarów a ścianą, był zawieszony płat spilśnionej tkaniny wełnianej, która przypominała jego dostojności namiot żołnierski. Albowiem za młodu biskup był wojakiem i dużo się nawłóczył po polach bitew, znał klęski, znał zwycięstwa. Pozostało mu z tamtych czasów zamiłowanie do koni i do szerokiej przestrzeni. Jeżeli zamieszkał w rzymskiej willi podmiejskiej, to tylko dlatego, że w licznych zakamarkach i kryjówkach domostwa mógł przechowywać księgi i skarby kościelne, archiwa diecezji oraz pieniądze wpłacane przez diakonów na budowę bazyliki Św. Andrzeja.

Opowiadano o biskupie, że pochodzi z królewskiego rodu, że jest nieprawym potomkiem Alaryka I. Jedno było pewne i tego nie ukrywali skrybowie diecezjalni, że miłościwie panujący król Euryk pisuje do jego dostojności listy zaczynające się od słów: „Czcigodny krewniaku, sercu mojemu miły”.

Tym razem Marek, patrząc na mozaikę, zaczął się zastanawiać, dlaczego błogosławiący Chrystus ma trzy palce zgięte, jak gdyby schowane w śródreżcu, a dwa sztywne. Słyszał od arian, iż jest to szczegół nader ważny, że inaczej nie wolno wyobrażać świętej prawicy. Lewa dłoń Chrystusa trzymała rozwinięty pergamin, na którym widniał napis sporządzony gockim alfabetem. Wszystko to było zagadkowe i niepokojące.

Za kotarą ktoś zakasłał, odcharknął i splunął. Po chwili zakasłał drugi raz i znów splunął. Dało się słyszeć cłapanie sandałów po posadzce, hałas przesuwanego sprzętu, brzęk naczyń. Marek nadstawił ucha, a znał te odgłosy. Wiedział, że biskupowi, który zawsze kaszle po przebudzeniu, podano ranny posiłek, że postawiono przed łóżem stolik, a na nim dzban z gorącym mlekiem, srebrny kubek i pokrajany chleb jęczmienny.

Późno się dziś ocknął jego dostojność biskup po nocnym święcie nad rzeką, po uroczystych modłach za pomyślność brodu. Marek tam nie był, zatrzymała go matka, ale z oddali widział blask łuczyw, słyszał też okrzyki jeźdźców cwałujących przez bród. Zawsze tak się działo, co roku. I Marek nie mógł zrozumieć, dlaczego szlachta ariańska wraz z biskupem przywiązuje tyle wagi do zwykłej płycizny na rzece, bo wszak po Rzymianach pozostało wiele kamiennych mostów i nikt przez wodę już się nie przeprawał. W samym mieście też był wygodny most.

Za kotarą uderzono w drewnianą kołatkę. Jego dostojność biskup wzywał katechumena wyznaczonego na ten rane, by służył mu pomocą przy wstawaniu i przy porannych modłach.

Marek wyczuł wkrótce, że biskup jest zły, gdyż często przerywa młodzikowi i łaje go za wadliwą wymowę litur-

gicznego tekstu; modlili się bowiem w starym języku kościelnym, dziś już dla ogółu arian niezrozumiałym. Gniewliwy bas biskupa mieszał się zabawnie z zawozeniem katechumena, który właśnie przechodził mutację głosu.

*

Siedziba jego dostojności mieściła się w murowanym domu patrycjusza rzymskiego. Opowiadano, że dawny właściciel czegoś się przeląkł i umknął z żoną i dziećmi pozostawiając dobytek w nienaruszonym stanie. Opowiadano też, że kiedy biskup zajął ów dom, a stało się to przed dwudziestu laty, w westybulu była fontanna, w basenie pływały karaski. Podobno na tyłach domostwa był wielki park, a w nim zacienione szpalerami uliczki, wygodne ławy do wypoczynku i wiele kamiennych figur ustawianych wśród krzewów.

Na rozkaz biskupa obalono w ogrodzie figury, poutrącano im głowy i ręce, wycięto drzewa i krzewy. Następnie zwieziono z lasu budulec i na opustoszałej ziemi stanęły kryte trzciną obory, stajnie, spichlerze i inne zabudowania folwarczne; wyrównano klepisko do młocki, wprowadzono z Massilii sprzęty rolnicze.

Biskup był bogaty. Kiedy posiadał na własność rzymskie domostwo, miał stado krów, stado owiec i coś ze trzydzieści koni, nie licząc źrebiąt. O krowy i owce nie troszczył się zbytnio, ale w opiekę nad końmi wkładał wiele serca, więcej niż w opiekę nad duchowieństwem diecezji. Znakomity przychówek koński sprzedawał z dużym zyskiem na dorocznych jarmarkach w Carcassum.

Marek słyszał też od ludzi, że po ucieczce patrycjusza i po zajęciu domu przez służbę biskupa, w jednym z pokoiaków na piętrze znaleziono pulpit, przybory do pisania, a na półce tuż nad pulpitem kilkanaście ksiąg w skórzanych okładzinach. Prócz tego w wielkim glinianym garnku, który stał na posadzce, tkwiły luźno jakieś dziwaczne zwoje na drążkach.

Jego dostojność z uwagą wszystko to obejrzał, polecił

służbie znieść na dół, czytał przez kilka wieczorów, a potem obłożył kłatwą i spalił.

Marek, choć nie miał jeszcze dwudziestu lat, był świadkiem wzrostu biskupiej potęgi i bogactwa. Jego dostojność nie lękał się króla ani metropolity z Tuluzy, ale bardzo się bał koniokradów. Toteż kazał opasać dziedziniec swej posesji częstokołem z zaostrzonych pali. Prócz tego przyjął pod dach kilku gockich weteranów, którzy strzegli mu dobytku i pilnowali zatrudnionych w polu Akwitańczyków.

Mając wreszcie spokojną głowę, jego dostojność mógł pomyśleć o wzniesieniu nowego kościoła.

*

W mieście tym, jak i w wielu innych miastach Akwitanii, między duchowieństwem ariąńskim a duchowieństwem rzymskim panowała od pewnego czasu zgoda. W kraju był spokój, nikt z nikim nie wojował, szlachta gocka twardo zasiadła już na roli i rzadziej stosowała gwałty wobec tuziemców.

Z jednej strony rzeki mieszkali w drewnianych domach arianie różnych stanów i zawodów, rycerstwo, duchowieństwo. Tu stał kościół ariąński, też drewniany, ale od kilku lat budowano z ciosanych głazów nową wspaniałą bazylikę ku chwale św. Andrzeja męczennika.

Po drugiej stronie rzeki, za mostem, wśród ruin dawnego miasta rzymskiego gnieździła się w ciasnocie i nędzy ludność tubylcza, znacznie liczniejsza od gockiej, mimo to pokorna i chętna do pracy. Główny kościół łaciński miał wielu parafian. Mieścił się w murach dawnej świątyni Minerwy. Dwa inne kościoły i kilka kaplic też były przerebione z pogańskich miejsc kultu.

Zgoda między duchowieństwem ariąńskim i łacińskim nie wypływała z wzajemnej uprzejmości. Było to tylko chwilowe zawieszenie broni w obliczu wspólnego wroga. Albowiem w niedostępnych Górach Pirenejskich, w dolinie rzeki Sicoris ukazał się eremita Calcarius, człek niepoczy-

talny, który rozsyłał listy i głosił, że diabły i diablice nadal płodzą potomstwo, że wobec tego diabłów stale przybywa i mogą zmajoryzować aniołów. A wtedy, biada chrześcijanom!

Bałamutna ta nauka znalazła zwolenników zarówno wśród księży ariąńskich, jak i łacińskich. Zatrwożeni biskupi obu wyznań zawiesili potoczne spory teologiczne, by walczyć z groźną herezją. Odtąd z mównic kościelnych rozbrzmiewały kłatwy rzucane na głowę Calcariusa.

*

Jego dostojność biskup skończył poranne modły, napił się po raz drugi mleka i uderzył w drewnianą kołatkę. Teraz zamierzał poddać się zabiegom upiększającym, które miały mu służyć przez cały tydzień. Kiedy na dźwięk kołatki Marek wszedł do atrium i przykleknął na jedno kolano, biskup powitał go słowem „Salve”. Po chwili dodał w potocznym narzeczu akwitańskim:

— Choć jesteś nędznym łacinnikiem, masz więcej rozsądku niżli niejeden z moich uczniów.

I złym okiem spojrzął na katechumena. Marek nic nie odrzekł na tę pochwałę, schylił tylko w podzięcie głowę i zajął się przygotowaniami. Postawił przed biskupem miedzianą misę z wodą deszczową, dołał czarkę wody różanej, wyjął z wnęki w ścianie cedrową szkatułkę ze sproszkowanym pumeksem, fiołkę z balsamem arabskim i agatowy moździerz, na którego dnie leżała kruszyna błękitu zwanego kamieniem lazurowym.

Biskup miał na nogach gockie portki parciane, długie, sięgające kostek. Wszyscy arianie, bogaci i biedni, nosili takie portki zimą i latem, nawet podczas upałów, co zdumiewało odzianych lekko Akwitańczyków.

Pod lewym uchem biskupa wisiał wspaniały kolczyk, na który Marek nie mógł się dość napatrzeć i często wodził za nim wzrokiem. Był to złoty dzwoneczek w kształcie stożka, spodem zamknięty, ozdobiony spiralą z drobnych rubinów. Od wewnątrz czaiły się w nim jakieś kamyczki czy me-

talowe kulki, dzięki którym dzwoneczek przy lada porużeniu cichutko dźwięczał.

Przed wyjściem z domu jego dostojność biskup wdziewał zwierzchnią szatę duchowną, najczęściej jaskrawożółtą ze szkarłatnymi brzegami. Opasywał się zielonym paskiem wełnianym, wzmocnionym nitkami srebra. Z pasa zwieszały mu się różne przedmioty, między innymi mieszek do pieniędzy, sztylet w skórzanej pochewce, wycięta w koralu mała piastka, która chroniła go przed złym spojrzeniem pogan, złota blaszka z imieniem św. Apolinarego przeciwko bólowi i zawrotom głowy oraz sycylijski alrunik do odpędzania czarów. Pas spinała brosza bursztynowa z wyrzeźbionym okiem Opatrzności. Podczas uroczystych świąt biskup przywdziewał szatę koloru ametystu, utknaną z wełny barwionej prawdziwą purpurą.

Mimo te wszystkie wspaniałości, suknie biskupa były kuse i nie zakrywały zmiętych i zakurzonych nogawic, co wprawiało Akwitańczyków w cichą, ledwo wyczuwalną wesołość.

Katechumen chciał pomagać Markowi, potknął się i omal nie wywrócił stolika z pachnidłami.

— Idź do westybulu i waruj — rzekł biskup.

Marek zajął się rozcieraniem błękitu. Okruch, nie większy od ziarnka soczewicy, miał starczyć na obie biskupie ręce. Wiedział, że nie zabraknie. Od roku z okładem w każdy piątek wykonywał ten delikatny zabieg.

Biskup zanurzył w misce dłoń, schylił się, powąchał pachnącą wodę i mruknął z zadowolenia. Marek odliczył do moździerzka kilkanaście kropel balsamu i z uwagą, bez pośpiechu rozgniatał kamyk tłuczkiem. Dodał jeszcze kilka kropli, zaczął rozcierać. Zazwyczaj podczas długotrwałych zabiegów toaletowych jego dostojność prowadził z Markiem przyjazne rozmowy, troszczył się o jego sprawy osobiste, o domowy dostatek, nawet o zbawienie duszy. Pieniądzy mu nie dawał, ale kierował go do kuchen, gdzie Marek otrzymywał dwa duże bochny chleba, woreczek soli i połęć wędzonego mięsa albo odleżały ser, twarde i tak tłuste, że plamił chlamidę. Zapasy te, uzupełnione jarzynami i wi-

nem z miejskiego targowiska, starczały zwykle Markowi i jego matce do następnego tygodnia.

— Zgaduję po twojej minie — odezwał się biskup — żeś jeszcze nie ułożył pieśni o świętym Andrzeju.

— Wasza dostojność... — Marek coś bąknął zawstydzony i zamilkł.

— Mów wyraźniej.

— Wasza dostojność, nie znam rzetelnej lacy.

— Ułóż pieśń w plebejskim narzeczu. Rzekłem ci przecie, że to dla kamieniarzy, tych, co budują kościoł.

— Od ubiegłego piątku rozmyślałam nad tą pieśnią i nic nie mogę sklecić. Słowa giną, gdzieś się zapodiewają, zdania wychodzą koślawe.

Po chwili Marek dodał:

— Uniesienia mi brak, wasza dostojność, a nie chciałbym uchybić świętemu Andrzejowi.

Biskup zasępił się, zamilkł. Marek ukląkł przy miedzianej misie i zaczął nacierać sproszkowanym pumeksem biskupie ręce. Tarł je, polewał wodą sięgając coraz wyżej i wyżej, ponad łokcie.

Zdrapywał brud i ślady zeszłotygodniowej farby. Tarł, polewał, aż wreszcie uznał, że skóra stała się czysta.

— Przecie święty Andrzej — odezwał się biskup — jest czczony w obu kościołach, w naszym i w waszym.

— Wiem o tym, wasza dostojność, znam żywot świętego Andrzeja męczennika.

Teraz miała nastąpić najważniejsza faza toaletowego zabiegu, malowanie błękitnych żyłek na palcach, na kciach dłoni i na skórze przedramion jego dostojności biskupa. Marek nakrył niski stołek chustą płócienną, poustawił na nim przybory, porozkładał trzcinki i strugane drewnianki z końcami omotanymi ledwo dostrzegalną odrobiną gęsiego puchu.

Biskup po namyśle przemówił:

— Nie rozumiem, dlaczego nie miałbyś napisać pieśni o świętym Andrzeju. Sam mi mówiłeś, że twój ojciec był śpiewakiem ulicznym, musiał cię więc tych kunsztów pouczyć.

— Tak, to prawda, uczył mnie śpiewów na różne życia przypadki, uczył mnie...

Jak gdyby coś sobie przypomniawszy, biskup przerwał Markowi i spytał go twardo:

— Słuchaj no, chłopcze, czyś ty aby jest chrzczony?

— W ubiegłym roku mnie ochrzczono, w przeddzień święta narodzin Zbawiciela.

— Kto cię chrzcil?

— Diakon Fortunat.

— Ten, na którego Sturnus wołają?

— Ten sam, wasza dostojność, Sturnus.

— A czy zanurzył cię całego?

— Aż stuknąłem ciemieniem w dno baptysterium.

Biskup z uznaniem skinął głową.

— Tak, to sumienny diakon, mówiono mi o nim.

Ostrożnie, w skupieniu Marek wykonał pierwsze musnięcie farbą poniżej głównego stawu wskazującego palca. Żyłka wypadła dobrze, biskup był rad.

— Nie śpiesz się — rzekł — i na razie nie myśl o świętym Andrzeju.

Marek narysował żyłki na palcach i na grzbietach rąk. Zajął się przygotowaniem drugiego roztworu barwnika do malowania grubych żył na przedramionach. Obsługując jego dostojność zawsze się zastanawiał, dlaczego krew arian jest błękitna, a pozostałych ludzi czerwona. I dlaczego arianom tak bardzo zależy na podkreśleniu tego faktu, że aż wzmacniają zarys żył zawiesiną lapis lazuli.

Raz się zdarzyło (mówili o tym Markowi wiarogodni ludzie), że do Tuluzy zjechał pewien bogaty Frank, łacinnik. Wezwał cyrulika i kazał sobie dorobić na rękach błękitne żyłki. Lekkomysłny ten człowiek żył potem krótko, zaledwie kilka godzin, gdyż dwaj szlachcice arikańscy, których przypadkiem spotkał, zarabali go w jakimś zaułku. Ano, sam sobie winien, łacinnikom nie wolno i każdy o tym wie.

Chociaż, chociaż, różne dziwy opowiadano cichaczem. Na przykład przed kilku laty zdarzył się wypadek podczas nocnego święta brodu na rzece. Jeden z jeźdźców

spadł z konia i uderzywszy głową o kamień zaczął krwawić. Jego towarzysze schwytali jakąś młódkę Akwitankę, zdarli z niej lniane gielezko i poszarпали na szmaty. Przemyli jeźdźcowi ranę, owiązali, przy czym jedną ze zbrukanych krwią szmatek pozostawili przez zapomnienie nad rzeką. Była noc, światło łuczyw jest migotliwe, mogli więc przeoczyć.

Nazajutrz ludzie znaleźli porzuconą szmatkę i ze zdziwieniem stwierdzili, że krew arikańska niczym się nie różni od krwi łacinników.

A jednak, coś tu się nie zgadzało. Bo gdy Marek stał, zeszkobał i splukał wszelki brud z rąk jego dostojności, to przez różową skórę wyraźnie przeświecały błękitne żyłki.

Malowanie dobiegało końca. Kiedy Marek zajął się uprzątnięciem przyborów, biskup wrócił do tematu, który obu ich nękał, do niespełnionej pieśni o świętym Andrzeju.

— Powiedz mi, chłopcze, czyś ty nie miał w rodzie jakiej wiedźmy?

Marka te słowa tak zaskoczyły, że zaniemówił na chwilę. Potem wybąkał:

— Wiedźmy... nie, nie, nigdy. Matkę moją znacie, wasza dostojność.

— A twoja babka, prababka?

— Babka była dobrą chrześcijanką, prowadziła mnie do kościoła. O prababce nic nie wiem, ale myślę, że chyba też była chrzczona, skoro jej córka i wnuczka wyrosły na prawe chrześcijanki.

Biskup zgodził się z Markiem, że tak musiało być, i wyraził zadowolenie. Sięgnął do mieszka, wyjął złoty pieniądz i rzucił na stolik.

— Przyjrzyj się — rzekł — jest to solid cesarza Konstantyna. Będzie twój, jeżeli ułożysz pieśń o świętym Andrzeju.

Widząc, że Markowi aż rumieńce wykwitły na twarzy, biskup dodał:

— Będzie twój, jeżeli kamieniarze zechcą ją śpiewać. Ułożysz pieśń, pójdziesz do kamieniarzy i pouczysz ich słów. Musisz im wytłumaczyć, że skoro budują bazylikę ku chwale świętego Andrzeja... Co tam?

Ktoś szarpnął kotarą, do atrium zajął gocki wojak z włosami zaplecionymi w krótki warkocz. Podniósłszy do czoła dłoń, zawołał:

— Wasza dostojność, klacz się źrebi.

Biskup zerwał się z krzesła.

*

Marek i jego matka mieszkali w opuszczonej piekarni, a raczej w przylegającym do niej młynie, gdyż resztę pomieszczenia zajęli inni lokatorzy.

Młyn był ciasny, składał się z jednej izby. Pośrodku sterczała jeszcze maszyna młyńska, właściwie jej część, wielki kamienny kielich osadzony głęboko w ziemię (dla tego trwał mimo wojen i wielokrotnych rabunków). Druga część maszyny w kształcie stożka dawno już znikła, a kto ją wywłókł i po co, tego nawet matka nie wiedziała. Zresztą stożek nie był im potrzebny. W kielichu trzymali wodę na użytek domowy.

Akwedukt miejski dawno już przestał działać, zamulił się i wysechł, gdyż arianie nigdy nie dbali o dopływ świeżej wody. Konie i bydło poili w rzece, a własne pragnienie gasili serwatką albo skwaśniałym mlekiem.

Na klepisku, dokoła kamiennego kielicha, znać jeszcze było ścieżkę wydeptaną przez osiołka, który z zasłonięty mi oczyma dreptał tu niegdyś przez cały dzień mieląc mąkę. Minęły te czasy, dziś zboże rozcierały kobiety na prostackich żarnach.

W łańskiejskiej dzielnicy miasta panował bezustanny gwar. Ludzie spędzali większość dnia na ruinach forum i na ulicach. Pod gołym niebem pracowano, handlowano, kłócono się o pieniądze, zbierano plotki, chorowano, nawet umierano. Ponieważ kanalizacja nie działała i nikt nie uprzątał śmieci ani ich nie wywoził, w mieście był wieczny zaduch, nad którym górował jednak przyjemny dla Akwitańczyków aromat czosnku.

Arianie, którzy nie lubili murowanych bydunków i do czosnku czuli odrazę, założyli własną dzielnicę po drugiej

stronie rzeki. Było to szeroko rozrzucone zbiorowisko folwarków i domów dworskich, zaopatrzonych w czworokątne wieże obronne ze strzelnicami.

Marek zdał matce relację ze swej bytności u biskupa. Kiedy się dowiedziała o złotej monecie pozostawionej na stoliku, była przerażona.

— Nie lękaj się — rzekł jej na to — nie udusi mnie kat.

Matka skończyła przebierać bladezielone listki dmuchawca zerwane rankiem na południowy posiłek. Przemyla je wodą, polała oliwą i octem. Jeden listek, jak zwykle, cisnęła w ciemny kął dla rodzinnych larów. Odkrajała plaster wędzonej baraniny i położyła na ławie obok miski z sałatą.

— Masz, jedz, a nie zapomnij o modlitwie.

Marek był głodny, wymamrotał więc modlitwę byle jak, bez zastanawiania się nad jej treścią. Szarpał zębami twarde mięso, wpychał do ust zieleninę, a ściekający tłuszcz łakomie zlizywał z palców. Najadł się, popił winem zmieszonym pół na pół z wodą, był szczęśliwy.

— Co to za hałas? — spytała matka.

Słychać było krzyki, łoskot zamykanych drzwi, bieganie. Najwyraźniej w mieście był poploch. Marek podniósł się z ławy, by wyrzeć na ulicę, matka stanęła przy nim.

— Chowajcie się — wołał jakiś przechodzień — chowajcie się, łapacze idą.

W wejściu do zaułka ukazali się w chwilę potem dwaj arikańscy mężowie z przypasanymi mieczami. Szli bez pośpiechu spoglądając z pogardą na uciekających Akwitańczyków.

— Boże miłosierny — szepnęła matka — ciebie szukają.

*

Marek musiał czekać. Kazano mu stać pod ścianą. Stał więc i patrzył na biskupa, który się kłócił z koniuszym. Spierali się o coś gorąco, ale Marek nic nie mógł zrozumieć, gdyż mówili po grecku. Zauważył tylko, że jego dostojność ma ręce lśniące i brudne, zapewne od żrebaka.

Po uporczywym targu koniuszy zgodził się przyjąć wiązkę ziół, którymi biskup wymachiwał przed jego twarzą. Złożył ukłon i wyszedł. Potem zjawili się dwaj księża cuchnący zsiadłym mlekiem i długo coś opowiadali, też po grecku. Wreszcie wynieśli się ucałowawszy biskupią dłoń. W atrium zostali dwaj łapacze z mieczami.

— Moja kolej — pomyślał Marek.

Biskup chrząknął, spojrzął na swoje ręce, potem na Marka, potem znów na ręce i wytarł je chustką. Zgodnie z obyczajem, Marek przyklękął na jedno kolano.

— Chodź no tu — odezwał się biskup — tu, tu, bliżej. Stań prosto i spójrz mi w oczy.

Marek wykonał rozkaz, spojrzął w oczy, ale nie mógł ukryć zmieszania, nawet trwogi, gdyż łapacze przyglądali mu się z wyraźnym zaciekawieniem i szeptem zamieniali uwagi.

— Czyś to ty mi zabrał złotą monetę? — spytał biskup.

— Nie, wasza dostojność, nie zabrałem.

— Leżała na tym stoliku.

— Wrzuciłem ją do sakwy waszej dostojności. O, tam ją wrzuciłem.

— Po co?

— Bałem się zostawić w pustym atrium.

— Podaj mi sakwę.

Marek zdjął z haka skórzany worek i podał. Biskup wytrząsnął zawartość. Posypały się na stół wisiorki z brązu, miedziane krzyżyki, klamry, spinki, fibule, guzy, rogowe tabliczki z rytymi imionami apostołów i męczenników, amulety przeciw febrze i końskim chorobom, bryłki bursztynu, kamyki zwane bezoarami, które chronią przed mrowym powietrzem. Wśród tego drobiazgu błyszczała złota moneta Konstantyna.

Na skinienie biskupa łapacze wyszli.

*

Marek należał do bractwa grajków weselnych. Wprowadził go tam przed pięciu laty ojciec, który wkrótce potem

zmarł na niedobłą gorączkę (zaczęła trapić ludzi po wyschnięciu rzymskiego akweduktu).

Pozostawszy z matką Marek miał się różnych zajęć, nigdy jednak nie zaniedbywał konfraterni śpiewaczej. Układał ku zadowoleniu odbiorców piosenki tkliwe, tęskne, to znów dla odmiany krotochwilne, czasem swawolne, co niby same się rodzą z weselnego tumultu, z oparów winnych, z podniecenia.

Lecz teraz, rozmyślając nad pieśnią o świętym Andrzeju, Marek był bardzo przygnębiony. Aż go policzki piekły, aż mu huczało w głowie od wielkiego wysiłku. Unikał ludzi, biegał do dębowego lasu i tam, chodząc wśród drzew, powtarzał słowa, których uroku nie czuł:

Przynieśli dwie belki, ustawili żwawo,
Jedną w poprzek drugiej, krzywo i koślawo,
Wbili kilka ćwieków, cztery zostawili,
Ach, dlaczego cztery? Dowiedzcież się, mili:

Dwa ćwieki na ręce, dwa ćwieki na nogi,
Oto, co zamyślił prześladowca srogi.
Już kogoś prowadzą, zamęczą go ninie,
Padnij na kolana, wierny krześcianinie.

Marek zamilkł, gdyż dojrzał wśród mchów sterczącego zuchwale smardza. Schylił się, jednym szarpnięciem zerwał płataninę łądzek babiego moru i znalazł pod leśną pokrywą całą rodzinę grzybów. Były jędrne, pachnące, zbierał je więc z ochotą i cieszył się na myśl, że zrobi matce niespodziankę.

Potem znów chodził po lesie i uczył się wiersza, by go w najbliższy piątek zaśpiewać przed biskupem. Zwrotki były nędzne, żalodne, o tym nie wątpił ani chwili, cóż, kiedy na lepsze nie mógł się zdobyć.

O, biada ci, biada, achajski żołnirzu,
Coś podał oprawcy te gwoździe ze spiżu,
Lamentujże teraz i proś przebaczenia...

Marek dojrzał nowe stanowisko smardzy. Zbierając je pomyślał, że trzeba teraz wracać, aby matka zdążyła przygotować grzyby na południowy posiłek.

*

Biskup był zachwycony pieśnią o świętym Andrzeju. Kazał ją Markowi jeszcze raz odśpiewać, a potem, plasnawszy się z zadowolenia dłonią w udo, zawołał:

— Tak trzeba układać pieśni dla akwitańskiego pospólstwa, wszystkim musi być jasne i zrozumiałe jak na kościelnym malowidle. Widzę z tego, żeś nie zapomniał o moich wskazaniach.

— Bez przerwy miałem je w głowie — zapewnił Marek.

Klęknął przed miedzianą misą i zaczął pumeksować biskupie palce. Był już pewny, że w nagrodę za pieśń otrzyma złotą monetę Konstantina. A wtedy... Mówiła mu matka, że na nadrzecznym stoku jest do nabycia skrawek ziemi, na którym można by założyć dobrą winnicę. Można by też bez żadnych kosztów otoczyć ją murem, a nawet zbudować domek, gdyż tuż obok są rzymskie zwaliska, źródło cegieł i ciosanych kamieni. Mieliby własny dom, własne wino. Marek westchnął.

— Dlaczego wzdychasz? — spytał biskup.

— Przypomniało mi się wino.

— Wino, wino, wam tylko wino w głowie. Napij się mleka, tam stoi dzbanek i kubek.

Porównanie wina z mlekiem wydało się Markowi takie zabawne, że spojrzał biskupowi w oczy i z lekka się uśmiechnął. Rzecz dziwna, biskup też się uśmiechnął, a potem skinął mu przyjaźnie głową i rzekł:

— Powiedz rządcy, żeby ci wydał podwójną porcję wędzonego mięsiwa.

*

Teren budowy bazyliki był opasany palisadą. Siedzący obok wejścia wartownik nikogo nie wpuszczał i nie wy-

puszczał. Markowi jednak pozwolił wejść, zapewne o nim wiedział.

Była właśnie przerwa obiadowa, godzina wypoczynku. Biali od wapiennego pyłu kamieniarze skończyli spożywać posiłek dostarczony z biskupiego folwarku: chleb, czosnek, ser, do tego wino. Gdy Marek im zaśpiewał o męczeństwie świętego Andrzeja, zasiedli wkoło i słuchali z uwagą. Przy powtórce byli roztargnieni, potem zaczęli grać w kości, kłać i głośno rozmawiać.

Wystąpienie Marka z wnioskiem, by kamieniarze przyłączyli się do jego pieśni i zaśpiewali chórem ku chwale świętego, przyjęto drwinami:

— Powiedz świętemu Andrzejowi, żeby nam przy wypłacie nie podrzucał wytartych denarów!

— I żeby nam nie przysyłał skwaśniałego wina!

*

Matka odrzekła Markowi:

— Trudno, nie możesz tego zataić przed biskupem. Powtórz mu wszystko, co ci mówili kamieniarze.

*

Był wielki hałas, nawoływania, krzyki. Biskup okrutnie złażał płatniczego i rządcę folwarku. Przez dobre trzy pancerze słyhać było jego potężny głos dolatujący z głębi domostwa. Marek zaczął się zastanawiać, co teraz będzie, jeżeli wypadnie mu się spotkać gdzieś na uboczu z rządcą albo z płatniczym.

W chwilę potem, parszając i sapiąc, czerwony z gniewu biskup wszedł do atrium. Napił się mleka, odpiął od pasa blaszkę św. Apolinarego i potarł nią sobie skronie, czoło i tonsurę. Odsapnawszy zwrócił się do Marka:

— Kamieniarze dostaną jutro beczkę solonych węgorzy. Kazałem im też posłać słodkiego wina z Narbony. Powinno ich to zachęcić do śpiewu. Staw się jutro przed południem, pójdziemy sprawdzić.

*

Znaki tego ranka były niepokojące. Matka chodziła po warzywa na forum, skąd przyniosła Markowi wiadomość, że w lesie iglastym, tuż za łukiem rzymskiego wodociągu, znaleziono w mrowisku padalca o dwu głowach. Jedną miał tam, gdzie zwykle, drugą na końcu ogona. Obły ten gad, zwany amfisbeną, jest niesłychanie jadowity, kąsa obiema głowami i prawie zawsze zwiastuje coś złego.

*

Biskup też wiedział o znalezieniu amfisbeny, ale zbyt nie przejął, gdyż miał wypróbowany alrunik. Usposokoił więc Marka i gdy wyruszyli w drogę, tak go pouczał:

— Czary tego gada są istotnie potężne. Sprowadzają klęski na miasta, na królestwa, na rzeczy publiczne i na wojska, poszczególnym zaś ludziom rzadziej szkodzą. Idąc ze mną możesz być pewny, że nic cię złego nie spotka.

Marek pomyślał, że czary amfisbeny spaść mogą, jako żywo, wprost na bazylikę, boć to jest rzecz publiczna. Ale nie wspomniał o tym, nie chciał trwożyć jego dostojności.

Przecieli wielki dziedziniec biskupiego folwarku, wyszli na wyboistą drogę, wzdłuż której z obu stron biegły drewniane płoty. Marek często się zastanawiał i nie mógł znaleźć odpowiedzi, dlaczego arianie gustują w takich nędznych opłotkach. Stawiają je byle jak, przenoszą z miejsca na miejsce, a gdy im w domu zabraknie drzewa, rąbią na ogień. Nauczeni przez Rzymian mieszkańcy Akwitanii budowali trwałe ogrodzenia kamienne.

Biskup i Marek minęli folwark, zaczęli zbliżać się ku rzece, nad którą miał stanąć na wzgórzu kościół Św. Andrzeja. Napotkali gromadę pacholąt arianskich grających w piłkę. Przystanęli, żeby popatrzeć. Sporządzona z kory iberyjskiego dębu i obszyta szmatami piłka lekko wylatywała w górę przy uderzeniu wiosłową deszczułką. Dzieci krzyczały z uciechy.

— Dlaczego nie rozmawiacie po grecku? — spytał biskup.

Jeden z chłopców, opanowawszy nieśmiałość, odpowiedział:

— Bo po akwitańsku weselej i lepsza zabawa.

Ruszyli ku kościołowi. Biskup rozmyślał o przemianach, jakie zaszły za jego życia. Wszak matka śpiewała mu do snu gockie piosenki, w wojsku mówił już tylko po grecku, teraz najmłodsze pokolenie przyswaja Gotom trzeci z kolei język, lichą pospolitą łacinę. A jaki będzie czwarty?

Do biskupa podszedł wartownik i pozdrowiwszy go zameldował, że na budowie nic szczególnego nie zaszło. Kamieniarze z ochotą zjedli solone ryby, piją wino.

— Śpiewali? — spytał biskup.

— Tak, i jeszcze śpiewają.

— Dobrze, bądź w pobliżu, może wstąpię później na plac budowy.

Podeszli do wrót, biskup siadł na ławie z łupanego piaskowca, Marek stanął obok. Za palisadą był gwar, było wesoło. Kamieniarze nie przypuszczali, że ktoś obcy słucha. Protagonista śpiewał:

Witaj, chwacki junaku,
Odrzecz nimfa na to,
Gotowam pasać kozy
Społkiem przez całe lato.

Gotowam pasać kozy,
Gotowam krzesać ogień,
Byłem cię miała wpodłe
Na nockę i na codzień.

Chór powtórzył:

Byłem cię miała wpodłe
Na nockę i na codzień.

— To mi zatracą pogaństwem — mruknął biskup.

Marek zapewnił jego dostojność, że pospólstwo chętnie nadstawia ucha bajkom o pasterzach i o leśnych boginkach. Tymczasem nimfa, przez usta śpiewaka, zwierzała się dalej ze swych przygód:

Zamąciła mi zmysły
Chutliwa zawierucha,

O, mój luby junaku,
Gładkość mnie udobruchał.

Pozwól, że teraz spoczne,
Ty zaś odprawiaj czaty,
Iżby nie chycnął na mnie
Rogaty jaki satyr.

— Głupie, bezmyślne, nawet nie warto tego słuchać — powiedział biskup i powstał z ławy.

W drodze powrotnej milczał. Zatrzymali się chwilę przed folwarczną stodołą, na której boćki uwiły gniazdo. Przyglądali się ptakom, słuchali ich klekotu. Potem odwiedzili wybieg dla żrebców.

— Tak — odezwał się nagle biskup — kamieniarze są jeszcze poganami, nie zechcą śpiewać ku chwale świętego Andrzeja. Czy nie wiesz przypadkiem, kto ułożył tę pieśń o nimfie i junaku?

— Wiem, wasza dostojność, ułożył mój ojciec.

Biskup nic na to nie odrzekł. Był smutny i zniechęcony. Marek nie wątpił, iż wszystkiemu jest winna znaleziona w mrowisku amfiseny. I z ubolewaniem pomyślał, że już nie dostanie złotej monety z cesarską podobizną.

ROZDZIAŁ XI

Skrytykowana opowieść. — Wypad do Brukseli. — Pochwała hopjesów. — Co to jest idylla. — Jony w sadzawce ojca Pirotte. — Kraina krągłych piramid. — Ostatni szczupak. — Żandarmi na pokładzie „La Belle Toinette”. — Protokół i konfiskata błystki. — Walentyna kuleje.

Pan Ksawery zamilkł, spojrzął w przestrzeń. Nieskory do pochwał Błażej powiedział:

— Dziękuję panu, patronie. Pan się musiał nad tym porządnie napracować. Ale na mój gust całość jest nazbyt gładka.

— Nazbyt gładka?

— Tak, patronie. Przypomina wzorową nowelę.

— Bo też to jest nowela, mój chłopcze, to jest nowela. I żebyś wiedział, że włożyłem w nią dużo serca i dużo zapалу.

— Owszem, to się czuje — przyznał Błażej. — A skąd pan wziął pomysł?

— Błażejku, pomysł spada jak sokół z nieba. Kiedy takie coś się przyczepi, to trudno odpędzić. Ten biskup i ten chłopak nawiedzali mnie przed snem, nie dawali mi zasnąć. Musiałem ich opisać.

— I wtedy odeszli?

— Tak, poszli sobie.

*

„La Belle Toinette” dopłynęła do miasta Aalst, gdzie mieszczenie handluje chmielem i tak się bawią w karnawale, że stali się sławni na cały kraj. Przeminęła ślota, było pogodne popołudnie. Pana Ksawerego coś tknęło, bo kiedy przybili do brzegu, oznajmił:

— Wy tu róbcie, co chcecie, a ja wyjeżdżam do Brukseli. Wrócę jutro rano pierwszym pociągami.

Widząc, że Walentyna i Błażej przyglądają mu się ciekawie, dodał:

— Spodziewam się zamówień na horoskopy noworodków.

Zbiegł do kajuty, przebrał się w pepitowy garnitur i poszedł na stację.

— Patron miał dobry pomysł — rzekł Błażej — nie powinno się zapominać o horoskopach.

Podczas ostatniego deszczu ryby rzucały się na błysk jak wariatki. Walentyna i Błażej, wybierając się po zakupy, wzięli do koszyka pięć szczupaków. Otrzymali w zamian wszystko, co im było w tym dniu potrzebne, a nadto, z myślą o panu Ksawerym, przynieśli tekturowe pudełko karmelków, tzw. „de Beukelers hopjes”.

Ach, jakże pięknie brzmi te kilka sylab dla tych, którzy się na tym znają. Hopjes, w liczbie pojedynczej hopje, są to słynne cukierki kawowe, wyrabiane w Antwerpii od stu lat z górą przez patrycjuszowską rodzinę de Beukelców. Każdy taki hopje ma kształt sześcianu, jest zawinięty w cynfolię i papier. A smak, co za rozkosz! Jak gdyby łyk wybornej kawy*.

*

O godzinie szóstej rano z minutami, w chwili kiedy Błażej wprowadzał ze stajni Filomenę, pan Ksawery wrócił z Brukseli. Wchodząc na pokład „La Belle Toinette” zawołał:

— Zwycięstwo, moje dzieci. Nadeszło dwadzieścia siedem listów i w każdym był dolar. Widzę, że to chwyta. Zamówiłem nową serię ogłoszeń w „Ameryka-Echo”.

Z hopjesów pan Ksawery strasznie się ucieszył.

*

* Jeszcze lepsze są hopjesy Rademakera. (Przyp. red.).

Według słowników językowych idylla jest to sielanka, pogodny obrazek z życia, sielankowy poemat pasterski, wiejski lub rybacki, niewinny a prosty, pozbawiony konfliktów.

Zgadza się. Taki właśnie poemat idylliczny przeżywali nasi przyjaciele na barce „La Belle Toinette”. Nawet Filomena poczuła się szczęśliwa, gdy Błażej na postoju w Ninove rozsupłał jej ogon. Mogła się teraz opędać od much.

Lato było upalne. Walentyna i Błażej niemal bez przerw występowali w kostiumach kąpielowych. Jeżeli ich nadsza chęć, skakali do wody. Pan Ksawery chodził w pidżamie, a kąpał się tylko wieczorami, po zapadnięciu zmroku. Czuł, że w zestawieniu z dorodną parą wiele by stracił z wyobraźni o własnej urodzie, wolał się więc kąpać samopas. Zresztą pływał jak wyżeł, przebierając szybko rękami tuż przed głową, co wyglądało dosyć zabawnie. A ponieważ bał się wystawienia na śmieszność i był pod tym względem wysoce drażliwy, wolał nie ryzykować.

Ryby nadal łąpały się same. Teraz pan Ksawery i Błażej nie zasiadali specjalnie do połowu na rufie, bo i po co? Po prostu ten, który sterował, zawieszał sobie na szyi kołowrotek, a linka z błyską wlokła się w ślad za sterem. Jeżeli ryba szarpnęła, wyciągali ją na pokład, ot i cały kłopot.

Nasi przyjaciele w głowę zachodzili, dlaczego konwojenci innych barek nie łąpią ryb w ten sam sposób. Bo przecież łowy na błyskę dawały świetne wyniki. Wprowadzony przez Walentynę handel zamienny zapewniał im utrzymanie, zostawało nawet coś niecoś grosza na papierosy i gazety.

Raz się tylko zdarzyło, kiedy mijali Idegem, że sternik płynącej w przeciwnym kierunku barki głośno coś do nich krzyczał i pokazywał na linkę. Ponieważ dykcję miał kiepską i krzyczał po flamandzku, ponieważ Walentyna była w tym czasie pod pokładem, nie mogli zrozumieć, o co mu chodzi. Pokazywał palcem na wleczoną za sterem linkę, a pan Ksawery dawał do zrozumienia gestami, że szczupaki same się łąpią, że się łąpią takie, o, takie szczupaki.

— Pal go diabli — rzekł Błażej — widocznie zaciekawiała go nasza błystka. Niech się spyta w sklepie wędkarskim.

Dopłynęli do starożytnego miasta Grammont, które leży na styku obszaru flamandzkiego z wallońskim i tym się odznacza, że na jednym z placów stoi tam Manneken-Pis zupełnie podobny do brukselskiego, zapewne kopia. Ale nie stoi we wnęce ściany, tylko na cokole, pod parasolem z miedzianej blachy, wśród straganów przekupek. I również spełnia rolę ulicznej fontanny*.

Ledwo ruszyli z Grammont, zamilkły gardłowe dźwięki flamandzkiej mowy, jak nożem uciął.

— Ach, nareszcie — westchnęła z ulgą Walentyna. — Dość już mam tych kwadratowych głów**.

Choć z pochodzenia sama była Flamandką, ale jako córka Brabantu wyżej ceniła francuską kulturę, a wszystko co flamandzkie traktowała z lekkim przymrużeniem oka.

Wpłynęli na obszar Henegawii. Odtąd ludzie, z którymi się stykali, byli zupełnie inni niż przedtem. Ruchliwi, mówili między sobą przyjemnym narzeczem romańskim. Kobiety były zalotniejsze, skłonne do żartów.

*

I tak krok za krokiem (mowa tu o powolnym stapaniu Filomeny) minęli miasto Lessines, gdzie w starym szpitalu Notre Dame à la Rose zachowały się sprzęty, przybory chirurgiczne i apteka z XIII stulecia; minęli miasto Ath, gdzie co roku odbywa się procesja z olbrzymem Goliatem (4 metry 25 centymetrów) i z jego żoną Wiktoria, też olbrzymką; minęli wieś Ocroi, gdzie stoi w kościele kapuła służąca niegdyś do wystrzeliwania żon wiarołomnych (spadały do stawu); minęli Brasmenil, skąd widać w oddali hałdy węglowe zagłębia Borinage; minęli kamie-

* Trzeci Manneken-Pis, też wzorowany na brukselskim, znajdował się na rynku miasta Colmar w Alzacji. Czy przetrwał ostatnią wojnę, nie wiemy. (Przyp. red.).

** Têtes carrées, kwadratowe głowy, przezwisko nadawane Flamandom. (Przyp. red.).

niolomy Bernissart, gdzie przed stu laty odkopano szkielety iguanodonów; minęli wreszcie Ecaucheries, gdzie Walentyna, źle stąpawszy, skrzyła sobie nogę w kostce.

*

Na postoju w Bleton zaopatrzyli się w dzienniki i czasopisma. Pan Ksawery czytał z uwagą dodatek niedzielny do socjalistycznego „Le Hainaut”. Jest to duża, starannie redagowana gazeta, wychodzi w Mons.

Siedzieli przy stole na pokładzie i popijali kawę, którą zaparzył Błażej. Walentyna robiła coś na drutach. Obolałą nogę wyciągnęła i oparła na stolku.

— Spójrz no, Błażejku — odezwał się pan Ksawery — tu piszą o wynikach analiz wód z tych dzikich źródeł pod Spa.

— To może być ciekawe.

— Bardzo ciekawe. Zaraz, zaraz, piszą o sadzawce ojca Pirotte. A to heca! Piszą, że skład wody okazał się niezwykły, że woda ojca Pirotte zawiera jony fosforanów. O, jakiś profesor ją badał. O, spójrzcie, tu na dole jest artykuł samego profesora, przedruk z „Le Pouhon”. A to heca!

Walentyna spytała:

— Sadzawka ojca Pirotte, czy to czasem nie ta, do której pan wsypał ćwierć kilo soli na porost kwiatów?

— Tak, ta sama — skwapliwie potwierdził pan Ksawery.

Artykuł profesora był rozwlekły i opracowany w taki sposób, aby go trudno było doczytać do końca. Przynosił jednak ważne rewelacje.

„Obecność jonów fosforanowych — pisał profesor — nie jest jeszcze dokładnie zbadana i nie wiadomo, jakie jest ich właściwe znaczenie biologiczne. Zwłaszcza jon kwaśny pierwszorzędowy HPO_4 należy do zjawisk interesujących z wielu względów. Stwierdzono obfite jego występowanie w źródłach Qasr-el-Nebid w Maroku, w gejzerach Nowej Zelandii oraz w gorących źródłach parku

narodowego Yellowstone w Ameryce Północnej, podczas gdy w europejskich wodach mineralnych jon ten występuje raczej ubogo. Niemniej jednak jest pewne, że w niektórych wodach żelazistych jon HPO_4 daje się wykryć poniżej 1 mg na 1 kg substancji, co jest normą przeciętną. Stwierdzenie w źródle p. Prospera Pirotte ilości dwudziestokrotnie większej tych jonów jest zjawiskiem zasługującym na baczną uwagę, tym bardziej że woda ze wspomnianego źródła reaguje kwaśno na oranż metylowy, czyli że zawiera wolne kwasy mineralne. Można by więc śmiało prowadzić obliczenia na fosforan drugorzędowy H_2PO_4 , co by nam dało zupełnie nowe podejście do zagadnienia wolnych jonów”.

— Nic nie rozumiem — oznajmiła Walentyna.

— Ja też — przyznał się Błażej.

— Ja tylko się domyślam — powiedział pan Ksawery — że ferma skoczy w cenę. Ojciec Pirotte chciał ją sprzedać, nie mógł jednak znaleźć nabywców.

— Zdaje się, patronie — powiedziała Walentyna — że dzięki panu ojciec Pirotte robi na fermie dobry interes.

— O ile znajdzie się nabywca za srebrne pięciofrankówki. Bo gdzie ich szukać? Chociaż kto wie, może leżą po wsiach powtykane do wełnianych pończoch, może ktoś do nich trafi.

Pili kawę rozmyślając o zabawnym poplątaniu błahostek z doniosłymi w skutkach niespodziankami, o profesorze z Liège, który osłupiał znalazłszy jakieś jony w bardzo podłym źródle, omijanym nawet przez kozy.

— Tak czy owak — odezwał się Błażej — jeżeli ojciec Pirotte cokolwiek na tym zyska, będzie to już coś.

— Myślę, że z tego może wyjść całkiem przyjemne „zwanze” — powiedział pan Ksawery.

— I ja tak myślę — zgodziła się Walentyna.

Wczesnym rankiem wyruszyli z Blaton. Stojący przy sterze pan Ksawery patrzył z niedowierzaniem na kraj-

obraz przypominający fantastyczne zbiorowisko piramid o kolistych podstawach. Były to odpadki węgla kamiennego powyrzucane na zewnątrz ziemi. Większość tych wzgórz porastała trawa; widocznie wiatr naniósł pyłu i użyźnił martwe kamienie. Po usypiskach pięły się jakieś mizerne krzewy, gdzieniegdzie sterczało rachityczne drzewko. Gdyby nie zieleń, żywa o tej porze roku, kraj byłby naprawdę czarny, jak o nim piszą poeci.

— Mój Boże, to już się kończy nasza wędrówka — westchnął pan Ksawery.

Poprawił wiszący na szyi kołowrotek i zbadał, czy blystka dobrze działa. Jej wirowanie pod wodą można było wyczuć dotykając linki palcami.

— Mnie też smutno, że to już koniec eskapady — rzekła Walentyna. — Nie wyobrażam sobie lepszych wakacji.

Siedziała na pokładzie i rozcierała skręconą wczoraj kostkę. Chodzenie sprawiało jej trudność.

— Boli cię? — spytał Błażej.

— Tak, trochę mi nawet spuchło.

Filomena, jak gdyby się domyślając, że czeka ją dłuższy odpoczynek na wygodnym pastwisku, przyspieszyła chodu. Płynęli teraz koło Jemappes, przez okolicę gęsto zaludnioną, a szeroki gościniec biegł równoległe z kanałem.

Pan Ksawery nagle podskoczył i zawołał:

— Błażejku, Błażejku, trzymaj ster!

Przechylił się przez burtę i zaczął ściągać linkę, na której końcu coś się trzepotało. Szosą jechali na rowerach dwaj żandarmi. Widząc szamocącego się z rybą człowieka przystanęli i z zainteresowaniem patrzyli, co dalej będzie. Pan Ksawery, sapiąc i postępując, wyciągnął z wody sporego szczupaka.

— Ach, moje dzieci — rzekł — co za piękny finał naszych połowów.

Tymczasem jeden z żandarmów podbiegł do Filomeny, złapał ją za uzdę, a drugi krzyknął:

— Hé, la bas! Dobijać do brzegu!

Ledwo Błażej zdążył wykonać rozkaz, żandarmi byli już na pokładzie. Zażądali od pana Ksawerego, by im pokazał

kartę konwojenta. Siedli następnie przy stoliku i spisali protokół. W dokumencie tym pan Ksawery znalazł się jako winowajca, a Walentyna i Błażej jako świadkowie.

Żandarmi skonfiskowali szczupaka, skonfiskowali błystkę firmy Allcock, powiedzieli: „Vous aurez bientôt des nouvelles”, wsiedli na rowery i odjechali.

W kilka godzin później „La Belle Toinette” dopłynęła do Mons i to był kres ich wędrówki. Walentynie tak spuchła noga w kostce, że nie mogła już chodzić. Wobec tego Błażej zawiózł ją do miasta taksówką i ulokował w hotelu, a pan Ksawery pozostał jeszcze na barce, aby przekazać transport administracji portu.

ROZDZIAŁ XII

Podniecenie w mieście. — Małpa pilnuje ratusza. — Doudou. — Podział zarobków i szampan. — Bał pod gołym niebem. — Błażejek gdzieś znikł. — Czyżby go uprowadziła kobieta? — Całonocna boleść Walentyny. — Pan Ksawery paktuje ze św. Antonim.

Zamieszkali w hotelu „Couronne” na Grand'Place. Jak większość prowincjonalnych hoteli, ten również miał na parterze kawiarnię z restauracją. Dano im dwupokojowy apartament na pierwszym piętrze.

— Leż, leż, moje dziecko — mówił pan Ksawery do Walentyny — zaraz się postaram, żeby tu przyszedł jaki doktor.

I rzeczywiście przyprowadził siwobrodego medyka, który zapisał niezawodne lekarstwo: Tinct. Arnicae 20,0, Mentholi 0,5, Aceti Vini 40,0, Glycerini 10,0, Aquae 30,0. Do okładów na zimno.

Po wyjściu doktora pan Ksawery oznajmił:

— Hold składam jego wiedzy. Arnika jest lekiem magicznym, który pomaga nawet na stłuczenia kości u ciał astralnych.

Błażej, choć przyzwyczajony do dziwnych wypowiedzi swego mistrza, chciał się czegoś więcej dowiedzieć o stłuczeniach astralnych kości, w teży jednak chwili na placu rozległ się werbel, a po nim słowa komendy.

— Podobno ma być iluminacja ratusza — rzekła Walentyna. — Przysuńcie do okna fotel, to sobie powyglądam.

Pan Ksawery dodał, że iluminacja tutejszego ratusza słynie na cały kraj. Mieszczanie wydali furę pieniędzy, aby obramować miedzianymi rurkami wszystkie załamania gotyckich murów. W rurkach są małe otworki, przez które

wydobywa się gaz. Wystarczy jedna zapalka i ratusz zamienia się w ognistą feerię.

Tymczasem na placu odbywała się uroczystość zmiany warty halabardników miejskich przed posązką spizowej małpy zwanej „Singe du Grand-Garde”. Dwaj barwnie ubrani halabardziści ustępowali miejsca dwu innym. Pan Ksawery wyjaśnił, że czcigodna ta małpa, strzegąca wejścia do ratusza, jest od kilkuset lat maskotą miasta Mons, przynosi szczęście, chroni przed pożarami, a podczas wojny zabezpiecza mieszkańców przed bombardowaniem z kolu-bryn, śmigownic i moździerz.

— W ogóle, jest to wspaniałe miasto — zakończył wykład pan Ksawery. Tutejsze obchody Doudou* i przemarsz łuczników z relikwiarzem świętej Walrudy ściągają turystów nie tylko z kraju, ale z Francji i z Anglii. Zaraz za rogatką, gdzie kończy się ulica Nimy, mogę wam pokazać kotlinę, w której święty Jerzy walczył ze smokiem. Łeb tego strasznego gada można oglądać w uroczej bibliotece miejskiej przy rue des Gades.

— To się zgadza — wtrącił Błażej — łeb gada przy rue des Gades**.

Walentyna przypomniała, że Mons jest rodzinnym miastem kompozytora Orlando di Lasso, który się podobno nazywał Roland de Lassy, a przerobił sobie nazwisko podczas pobytu w Rzymie.

Pan Ksawery rzekł na to:

— Muszę sprostować twoje słowa, droga Walentyno,

* Doudou, imię smoka, którego zabił św. Jerzy. Odtworzenie tej walki można oglądać co rok w tydzień po Zielonych Świątkach (na św. Trójcę) przed ratuszem w Mons. Smok, który żywo przypomina potwora z baletu „Pan Twardowski”, usiłuje pożreć złotowłosą dziewczę przywiązaną do słupa. W krytycznej chwili zjawia się na koniu św. Jerzy, odziany w średniowieczną zbroję, i kopią przebija smoka. Świętowanie Doudou nie ma nic wspólnego z kultem św. Dodo, krzewiciela chrześcijaństwa w Henegawii i w zachodniej Flandrii. (Przyp. red.)

** Rue des Gades, ulica Miętusów. (Przyp. red.)

gdyż sławny ten muzyk nie miał właściwie żadnego nazwiska. Był podrzutkiem, bękartem. Miał tylko chrzestne imię Roland, a nazwisko de Lassy, później zaś włoskie di Lasso, przybrał sobie dopiero po zrobieniu kariery artystycznej. Wiem o tym, gdyż sam to badałem w tutejszej bibliotece. Mogę jeszcze dodać, że współobywatele nazywali go Roland Delaltre, czyli: de l'autre, od innego ojca, co było w zgodzie z ówczesnym nazewnictwem.

— Biedak — rzekła Walentyna — może dlatego stąd uciekł, że go tak przezywano.

— Nie myślę — odpowiedział pan Ksawery — za czasów Odrodzenia tyłu było na świecie bękartów, że właściwie nikt się nie mógł połapać, kto czym jest synem. Traktowano więc i tych, i tamtych w jednaki sposób. Rycerski papież Juliusz Drugi zwykł był powtarzać: „Lubię mieć do czynienia z bękartem, bo przynajmniej mam pewność, że rozmawiam z synem szlachcica”.

Walentyna oznajmiła, że gdy jej przejdzie opuchlina kostki, wybierze się na rue des Gades i przejrzy katalogi starych manuskryptów. Kto wie, może odkryje coś ciekawego. Miałyby temat do pracy dyplomowej.

*

Pan Ksawery wyszedł z hotelu i pozałatwiał ostatnie formalności związane z podróżą na „Belle Toinette”. Trochę był zły, bo musiał czekać całe pół godziny na wypłatę należności za pracę. Ostatecznie odebrał pieniądze i z przyjemnością zauważył, że jego portfel utył do nie spotykanych dotychczas rozmiarów.

— Rozłożę wszystko na trzy kupki — pomyślał — i urządzę uroczysty podział wspólnych zarobków. Do tego będzie potrzebny szampan, tak jest, szampan.

Walentynę zastał przy otwartym oknie. Siedziała w fotelu, trzymając na krześle obandażowaną nogę.

— Co tu się kręci po rynku tyłu kawalerów? — spytała.

Pan Ksawery wyjaśnił, że dziś w mieście jest ważny dzień, pobór rekrutów do wojska. Dlatego program prze-

widuje iluminację i wiele zabaw. Na placu du Parc wybudowano trybunę, z której nastąpi wzlot gołębi pocztowych. Młodzi wojacy wysła do rodzin listy pożegnalne. Wieczorem będzie bal pod gołym niebem i pochód z lampionami.

— Chciałbym to zobaczyć — westchnął Błażej.

— No to idź, Błażejku, koniecznie tam idź — rzekła Walentyna. — Ja i tak dość się napatrzę przez okno.

Pan Ksawery dodał, że w uroczyste dni o zmroku bywa zwykle koncert na czterdziestu siedmiu dzwonach. Karyjonista wydzwania przeróżne pastorałki, czasem Bacha, Mozarta.

— To tym bardziej zostanę przy oknie, a wy możecie sobie iść.

Walentyna rzeczywiście chciała być sama, by w skupieniu wysłuchać koncertu. Brukselski beffroi zawałił się kiedyś z trzaskiem, jak Campanilla w Wenecji, tyle że go nie odbudowano.

— Dobrze, zostań sama — zgodził się pan Ksawery — przedtem jednak zrobię z ciebie bogatą kobietę.

Wyjął portfel, nacisnął guzik dzwonka elektrycznego, a kiedy zjawił się kelner, rzekł:

— Proszę nam podać szampana.

*

Wypili do kolacji dwie butelki. Ponieważ Walentyna piła mało, na każdego z panów wypadło mniej więcej po trzy czwarte litra.

Toteż pan Ksawery i Błażej wyszli z hotelu w pogodnym humorze, przecięli rynek, skręcili obok teatru w lewo i lekkim krokiem powędrowali w kierunku place du Parc. Nim tam zdążyli dojść, gruchnęła salwa karabinowa i nad miastem zawirowała chmura gołębi.

— Zaczęło się — rzekł pan Ksawery. — Mieszkałem tu przez pewien czas przed dwudziestu kilku laty i było to samo. Rekruci też wypuszczali gołębie z pozdrowieniami dla rodzin.

Na placu we wklęsłej muszli akustycznej grała orkiestra

wojskowa. Pośrodku na kobylicach leżały deski służące za parkiet do tańca. Calość była ogrodzona liną przeciągniętą między słupkami. Porządku pilnowali żandarmi.

— Wybierz, Błażejku — mówił pan Ksawery — jakie wygodne miejsce przy stoliku, najlepiej gdzieś w głębi, pod ścianą, bo wkrótce zrobi się tłok i ludzie zaczną napierać.

Jak to w tym kraju bywa, na placu mieściła się w każdym domu kawiarnia, a z każdej kawiarni powystawiano stoliki i krzesła na zewnątrz. Wskutek tego chodniki były zatarasowane, a ruch pieszy odbywał się po jezdni.

Błażej znalazł miejsce pod ścianą zasnutą bluszczem. Zamówili kawę i po kieliszku koniaku. Przed nimi na drewnianym wzniesieniu tańczyła brać rekrucka z pannami. Wiele dziewcząt i kawalerów spacerowało luzem po placu. Nie brakowało też żołnierzy, którzy chcieli tańczyć. Tych jednak na estradę nie wpuszczano, gdyż była przeznaczona tylko dla rekrutów.

Zajechała na plac ciężarówka witana oklaskami. Na jej karoserii widniały napisy: „Porto Blanc — goût belge”. Zajechała normalnie przodem, a wykrciła się tyłem do tańczących par. Po opuszczeniu ścianki powstał wygodny pomost między estradą a ciężarówką, na której mieściła się winiarnia. Sprzedawano tam za bezcen całkiem niezłe i mocne wino, zalecane przez towarzystwo zwolenników trzeźwości.

Ogromna taniość tego napoju sprawiła, że rekruci szybko nabrali werwy i na estradzie zrobiło się wesoło. Zresztą na całym placu było wesoło, albowiem ci, których nie dopuszczono do desek, zaczęli tańczyć na asfalcie.

— Co to, już dziesiąta? — zdziwił się pan Ksawery.

Zamówił świeżą maszynkę kawy i dwa koniaki. Był rad wszystkiemu, doskonale się bawił. Za to Błażej kręcił się niespokojnie na krześle i wreszcie rzekł:

— Nie wytrzymam. Muszę zatańczyć.

— Błażejku — prosił mistrz — nie rób tego. Przecie tam cię nie wpuszczą. Patrz, właśnie wyprowadzili jakiegoś nieboraka.

— Ja nie jestem nieborak, mnie wpuszczają.
Błażej wypił koniak, uśmiechnął się czule do wychowawcy i oznajmił:

— No to idę, kochany patronie, muszę zatańczyć.

Pan Ksawery z lękiem spozierał za odchodzącym uczniem. Czy aby go nie zatrzymają straszni żandarmi? Czy go nie odpędzą?

Ale Błażej nic sobie z nikogo nie robił. Minął żandar mów i po prostu wbiegł po stopniach na deski. W chwilę potem tańczył z jakąś dziewczyną.

Pan Ksawery wpatrując się w estradę zauważył kilka razy głowę Błażeja. Widział, jak tańczy, widział, jak pije wino i trąca się kubkiem z tancerkami, widział też, co go zdumiało, że Błażej kiwa na kapelmistrza i coś tam krzyczy, a kapelmistrz posłusznie spełnia jego życzenia.

Aby nie zasmucać kelnera, pan Ksawery zamówił jeszcze jeden koniak. Znaczący twierdzą, że koniak jest zharmonizowany z szampanem. Chyba to prawda, bo pan Ksawery poczuł ogromne szczęście, tak wielkie, tak przenikające, że aż zamknął oczy. Słyszał muzykę, gwar tłumu, urywki rozmów. Ale wszystko to było dalekie, dalekie, coraz dalsze.

Pan Ksawery ocknął się, ktoś delikatnie trącił go w łokieć.

— A co to?

— Zamykamy.

Stał przed nim kelner z tacą.

— Rozumiem, rozumiem, a gdzie tańce?

— Skończyły się, rekruci pomaszzerowali do koszar.

— Panie — rzekł zaniepokojony Ksawery — tu tańczył mój uczeń.

— No to już jest w koszarach.

— Ależ on nie mógł tam iść. Bez uprzedzenia? Do koszar?

Kelner bezradnie rozłożył ręce. Wyrzcił przypuszczenie,

że pan Ksawery nie dosłyszał hałasu, bo przecie stąd ruszył pochód z lampionami, orkiestra grała marsza, walono w bęben, dziewczęta odprowadzały rekrutów.

— Boże, ratuj — jęknął Ksawery i złapał się za głowę.

*

Nazajutrz rano Walentyna miała oczy zapuchnięte od płaczu. Dla niej przebieg wypadków był jasny. Jakaś dra piezna tancerka uprowadziła Błażeja i trzyma go przy sobie.

Pan Ksawery nic nie ukrywał przed Walentyną, bo i po co miałby ukrywać. Zgadzał się z nią, że Błażeja uprowadzono. Ale dlaczego chłopak, wytrzeźwiawszy, nie wraca?

Na przekór Walentynie, która przez całą noc popłakiwała, pan Ksawery spał twardo, gdyż zażył 0,4 grama luminalu. Jest to dawka, obok której lekarz stawia na recepcie (!), wykrzykniek w nawiasach.

Była godzina dziesiąta rano. Pan Ksawery, szarpany wyrzutami sumienia, zapukał do Walentyny i oznajmił, że idzie szukać Błażeja.

Mons jest miastem samowystarczalnym. Ma własne obyczaje, których zazdrośnie strzeże. Ma doskonałą gazetę „Le Hainaut”. Ma muzeum sztuk pięknych i szkołę malarską. Po ulicach snują się jeszcze cienie Konstantyna Meunier, Van Gogha, Anto Carte, Paulusa, a w tutejszym więzieniu siedział Verlaine po zajściu z Rimbaudem.

Ksawery nie chciał alarmować policji, o co też go prosiła Walentyna. Jako dziennikarz wiedział, że komisariaty dostarczają gazetom informacji, w zamian za co gazety chwala policję. Byłby więc w prasie gwałt, sensacja o zniknięciu młodzieńca z placu zabaw. Gdzie się zapodział tancerz? Czyżby uprowadzenie przez kobietę? I tak dalej. Tych wszystkich niedyskrecji chciał pan Ksawery uniknąć. Po

namyśle, zamiast się zwracać do władz policyjnych, postanowił się zwrócić do świętego Antoniego od zgubionych przedmiotów.

*

Czy pan Ksawery był wierzący? Bez popelnienia błędu można odpowiedzieć, że jak wielu ludzi w Polsce twardo wierzył w świętego Antoniego. No bo jakże. Tyle miał dowodów jego dobrotliwej zrzeczności, że musiał uwierzyć. Jak większość ludzi w Polsce ufał więc temu świętemu bez zastrzeżeń.

Dotknięty nieszczęściem pan Ksawery obchodził kościoły w mieście szukając obrazu, figury lub choćby skarbonki świętego Antoniego. Był już w kilku domach bożych, a stojącą na wzgórzu katedrę odłożył na sam koniec.

Na razie nic nie znalazł. Uzupelniał tylko swe wiadomości z hagiografii przez obejrzenie ołtarzy kilku lokalnych świątyn. Dowiedział się na przykład o kulcie świętego Dodo, apostoła Henegawii, i o wciąż żywym uwielbieniu przez lud świętej Genowefy brabanckiej (malowanej z sarenką).

Minęło południe. Pan Ksawery nie chciał wracać na obiad do hotelu, nie chciał się przyznać przed Walentyną, że dotąd nic nie zdziałał. Zjadł więc posiłek w pierwszej napotkanej gospodzie i ruszył do katedry Św. Walrudy, katedry sławnej i bogatej, w której jest mnóstwo obrazów, mnóstwo posągów i mnóstwo skarbonek.

Gotyckie mury powitały go przyjemnym chłodem i ciszą. Zaraz na wstępie zauważył i poznał świętą Elżbietę, opiekunkę bezdomnych. Artysta wyobraził ją podczas zawiści śnieżnej, w nocy, w ciasnym zaułku jakiegoś miasta, przypuszczalnie Marburga. Dobroczytna królowa rozgląda się po zakamarkach szukając kalek, chorych i opuszczonych.

— Ja też szukam, szukam Błażejka — westchnął pan Ksawery.

Poczuł, że mu oczy wilgotnieją. Głośno wytarł nos i ru-

szył na dalsze zwiedzanie świątyni. Po kilkuminutowym błądzeniu znalazł we wnęce ściany czarną ze starości, drewnianą figurę świętego Antoniego. Przy cokole wisiały dwie skarbonki. Na lewej był napis: „Tu wrzuc życzenie”, na prawej: „Tu złóż dar”. Wisiał nadto ołówek na łańcuszku, a przy ołówku bielili się kartki papieru niedbale wbite na gwóźdź.

Pan Ksawery chwilę się zastanawiał. Zerwał kartkę, siadł na ławce i napisał: „Święty Antoni, przywróć mi Błażejka”. Po raz drugi zaczął się zastanawiać, gdyż nie był pewny, czy prośbę należy podpisać, czy nie. Uciekł się więc do kompromisu, podpisał w sposób nie bardzo czytelnym.

Wstał z ławki, podszedł do figury i wrzucił kartkę do lewej skarbonki. Następnie, poszperawszy w portfelu, wetknął do drugiej skarbonki stufrankówkę.

Pakt został zawarty. Przed odejściem z kościoła pan Ksawery spojrzął w drewniane oczy świętego i cichym głosem zapowiedział:

— A jak się Błażejek znajdzie, to będzie drugie sto franków.

ROZDZIAŁ XIII

Błażej wcielony do 11 pułku piechoty. — Nieporozumienie pana Ksawerego z majorem. — Od urzędu do urzędu. — Depesza i beznadziejna odpowiedź. — Tęsknota do proszków z kogutkiem. — I znów pan Ksawery odwiedza św. Antoniego. — Nagły powrót Błażeja. — Boże, ostrzygli go maszynką!

Po wyjściu z katedry pan Ksawery spojrzał na zegarek. Dochodziła czwarta. Uznał, że trzeba wracać. Czuł się winny. Przegapił zakończenie zabawy na place du Parc, przegapił zniknięcie Błażeja. Dziś spędził kilka godzin na łażeniu po mieście i nic nie wskórał. Co powie Walentynie, jak ją pocieszy?

Kiedy ze zwieszoną głową przechodził przez rynek, do słyszał znajomy głos:

— Panie Ksawery, panie Ksawery, list od Błażejka! Prędko!

W hotelowym oknie, tuż nad kawiarnianą markizą, stała Walentyna. Trzymała w ręku pocztówkę.

— Już idę! — zawołał.

Przeskakując po dwa i trzy stopnie, wbiegł na pierwsze piętro. Podała mu pocztówkę ze słowami:

— Boże, jak ja się namęczyłam. To po polsku.

Pan Ksawery podszedł do okna i czytał głośno, tłumacząc na francuski. Kartka była nabazgrana ołówkiem, pomięta i brudna. Błażej zawiadamiał: „Wcielono mnie do 11 p. piechoty. Ratujcie. Tu nikt nie chce ze mną gadać, z koszar nie wypuszczają. Ratujcie, Błażej”.

I znów pan Ksawery opuścił hotel i udał się na poszukiwanie Błażeja. Spytał o drogę do koszar. To było za miastem, dosyć daleko. Wędrował aleją wysadzaną lipami,

rozmyślał nad splotem osobliwych wypadków i powoli zaczynał rozumieć, jak to się stało.

Najwidoczniej Błażej był podochocony, doskonale się bawił, i kiedy orkiestra zagrała marsza, wziął udział w pochodzie z lampionami. Tak, to jasne, ale dlaczego został w koszarach?

W dali, na końcu alei, pan Ksawery dojrzał wysoki mur z czerwonych cegieł. W murze była brama, koło bramy stała budka pomalowana w pasy czarno-żółto-czerwone, przed budką przechadzał się wartownik.

Właśnie z koszar wyszedł jakiś tęgi oficer, na którego widok panu Ksaweremu zabiło serce. Trzeba będzie podejść, rozmówić się, zażądać zwolnienia Błażeja. Pan Ksawery nie lubił wojskowych. Uważał ich za istoty wszechmocne, ale niepoczytalne, skłonne do najdzikszych wybryków.

Wojskowy, który szedł naprzeciw, okazał się majorem. Na kołnierzu miał wyhaftowane dwa węże Eskulapa, był to więc lekarz.

— Panie majorze — odezwał się Ksawery — w koszarach znajduje się mój uczeń, który nie powinien tam być. Proszę uprzejmie...

Lekarz spaśował z gniewu.

— Na pamięć mojej matki! — zawołał. — Pierwszy raz w życiu słyszę coś podobnego. I pan ośmiela się mówić tak do mnie, do lekarza, który osobiście badał wszystkich rekrutów.

— Panie majorze, zaszła pomyłka...

— Nie, panie, żadnej pomyłki nie było. Proszę ustąpić mi z drogi, proszę się oddalić.

Spojrzeniem pełnym wzgardy obrzucił major swego rozmówcę i poszedł. Po przejściu kilku kroków obejrzał się, coś krzyknął i pomaszerował dalej. Zdawało się panu Ksaweremu, że padły słowa „espèce d'imbécile”, nie był jednak pewny.

Zebrał resztkę odwagi, przelknął ślinę i podszedł do wartownika. Ten jednak nie chciał z nim rozmawiać, nawet nie odpowiadał na pytania.

Stał więc pan Ksawery zupełnie bezradny, wątpy, nikły, przez ludzi opuszczony. Stał i całą mocą swych pragnień wzywał na pomoc świętego Antoniego.

W bramie koszar ukazał się jakiś podoficer. Pan Ksawery wyciągnął do niego ręce jak do zbawcy. Wygłosił nerwową i dość chaotyczną przemowę o uczniu, który tańczył na place du Parc, a teraz siedzi w koszarach, choć nie powinien tam siedzieć.

Podoficer kopcił fajeczkę z białej glinki, uśmiechał się grzecznie i zgadzał się ze wszystkim. Do koszar jednak nie chciał gościa wpuścić, radził przyjść jutro rano.

— I nie przez tę bramę — dodał — tylko tamtędy, w lewo. Tam jest wejście do kancelarii pułkowej.

*

W hotelu był smutek. Choć pan Ksawery tłumaczył Walentynie, że to pomyłka, że cała rzecz rychło się wyjaśni i Błażejka wypuszczą, nie mogła się wyzbyć niepokoju. Była dziedziczką zbiorowego lęku wielu pokoleń kobiet, którym wojsko poodbierało mężów, synów, kochanków. Słuchając więc zapewnień pana Ksawerego szukała na własną rękę lepszej pociechy.

I znalazła. Doszła do wniosku, że byłoby gorzej, gdyby Błażejek dał się uprowadzić jakiej dziewczynie. A tak albo lada dzień wróci, albo go zatrzymają w koszarach. Jeśli wróci, no to będzie radość, ogromna radość. Gdyby go zatrzymano, przyjedzie w grudniu na urlop świąteczny. Koleżanki z konserwatorium będą mówiły: „Patrzcie, jakiego żołnierzyka ma Walentyna”. Zzielenieją z zazdrości. Uśmiechnęła się na tę myśl. Była zdrową, jędrną dziewczyną.

*

W tej samej chwili Błażej, siedząc na zydlu w kuchni pułkowej, skrobał kartofle. Kłął przy tym zapamiętale po polsku, po francusku i po flamandzku. Kłął, gwizdał i od

czasu do czasu wznosił antypaństwowe okrzyki, co denerwowało naczelnego kucharza.

Zrezygnował już Błażej ze starań o dojsście do ładu drogą służbową. Dwukrotnie stawał na baczność przed sierżantem, chciał się meldować, nic nie wskórał. Za pierwszym razem usłyszał, że jest „fainéant”, że jest „espèce de carottier”. Za drugim razem przydzielono go do kuchni.

Siedział więc teraz otoczony powszechnym lekceważeniem i skrobał żołnierskie „pataty”. Jedna rzecz mu się udała. Po śniadaniu odwiedził kantynę, kupił pocztówkę i zdążył na niej napisać kilka słów do pana Ksawerego. Wręczył ją w chwilę potem czeladnikowi rzeźnickiemu, który przywiózł dla kuchni wołowinę. Dał mu dla zachęty paczkę papierosów. Czelnik obiecał, że nie zapomni wrzucić kartki do skrzynki pocztowej.

Co właściwie zaszło owego wieczoru przed bramą koszar? Błażej niejasno zdawał sobie sprawę, gdyż był oszołomiony tańcem, białym porto goût belge, pochodem w świetle bibułkowych latarek i okropną wrzawą, która towarzyszyła pożegnaniu tancerzy z tancerkami. Tyle tylko pamiętał, że go dziewczęta całowały, że mu się wieszały na szyi. Pamiętał też, że ktoś go złapał z tyłu wpół i pociągnął do bramy. Był tłok, hałas, zamieszanie, a potem bramę zamknięto.

*

Zgodnie z zaleceniem podoficera, który kopcił glinianą fajeczkę, pan Ksawery wybrał się nazajutrz do kancelarii pułkowej. Długo tłumaczył porucznikowi, co zaszło. Porucznik nie mógł zrozumieć. Wezwał na pomoc drugiego porucznika. Drugi rzekł do pierwszego:

— Czy to czasem nie ten przekłety rekrut, cośmy go wczoraj wieczór zamknęli w areszcie za poturbowanie fryzjera?

Pan Ksawery poczuł, że mu ciarki chodzą po skórze. Oficer inspekcyjny spytał:

— Jak się nazywa pański wychowanek?

A kiedy usłyszał nazwisko, wyraził chęć zobaczenia, jak to się pisze. Pan Ksawery spełnił jego życzenie. Wówczas oficer podszedł do półki, wziął jakiś foliał i zaczął w nim przeglądać alfabetyczny spis rekrutów. Po minucie zebrał papierzyska, położył je na miejscu i twardym głosem oznajmił:

— U nas takiego nie ma.

— Jak to nie ma! List od niego dostałem. Pisz, że go tu gwałtem zatrzymano...

W tej właśnie chwili wszedł do kancelarii major-lekarz, na którego widok pan Ksawery pobladł i zaniemówił.

Z wolna, nie śpiesząc się, gruby major zdejmował rękawiczki. Zwinął je, włożył do czapki, czapkę umieścił na framudze okna. Potem przeszył pana Ksawerego surowym spojrzeniem i rzekł do oficerów:

— Aha, to i do was trafił ten osobnik? Poznają go, nastawał mnie wczoraj na ulicy i śmiał mi zrobić zarzut, że nieformalnie przyjąłem jednego z rekrutów.

Teraz cała kancelaria spoglądała na pana Ksawerego z wyraźną niechęcią. Zrozumiał, że nic tu nie wskóra, że powinien odejść.

*

Ksawery miał już gotową, sporządzoną na brudno depeszę. Odczytał ją Walentynie, która zaaprobowała całość z tą tylko poprawką, że radziła dodać: RP 30 (opłacone 30 słów odpowiedzi).

— To ich powinno skłonić — rzekła — do zajęcia się naszą sprawą.

Pan Ksawery przyznał jej słusność. Zadzwoił na posługacza i poprosił o blankiet telegraficzny. Siadł i z ogromną uwagą przepisywał słowo po słowie. Depesza była długa, zaadresowana do rąk własnych Jego Ekscelencji Pana Ministra Spraw Wojskowych w Brukseli.

*

Zaczęły się męczące godziny oczekiwania. Minął dzień, nie nadeszła żadna odpowiedź. Dopiero w trzecim dniu od zniknięcia Błażeja zjawił się pocztylion.

Zamiast spodziewanych trzydziestu słów życzliwej odpowiedzi, Ksawery i Walentyna znaleźli na blankiecie niechlujnie naklejony pasek papieru, jeszcze wilgotny, a na nim słowa: „Zwrócić się do komendy placu stop za ministra kpt. Delvaux”.

I to było wszystko, tak wyglądała upragniona odpowiedź.

— Walentyno — ponurym głosem przemówił pan Ksawery — w tej komendzie placu potraktują mnie w taki sam sposób, jak w kancelarii pułkowej. Czuję to, jestem nawet pewny. W obecności wojskowych zupełnie tracę głowę, zaczynam się plątać, na pytania odpowiadam bez sensu.

Po chwili dodał:

— Mimo to pójdę, a gdybym nic nie wskórał, odwiedzę świętego Antoniego.

— O, to jest dobra myśl — rzekła Walentyna.

*

Przewidywania pana Ksawerego spełniły się ściśle. W komendzie placu z nikim nie mógł się dogadać. Wojskowi rozmawiali z nim początkowo grzecznie, potem szorstko, a potem bardzo łagodnie, gdy nabrali pewności, że ich odwiedził wariat.

*

— Och, Walentyno — żalił się pan Ksawery — tutejsze proszki od bólu głowy nic nie skutkują. Zażyłem dwa, a głowa boli, boli. W Warszawie są proszki z kogutkiem, od których ból mija po kilku minutach.

Walentyna zaniechała okładów z arniki, zaczynała już chodzić po pokoju. Przesiadując przy otwartym oknie, nie mając nic lepszego do roboty, notowała motywy wydzwaniane co kwadrans z beffroi, z górującej nad miastem wieży z dzwonami. Przyszło jej na myśl, że warto by się nauczyć stenografii muzycznej Nicolle'a. Postanowiła się

zapisać na ten przedmiot zaraz po rozpoczęciu roku szkolnego.

Kiedy tak dumiała nad stenografią, pan Ksawery przemówił:

— Muszę ci się przyznać, Walentyno, że podczas ostatniej bytności w katedrze wrzuciłem do skarbonki świętego Antoniego drugą stufrankówkę.

Ucieszyła się z tej nowiny i rzekła:

— Od samego początku nękała mnie myśl, patronie, że Błażej jest więcej wart. Tylko nie śmiałam panu o tym wspominać. Sto franków daje się dziś za odnalezienie broszki, za pierścionek z brylantem, za złoty zegarek.

— Tak — przyznał pan Ksawery wyraźnie zawstydzony — tak, masz słuszość. Zapominam często, że papierowy pieniądz zdewaluował się po wojnie.

— Co mnie pociesza — mówiła Walentyna — to to, że święty Antoni zaczął już działać, że już pokazał, co potrafi. Ta pocztówka z koszar...

— Właśnie, właśnie — ze skwapliwością przyznał pan Ksawery. — Bez pocztówki ładnie byś wyglądała. No i ja też.

Zegar na wieży wybił godzinę siódmą wieczór. Potem dzwony zagrały skoczną piosenkę ludową. Walentyna zanotowała motyw na liniowanym papierze.

— Jak myślisz, może byśmy zjedli kolację? — spytał pan Ksawery.

Ponieważ przytaknęła, nacisnął guzik dzwonka elektrycznego z napisem „Garçon” i zaczął się zastanawiać, co by tu zamówić. Ktoś zastukał.

— Entrez! — zawołał pan Ksawery.

Zamiast kelnera stanął na progu Błażej. Był ubrany w jasne, płócienne, dosyć brudne spodnie, kurtę miał drelichową nieokreślonego koloru, na nogach wielkie sznurwane buciory, a na głowie zgrabną furażerkę ze zwisającym na czoło pomponikiem*.

* Charakterystyczne furażerki belgijskie są wzorowane na furażerkach polskich z roku 1830. Wprowadził je organizator armii belgijskiej gen. Jan Skrzynecki. (Przyp. red.)

— Sainte Vierge! — krzyknęła Walentyna i rzuciła mu się na szyję.

A pan Ksawery zdołał wykrztusić jedno tylko pytanie, w tym wypadku najzupełniej zbędne:

— To ty, mój chłopcze?

— Tak, to ja. Uciekłem z aresztu.

— Uciekłeś z aresztu! — z trwogą w głosie powtórzył pan Ksawery.

Zastukał kelner. Walentyna zamówiła wieczerzę.

— A gdzie twoje odświętne ubranie? — spytała Błażeja.

— Zostało w koszarach.

— I co będzie?

— Przepadło. Zaraz się przebiorę w garnitur na codzień. Och, jakież jestem głodny. Zjem i wyjeżdżam.

— To nie pójdziesz spać?

— Ani myślę. Żeby mnie złapali? Wyjeżdżam z tego przeklętego miasta pierwszym pociągiem i póki życia noga moja tu nie postanie.

Pan Ksawery przyznał, że Błażej ma słuszość.

— No to się pakujemy — zdecydował.

Od kelnera, który wniósł tacę z zastawą, zażądał rozkładu jazdy pociągów. Prosił też o szybkie rozliczenie.

Zajadali zimne mięso z sałatą, popijali piwem.

— Drogi chłopcze — przemówił pan Ksawery — wszystko to pięknie, ale dlaczego siedzisz w furażerce?

— Bo kapelusz został w koszarach.

— Zgoda, ale do stołu zasiadałeś dotychczas z odkrytą głową.

— Proszę mi wybaczyć — bąknął Błażej — zaraz się wytłumaczę, tylko zjem.

— A za co siedzialesz w areszcie?

— Za nieporozumienie z fryzjerem. Dziś nam szczepili ospę i tyfus. Skorzystałem z zamieszania i drapnąłem przez mur. Koledzy podsadzili.

— Pozwolisz, Błażek, że teraz sprawdzę — rzekła Walentyna. I zdjęła mu z głowy furażerkę.

— Boże — zawołała — ostrzygli go! Maszynką go ostrzygli. Takie cudowne włosy!

ROZDZIAŁ XIV

I znów są w Brukseli. — A gruby major niech pęknie! — Początek roku szkolnego. — Błażej wstępuje na archeologię. — Opowieść o korporacji „Vistula”. — O obciętej brodzie honorowego prezesa. — Jak się pisze sennik egipski. — Wstępne kroki do sensacyjnego reportażu.

Wracali pociągiem pośpiesznym, który się nigdzie nie zatrzymuje, byli więc pewni, że po drodze nie wkroczą do przedziału żandarm i nie zapyta o zbiegłego rekruta. Na dworcu w Brukseli Walentyna otworzyła okno i rozejrzała się po peronie.

— Możemy wyjść — rzekła — nie ma żandarmów.

Z ulgą w sercach zajechali na Petite rue des Bouchers. Teraz skutki ucieczki z koszar były już poza nimi. Niechże tanci szukają, proszę bardzo, niech wypytyują, niech sobie głowy łamią („a gruby major niech pęknie” — pomyślał pan Ksawery).

Zastali w mieszkaniu sto kilkadziesiąt listów amerykańskich z zamówieniami na horoskopy. Pan Ksawery powymowywał z kopert dolary i ułożył je w pudełku od cygar.

I tak oto, po spędzeniu lata na „Belle Toinette”, znaleźli się w Brukseli akurat przed początkiem roku szkolnego. Błażej musiał się wreszcie zdecydować, czego się chce uczyć.

*

— Ponieważ mój papa jest prawnikiem — mówił Błażej — ponieważ papa chciał, żebym i ja był prawnikiem,

no to oczywiście nim nie będę. Zakosztowałem zresztą tych delicji na uniwerku warszawskim i mam ich dość.

— A na co miałbyś chętkę?

— Nie wiem, patronie, naprawdę nie wiem. Niechże mi pan wybierze jaki przyjemny fakultet.

Pan Ksawery zaciągnął się papierosem i po namyśle rzekł:

— Zróbmy, Błażejku, eliminację i co nam pozostanie, to wiwat. Fakultet teologiczny, tego ci nie zalecam, bo po pierwsze musiałbyś się przeprowadzić z Brukseli do Louvain, a po drugie, mówiąc między nami, mój chłopcze, czy byłby z ciebie wzorowy prałat?

— Chyba nie całkiem wzorowy.

— I ja tak myślę. Wobec tego jedziemy dalej. Fakultet medyczny, też nie dla ciebie, co?

— Nie dla mnie. Walentyna mówi, że nadawałbym się na mznego lekarza w uzdrowisku kobiecym. Ale moda jest zmienna, kapryśna. Kobiety też są kapryśne i zmienne.

— Jedziemy wobec tego dalej, Błażejku. Istnieją różne instytuty politechniczne, górnicze, budowy maszyn...

— Co to, to nie, kochany patronie. Ani mi się śni być inżynierem.

— Tak, masz słuszość, to nie dla nas, jedziemy dalej. Czy byś się nie zainteresował Instytutem Solvaya? Jest to szkoła, w której rząd belgijski wychowuje sobie konsulów, posłów, ambasadorów.

— Cudzoziemca tam przyjmą?

— Chyba tak. Belgowie są dobrodusznii.

— A gdzie to jest?

— W parku Leopolda.

— Wie pan, to może być pociągające. Owszem, zgodziłbym się zostać konsulem w jakim arabskim kraju z pachnidłami i z wykopaliskami, chętnie bym też wygrzebał spod ziemi biblijne miasto w rodzaju Babilonu.

— Zbliżamy się do sedna rzeczy. Powiem ci tylko, Błażejku, że gdybyś skończył Instytut Solvaya, to wszyscy by mówili na twój widok: o, to jest ten młody dyplomata. A dyplomatów w Warszawie jest sporo. Każdy urzędnik

w ministerium spraw zagranicznych uważa się za potencjalnego dyplomata.

— No to co robić?

— Wstąpię na wydział filozoficzny i zostań archeologiem.

— Archeologiem! O, to dla mnie zupełna niespodzianka, wie pan.

— Tak, Błażejku, archeologiem. Staniesz się przez to od razu wybitną jednostką, jak z bata strzelił. Albowiem w Warszawie wśród tysięcy inżynierów, lekarzy, dyplomatów, redaktorów i Bóg wie co tam jeszcze, jest zaledwie kilku archeologów. Zjawienie się młodego archeologa wywoła wstrząs w kawiarnianym światku, bo ludzie nawet nie wiedzą, co to jest archeologia, i są najpewniejsi, że archeolog musi być starcem.

— To się zapowiada na dobrą zabawę.

— A poza tym, Błażejku, jak nas uczą przykłady, naj-słynniejsi archeolodzy byli konsulami. Taki Botta, konsul francuski w Mossulu, odkopał Niniwę, taki Rawlinson, konsul angielski w Bagdadzie, zyskał przydomek ojca asyriologii. Ci ludzie umieli łączyć dyplomację z archeologią. Myślę, mój chłopcze, że i ty to potrafisz.

— Potrafię, jako żywo. I wyobrażam sobie, jaką minę zrobi mój papa, kiedy się dowie, że jego jedynak został archeologiem. Patronie, a czy to jest mądra nauka? Bo te, których dziobnąłem w Warszawie, były ogłupiające.

— Archeologia, Błażejku, jest najmądrzejsza z nauk.

— No to zrobione. Zapisuję się na archeologię.

*

Na szczęście ani ciotka Teresa, ani Dikke Mee nie były zwolenniczkami rai w białym sosie i podawały ją rzadko, coraz rzadziej. Tego dnia wieczorem Błażej, zając makaron pod beszamelem, mówił do pana Ksawerego:

— Wie pan, przemyślałem sobie naszą rozmowę i doszedłem do wniosku, że archeologia może się przydać w wielu innych wypadkach. Że na upartego może się przydać nawet w dziennikarstwie, do którego mam niepoha-

mowany pociąg. Krótko mówiąc, może się przydać w każdym zawodzie, byle ten zawód nie wymagał sypiania z budzikiem i ślęczenia ośmiu godzin przy biurku czy nad pulpitem kreślarskim. Tak, patronie, jako archeolog mogę się wybić w dziennikarstwie, bo tym się będę różnił od innych redaktorów, że jestem archeologiem, a oni nie są.

— Otóż to, mój Błażejku. Gdybyś skończył prawo, jak chciał twój papa, byłbyś podobny do innych redaktorów. A tak będziesz unikatem, będziesz czymś ekstra. A jeśli los zrządzi, że zostaniesz konsulem, że dla rozrywki odkopiesz wieżę Babel, ha, wola boska.

Po kolacji przenieśli się na górę.

— Czy to prawda — spytał Błażej — że pan jest autorem senników egipskich?

Pan Ksawery zadygotał na krześle, tak go to pytanie zaskoczyło.

— Kto ci o tym mówił?

— Już nie pamiętam. Pokazywano mi pana w kawiarni „Italia”, kiedyśmy się jeszcze nie znali. Któryś z kolegów powiedział: „Patrzcie, tam siedzi facet, co układa senniki egipskie”.

— Tak, to prawda, Błażejku. Wszystkie aktualne senniki egipskie, arabskie, babilońskie i chaldejskie są dziełem mojej ręki. Jak Polska długa i szeroka, od Bałtyku aż po Zakopane, znajdziesz moje senniki na jarmarkach, odpustach i w kramikach z dewocjonaliami. Tak, Błażejku, to ja jestem ich twórcą. Ale skąd, na Boga, ludzie się dowiedzieli? Twój papa, śmiem przypuszczać, nie miał o tym pojęcia.

— I ja tak myślę, że nie miał. Mój papa zaangażował pana dzięki rekomendacji księżnej Anny, którą pan zna, patronie.

— To moja najlepsza uczennica ze szkoły baletowej, Błażejku. Wykładałem tam naukę o rzeczach. Pamiętam księżną Annę jako małą dziewczynkę ze złotym warkoczykiem, ślicznie dygała na mój widok.

— No właśnie, patronie, to ona narobiła gwałtu przez telefon, kiedy mnie wyłano z korporacji „Vistula” za ob-

cięcie brody honorowemu prezesowi, który się zalał w sztok. Pamięta pan? Mój papa zupełnie stracił głowę, nie wiedział, co ze mną robić, i wtedy ona wzięła go w obroty.

— Haneczka zawsze była zacynym stworzeniem.

— Ja ją też bardzo lubię, fajna kobitka, co tu gadać. Wmówiła w mojego papę, że powinien mnie wysłać z Warszawy gdzieś daleko, pod surowym nadzorem gubernera, no i wskazała na pana, patronie.

— Że niby jestem surowy gubernier? Tak, Haneczka. to moja ulubienica, stawiałem jej zawsze piątki. Ale na miły Bóg, Błażejku, po coś ty obciął brodę honorowemu prezesowi „Vistuli”? Pisano w gazetach, że to jest czcigodny gość, wielce zasłużony, że dzierzył wysoko sztandar, że walczył, że wytrwał, że zjednoczył. Po co mu obcinałeś brodę?

— Ach, czy ja wiem? Rozjuszyła mnie jego broda. Ni z tego, ni z owego ogarnął mnie amok, patronie. Może ten sam amok, co i pana, kiedy pan cisnął pomidorem w figurę Gambrinusa. Tak się jakoś stało, że obciąłem.

— Miałeś nożyczki?

— Nie, patronie, miałem szczyryk.

— I co potem?

— Potem nastąpiła czynna interwencja kamratów z korporacji, trąbiło pogotowie i w rezultacie zajechałem do świętego Rocha, gdzie spędziłem dwa tygodnie pod opieką chirurgów. W tym właśnie czasie księżna Haneczka skończyła nakręcać mojego papę.

— Co najciekawsze — rzekł pan Ksawery — że był to jej pomysł, a nie mój. To ona dała mi znać, żebym się oporządził przed rozmową z twoim ojcem. Bo byłem, Błażejku, trochę zaniedbany w wyglądzie. Wskazała mi nawet krawca Janiaka z ulicy Wspólnej czterdzieści jeden, który mi uszył wytworny garnitur, ten w pepite, co wisi w szafie.

— Tak, całkiem niezły garnitur. Patronie, a jak to się układa senniki? Zawsze mnie intrygowało, skąd autor sennika czerpie tematy. Przecież tam jest niesłychana zawierucha pomysłów. Jak na to wpaść?

— Nie wiem, Błażejku, jak sobie radzą inni twórcy senników. Co do mnie, to miałem własną metodę pracy, która mi znakomicie ułatwiała zadanie. Pisząc sennik, nie ręcznie, tylko na małym remingtonie, z lewej strony kładłem szkolnego Larousse'a, a z prawej chłopską encyklopedię Armand Colina. I przerzucałem kartki byle jak, na chybił trafiał. Dajmy na to otwieram Larousse'a i znajduję podobiznę węgorza, otwieram Colina i znajduję podobiznę kłosów jakiejś trawy. Łączę to wszystko razem i otrzymuję w wyniku taką prognozę: węgorza we śnie widzieć, jak się z rąk wyslizguje, tudzież śliza, miętusa i inną obłą rybę, sianokosów pilnuj, nie leń się, w czas uprzątnij, bo krowa mleko straci.

— Wybornie, kochany patronie. Niech pan przytoczy jeszcze jaki przykład.

— No cóż, jeżeli z lewej strony znajdę tapira, a z prawej dmuchawkę benzynową do lutowania, to napiszę: wielgachnego potwora w lesie widzieć, także smoka ogniem ziejącego — sprawdź piec, szpary gliną poobtykaj, nie rozpalaj drzwiczek do czerwoności, iżbyś z rodziną na śmierć nie zaccadział.

— O, to jest coś, co mi się podoba. Widzę, patronie, że pan wprowadził do senników specjalny język. Gdzie się pan tego nauczył?

— Z książeczek sprzedawanych w kramikach na odpuszcie. I obyś wiedział, Błażejku, że to jest przyjemny język, którym się posługiwałem z prawdziwą satysfakcją.

— Patronie, a kto wydaje pańskie senniki?

— Rozenwajn ze Świętokrzyskiej, taka sobie skromna antykwarenka. Handlują w niej szkolną makulaturą, a o starodruki zupełnie się nie troszczą. Z dumą mogą oświadczyć, że moje senniki stały się podstawą jej istnienia. Toteż, kiedy tam wchodziłem, Rozenwajn wypędzał żonę i dzieci. „Sza, cyt, pan profesor idzie”. Podawał mi stołek, który wycierał skrajem własnej kapoty. Byłem dla niego ważniejszy niż Homer, ważniejszy niż Sienkiewicz. „Panie profesorze — mówił — może pan profesor potrze-

buje zaliczki?”. I zawsze mi wtykał coś grosza. Żyłem zresztą tylko z zaliczek. Drukował senniki w najtańszych drukarekach, gdzieś w Białymstoku, we Włocławku. Oddawał je w komis handlarzom odpustowym, a jakim cudem ścigał od nich należność, tego nie wiem. Sporządzenie rachunku było niemożliwością. Żyłem więc, bez żadnej przemożności, na wiarę z Rozenwajnem.

W sieni stuknęły drzwi, słychać było rozmowę.

— Walentyna przyszła — rzekł Błażej — idziemy do „Cinéma-Gaumont”. Bardzo panu dziękuję za opowieść o egipskich sennikach i jeszcze do nich wrócę. To jest coś, co mnie porywa.

*

Na najpiękniejszym placu świata (tak podobno miał się wyrazić Napoleon), czyli na Grand’Place w Brukseli pod numerem dziewięciątym prosperuje od wielu, wielu lat słynna oberża „Au Cygne”, z łabędziem jako godłem.

Kiedy nad Brukselą pełzają chmury, kiedy mży deszcz i zimny wiatr zawiewa, w gospodzie „Au Cygne” płonie wesoly ogień. Po rozpaleniu kominka najlepszy grafik spośród kelnerów macza patyk w zawieszynie kredy i wypisuje na szybie: „Joyeux Feu de Bois”. Żeby przechodnie wiedzieli, że można się ogrzać.

Z gospodą współżyje na przyjaznej stopie (bo właściciel jest ten sam) stara pijalnia słynnego faro z Gandawy.

Faro! Ach, cóż to za piwo! Kto po raz pierwszy w życiu przelknie jeden łyk, ten odstawi czarę z odrazą. Ale nie powinien się zniechęcać. Następną porcja będzie lepsza, a trzecia, przebóg, wyda mu się ambrozją*.

Do piwiarni, żeby nie przeszkadzać stałym bywalcom oberży, wchodziło się bocznymi drzwiami od ulicy Charles Buls. Nad wejściem widniał herb państwa: stojący na jednej łapie lew, a spodem wstęga z napisem „Union fait la

* Autor już pisał o tym piwie. Po co więc wraca do zachwytyłów? (Przyp. red.)

Force”. Pod tarczą ryte w drzewie litery oznajmiały, że w lokalu mieści się Królewskie Stowarzyszenie Przyjaciół Faro (Société Royale des Amis du Faro).

Aromat w tej piwiarni był osobliwy, niepodobny do aromatów w innych piwiarniach. Był piwno-winny, był winno-cygarowy. Tam właśnie, w tym aromacie, siedział pan Ksawery nad smukłą szklanicą i czekał na Błażeja, który poszedł załatwiać ważne sprawy związane z uniwersytetem.

Czy chłopca przyjmą? Czy uwzględnią jego polską maturę? I na jaki wydział? Jakie przedmioty mu wkleją? Bardzo pan Ksawery był podniecony. Wypił drugie faro, zamówił trzecie. Pólitrową szklankę ujął w dłonie, pochylił się nad piwem i wdychał jego zapach. Nie zauważył, że siedzący przy sąsiednim stoliku mieszczanin bacznie mu się przygląda.

— Hé, smacznego!

Nieznajomy mrugnął lewym okiem. Aby się zrewanżować, pan Ksawery zamrugnął prawym.

— Dobre piwko? — spytał poufale tamten.

— Bajeczne.

— Jestem prezesem Królewskiego Towarzystwa Przyjaciół Faro, nazywam się Jef Beulemans.

Pan Ksawery powstał, przedstawił się i oznajmił, że rozmowa z prezesem przynosi mu zaszczyt.

— Pan jest cudzoziemcem? — spytał prezes.

— Tak, ale za młodu chodziłem tu do szkół.

Między stolikami kręcił się sprzedawca pieczonych kaszanów. Ksawery zamówił dwie torebki, jedną dla prezesa, drugą dla siebie. Przyjaźń była zawarta.

*

— Załatwione, jestem przyjęty — mówił szybko Błażej. — Wpisano mi jako główny przedmiot archeologię. Prócz tego mnóstwo dodatkowych przedmiotów w rodzaju antropologii, paleontologii, geologii, historię starożytną, historię sztuki, anatomie...

— Ach, Błażek, jakież ty będziesz mądry!

— Przyjęto mnie z otwartymi rękami, bo na archeologię wcale nie było kandydatów. Wszyscy się zapisują na medycynę i na fakultet prawny. Nawet mnie zapytywali, co ja z tą archeologią będę robił. Kiedy im oświadczyłem, że się poświęcę dyplomacji albo dziennikarstwu, byli zdumieni.

— Siadaj, Błażek, siadaj. Napijesz się faro?

— Z przyjemnością.

— Powiadasz, że byli zdumieni. No tak, o to nam właśnie chodzi, żebyś się stał oderwanym od życia mędrce. A że na tym lepiej wyjdiesz niż inni, to już jest twoja osobista sprawa.

*

Zdarzyło się pewnego wieczoru, że pan Jef Beulemans, prezes Królewskiego Towarzystwa Przyjaciół Faro, mówił do pana Ksawerego:

— Za mało o nas piszą w gazetach i czasopismach. Nie jesteście już atrakcją, jak dawniej. Turyści nawet nie kosztują naszego piwa.

Na to pan Ksawery odpowiedział:

— Jestem korespondentem prasy warszawskiej. Jeżeli mi pan dostarczy kilka fotografii, to napiszę artykuł o Królewskim Towarzystwie Przyjaciół Faro, o zaletach samego piwa, o browarach, no i o panu, prezesie, jako o człowieku zasłużonym dla sprawy faro, dla idei, dla ojczyzny, dla społeczeństwa.

Wzruszony prezes uściskał mu dłoń. Zaczęli się zastanawiać nad doborem ilustracji do artykułu. Stało na tym, że pan Ksawery otrzyma za kilka dni następujące fotografie: 1) portret prezesa Beulemansa w całej okazałości (pozycja stojąca, na klapie tużurka medale i odznaczenia); 2) widok z lotu ptaka browaru Castelmansa w Gandawie; 3) widok kamienicy „Au Cygne” na rynku brukselskim, gdzie mieści się siedziba Królewskiego Towarzystwa Przyjaciół Faro; 4) fotografię rozwiniętego sztandaru towa-

rzystwa i 5) fotografię godła, które wisi nad wejściem do piwiarni od ulicy Charles Buls.

Pan Ksawery szybko przemnożył w pamięci: pięć razy dziesięć, pięćdziesiąt złotych, jakieś sto wierszy tekstu, trzydzieści pięć złotych, razem osiemdziesiąt pięć złotych. Oplaci się.

— Drogi panie prezesie — rzekł wyjmując notes — odpowie mi pan na kilka pytań i zaraz panu przedstawię, jak sobie wyobrażam nasz artykuł.

*

Ścisłe rzeczy biorąc nie był to artykuł, tylko ilustrowany reportaż. Ukazał się w warszawskim magazynie „Wokół Świata” i przyniósł panu Ksaweremu spodziewane 85 złotych.

Wrażenie, jakie wywołał w piwiarni przy ulicy Charles Buls, można by ładnie opisać, ale po co? Wystarczy wspomnieć, że prezes Beulemans miał w oczach łzy, a brukselski przedstawiciel browaru Castelmansa dwukrotnie telefonował do Gandawy.

Po kilku dniach gandawska „La Flandre Liberale” zamówiła u pana Ksawerego przekład reportażu. Zgodził się przetłumaczyć, ale z melancholią pomyślał, że ta sama gazeta nazwała go niedawno wariatem.

*

Pewnego ranka, zasiadłszy do śniadania, Błażek znalazł obok swej filiżanki list z Warszawy. Zawiadamiała go jedna z ciotek, że gdyby uderzył w pokorę, to miałby szansę na pojednanie z ojcem.

— I co ty zrobisz, chłopcze? — spytał pan Ksawery. — Chyba odpiszesz.

— Tak, muszę ciotce podziękować za pamięć. No i od siebie coś dodam, coś przyjemnego. Może o śpiewie ptaszek w Bois de la Cambre, może o pięknie wieżyc tutejszych

kościółów skąpanych w promieniach słońca. Ta ciotka, wie pan, jest trochę poetką.

— A o pojednaniu nie napiszesz?

— Jeszcze czego! Ani mi się śni.

— Błażejku, to już będzie otwarta rewolta.

— Ach, panie, moja rewolta zaczęła się z chwilą, kiedy prezes „Vistuli” postradał brodę.

ROZDZIAŁ XV

Marché-aux-Puces. — Pan Ksawery kupuje hotel na biegunach. — Lekcja techniki dziennikarskiej. — Zaszczytna promocja na miłośnika fary. — Porto blanc goût belge. — Dzień św. Lamberta. — Czy długo czekał Samson?

— Bez huśtania dłużej nie wytrzymam — oznajmił pan Ksawery — muszę mieć hotel na biegunach.

— Drogi patronie — rzekł na to Błażej — przecie w pudełku od cygar leżą nasze astrologiczne dolary. Niech pan sięgnie, złapie garść i chodźmy do meblarza.

— Czy taki wydatek nie nadszarpnie aby naszych finansów?

— Ach, panie.

Walentyna zaproponowała, że ich zaprowadzi na Marché-aux-Puces, gdzie za grosze można kupić wszystko, czego dusza zapagnie.

— Doskonale, moje dziecko — zgodził się Ksawery. — Prowadź nas, bo nawet dobrze nie wiem, gdzie to jest.

Zdjął z półki drewnianą skrzyneczkę z napisem „Don Pablo” i odliczył kilka dolarów.

— Po drodze musimy je zmienić w jakim banku — dodał.

Targowisko, ku któremu powiodła ich Walentyna, znajdowało się w dzielnicy Marolles, gdzie ludność mówi osobliwą mieszaniną języka francuskiego z flamandzkim. Dla filologa zjawisko ciekawe, a dla miłośnika kalamburów radość i niewyczerpane źródło niespodzianek.

— Ależ to prawdziwy Kercelak! — zawołał pan Ksawery. — Patrz, Błażejku, są nawet szczenięta.

Stanął przed kojcem, w którym się kłębiły małe buldożki o płaskich pyskach i wypukłych oczach. Sprzedawca wy-

brał szczeniaka i podając go panu Ksaweremu na rozpostartej dłoni, rzekł:

— Ça z'y est, mijnheer, teneye, profiteye avec.

Wmieszala się Walentyna tłumacząc grzecznie, że szukają czego innego. Poszli dalej. Zgiełk był, kotłowanina, nawoływania i częste śmiechy. Mijali kramiki z nieprawdopodobną zbieraniną sprzętów potrzebnych do życia i najzupełniej zbytecznych. Obok żelaznego piecyka stał staroświecki fonograf Edisona, tuż obok jakiś olejny obraz z Wezuwiuszem. Oparta o rower czekała na nabywcę rusznica skalkowa, a przy niej pysznił się barwami swych piór i koralii wypchany tokujący cietrzew. Na wyżymacze marki „Madame Sans-Gêne” stała klatka z kanarkiem, na klatce leżał barometr Gay-Lussaca. Z rogów łosia zwisały damskie biusthaltery. Inkrustowana gitara bez strun tuliła się do dentystycznej umywalki. Z kaszki kirasjera wyglądał mikroskop pospołu z rozsuwaną lunetą.

— Tam dalej — rzekła Walentyna — jest zaułek ze starymi meblami. Jeżeli trafimy na odpowiedni fotel, to pozwólcie, że ja się zakrzętnę, a wy nie mówcie nic.

Szli zygzakami między straganami. Wśród mnóstwa rupieci pan Ksawery dostrzegł przerywacz telegraficzny do wystukiwania znaków Morse'a, mauretańską butlę alkazaras do przechowywania chłodzonych napojów, strunowe cymbały, ramkę z plastrem wosku, budę od jakiejś bryczki, oszkloną skrzynkę z motylami, globus, niedźwiedzią czapę grenadiera, wagę aptekarską, świecznik z kryształowymi wisiorami, cewkę Ruhmkorffa, pogięty saksofon, przyrząd do powielania, koło ratunkowe, chiński imbryk, głowę antylopy, rękawice bokserskie, kilka żywych papug, gwizdek lokomotywy, inkubator do jaj, mandolinę, eudiometr Crookes'a, sztandar republiki San Marino, latarnię kolejową, kukłę Poliszynela, trapez gimnastyczny, lustro w porcelanowej ramie, bęben orkiestry wojskowej, baterię Leclanche'a, manekin do damskich sukien, więcierz na ryby, przybór do prasowania bez żelazka, różne wieszaki, formy do wafli, fajki, pistolety, wachlarze, okaryny i wiele innych przedmiotów.

Kiedy doszli do poszukiwanego zaułka, kiedy zaczęli się rozglądać, sprzedawcy nabrali przekonania, że to panna młoda przyszła z narzeczonym, by zaopatrzyć się w meble; dobierając więc czułych słów przywoływali Walentynę.

— Veneye, p'tite filleke! Mam wszystko, czego szukasz — zapewniał jakiś dobroduszny jegomość.

Drugi starał się go przelicytować w serdecznych zwrotach:

— Voyons, la p'tite schoepke, voyons, la brave pigeonke!

Walentyna zbywała te komplementy uśmiechem i szła dalej szukając fotela na biegunach.

Błażej zwrócił się do pana Ksawerego:

— Słyszał pan, na Walentynę mówią pigeonke.

— Czyli gołąbka.

— Podoba mi się to słowo, muszę je zapamiętać.

Po długim błędzeniu Walentyna wypatrzyła wreszcie ciekawy fotel z biegunami. Stary, zniszczony, siedzenie w strzępach, ale drzewo miało mocne i zdrowe. Nogi były rzeźbione na kształt spirali, przypominały korkociąg. Ładny okaz zapomnianej sztuki stolarskiej.

— Jeżeli kupimy — rzekła — to go oddamy do odświeżenia i będzie pan miał przyjemny mebel, patronie.

Przemówiła do sprzedawcy, po kilku minutach dobiła z nim targu. Cena okazała się naprawdę niska. Stało na tym, że fotel będzie odesłany na Petite rue des Bouchers.

*

Znaleźli się pod sklepieniem starej gospody, pełnej przekupniów z targowiska. Był gwar i lekki zamęt, dźwięczała mowa dzielnicy Marolles. Goście wchodzili, szybko wypijali piwo i wybiegali na ulicę.

Pan Ksawery patrzył i słuchał z zaciekawieniem, Błażej bawił się znakomicie, Walentyna była dumna ze znalezionej fotela. Zasiadli pod witrażowym oknem i zamówili piwo lambic, też dziadowskie, które strzela jak szampan.

Witraż w oknie, być może zabytek heretycki z czasów Egmonta i Hoorna, wyobrażał stół z otwartą biblią. Obok

biblii stał kuty w żelazie świecznik, w którym tkwiła koślawa łożówka poobwieszana soplami. Łojówka płonęła, tłuszcz kapał na podstawę. Siedzący na stole kot z podwiniętym ogonem zlizywał ze świecznika strużki łoju. Aby nie było wątpliwości, że to kot oblizuje lichtarz, twórca tej sceny umieścił spodem napis: „De kat lekket de kandelaar”.

— Twoje zdrowie, Walentyno — rzekł pan Ksawery unosząc szklankę z musującym lambikiem.

— Twoje zdrowie, ma brave pigeonke — zawtórował Błażej.

Był to jeden z kolejnych wykładów. Błażej rozłożył zeszyt, wypisał kaligraficznie „Lekcja jedenasta”, podkreślił falistą linią i czekał.

— Na czym stanęliśmy? — spytał pan Ksawery.

— Na literze M. Że tematów na M lepiej unikać w niefrasobliwych felietonach, tematów takich jak marszałek, masoni, macierzyństwo świadome, Myszkorowskiego salon i tak dalej. Bo zawsze się ktoś rozpiekli. Albo pułkownik, albo endek, albo prezeska od świętej Zyty, albo jaka dama z pałacu Brühla.

— Doskonale, jedziemy naprzód. Postaw teraz w kajecie dużą literę N, jak Napoleon.

— Gotowe.

— To dyktuję. Pierwsze hasło na N: Nie mów, ile masz lat. Podkreśl to, Błażejku.

— Już podkreśliłem.

— Dyktuję dalej. Nie mów nikomu, a zwłaszcza miłośnikom różnych obchodów i uroczystości, ile masz lat. Kropka. Bo taki miłośnik tylko czyha na to, żeby ci urządzić jubileusz. Zważ, nieszczęsna ofiario, przecinek, że niektórzy działacze niczym się nie zajmują... Napisałeś?

— Tak, niczym się nie zajmują.

— Tylko urządzaniem jubileuszów i obchodów ku czci, ku chwale, ku pamięci. Zapisalesz?

— Tak, ku pamięci.

— I ani się obejrzyysz, nieszczęsna ofiario, jak ci wlepią jubileusz dwudziestolecia pracy, albo co gorsza, trzydziestolecia, choćbyś całe życie próżnował. Albo ci urządzią uroczysty obchód którychś tam z rządu urodzin. Zapisalesz?

— Tak.

— Dyktuję dalej. Zastanów się, nieszczęsny, że takich obchodów może być niesłychana mnogość, albowiem każdy, kto ma fotel, wysiedzi w końcu własny jubileusz, chce czy nie chce. Zapisalesz?

— Tak, panie, zapisałem.

— No to przechodzimy do następnych haseł na N. Zrób akapit. Nazwiska i adresy. To podkreśl.

— Już. Nazwiska i adresy.

— Zaczynam dyktować. Nazwiska i adresy na szpaltach gazet staraj się pisać błędnie. Przekręcaj, myl, płacz jedne z drugimi i niczym się nie krępuj. Takie przeinaczanie nazwisk uchroni cię od sprostowań, od procesów sądowych i od zamachów na twoje życie.

— Zapisalem, ale nie bardzo wiem, o co chodzi.

— To odłóż pióro i słuchaj. Przypuśćmy, że w barze „Pod Wiechą” pan Jan Mazurkiewicz stłukł na głowie pana Stanisława Nowaka butelkę francuskiego koniaku. O co im poszło, nie wiesz. Jak byś to opisał?

— Wcale bym nie opisał.

— Oho, Błażejku, dziennikarzowi tak nie wolno. Po pierwsze gazeta, zwłaszcza popularna, musi mieć przebój na trzy szpalty, czyli tak zwany „szlagier”. Po drugie zajęcie narobiło sporo hałasu, wzywano pogotowie, wzywano policję, ludzie więc będą szukać relacji w prasie. Po trzecie wpada ci do rąk wyborny temat, dlaczego byś nie miał go wykorzystać? Pisz wobec tego, daj się porwać fantazji. Pisz, kochany chłopcze, bo nic nie ryzykujesz, byleś tylko pogmatwał, powichrzył wszystko tak dokładnie, iżby nawet panowie Mazurkiewicz i Nowak nic nie mogli zrozumieć.

Ksawery rozhuśtał się w fotelu, zatarł ręce i mówił:

— Pisz więc, Błażejku, że w barze „Pod Wiechą” na pięć minut przed wybiciem północy (godzinę trzeba podać ściśle) jeden pan uderzył drugiego pana w głowę butelką koniaku marki Hennessy V.S.O.P. (to bardzo ważne, trzeba ustalić ten szczegół przez telefon z barmanem i ściśle zaznaczyć). A dalej, mój chłopcze, co za uciecha! Zamiast Jan Mazurkiewicz, napisz Jan Nowakowski, a zamiast Stanisław Nowak napisz Stanisław Mazur. Adresy też im popłaż, poprzesławiaj ulice, poprzesławiaj numery domów. Dodaj do tej historii kobietę, rzecz prosta kobietę uroczą, o którą starli się w barze dwaj panowie. W ten sposób wszyscy będą zadowoleni: czytelnicy, bo mają opowieść, wydawcy, bo „szlagier” jest w gazecie, no i bohaterowie zajścia, bo cało wyszli z opisu.

— Ach, patronie — zawołał Błażej — pan otwiera przede mną nowe horyzonty.

— To jedziemy dalej, Błażejku. Akapit. Następne hasło na N. Nazwy miejscowości. Podkreśl. Zaczynam dyktować. Rzetelny, prawy dziennikarz ma na podporządku nazwy kilku nieistniejących miejscowości w rodzaju Białej Kujawskiej. Ułatwi mu to pracę.

— Ułatwi?

— Ogromnie ułatwi. Bo do takiej Białej Kujawskiej, która nie istnieje, możesz przypiąć wszystko, co ci przyjdzie do głowy. Możesz ożenić córkę burmistrza z koniokradem, możesz założyć amerykańską sektę mormonów, podpalić dom i wyratować trojaczki, możesz wykopać na rynku kiel mamuta, wszystko możesz. Ziemia kujawska jest szeroka, a ponieważ należy do trzech województw, każdy wojewoda będzie myślał, że opisane w gazecie wypadki dotyczą jego sąsiada. Ja, Błażejku, kiedy się zajmowałem dziennikarstwem, sporządziłem sobie skorowidz nieistniejących miast i miasteczek tudzież warszawskich ulic, domów, hoteli i barów, które też nie istniały. Był to, wymawiam te słowa z dumą, mój własny pomysł, który ci teraz przekazuję.

— Patronie — rzekł wzruszony Błażej — powinienem

paść na kolana i dziękować. Tak, na klęczkach dziękować za te wszystkie sekrety dziennikarskie, które mi pan wspomniałomyślnie ofiarował.

*

Następna lekcja wszech nauk dziennikarskich też była ciekawa, a jej zakończenie obiecywało wiele rozkoszy.

— Jeszcze nie wiadomo, Błażejku — przemówił pan Ksawery — czy będziesz dziennikarzem. Bo po zrobieniu licencjatu z archeologii równie dobrze możesz zostać konsulem albo ambasadorem. Jako dyplomata musisz się znać na winach, prawda?

— Tak, to ważne.

— I dlatego, mój chłopcze, postanowiłem wprowadzić naukę o winach do naszych studiów. A ponieważ nie mam o tym pojęcia, będziemy uczyć jeden drugiego, będziemy odwiedzać piwnice, będziemy gawędzić z winiarzami, z kupcami, z kelnerami, z kim się da.

— Czy pan pozwoli, że zabierzemy czasem Walentynę?

— Oczywiście, Błażejku, oczywiście.

— Walentyna opowiadała mi kiedyś, że jeżeli wziąć mapę Belgii i nakreślić na niej granicę językową, to jednocześnie będzie to granica zamiłowania do win. Flandria uznaje wina bordoskie, a Wallonia jest rozmiłowana w winach burgundzkich.

— Co ty mówisz, chłopcze! To coś nadzwyczajnego.

— A tak, patronie, bo prowincje walońskie przez długie lata należały do Burgundii i stamtąd otrzymywały wina drogą lądową. Miasta północne sprowadzały wina drogą morską z Bordeaux. Przywiązanie do win przetrwało i podział gustów jeszcze dziś jest wyraźny. Jedna tylko Bruksela ma piwnice mieszane, burgundzko-bordoskie.

— To ci mówiła Walentyna? Uściskaj ją za ten pouczający wykład. Ach, co za wspomniała dziewczyna!

*

Pan Ksawery wybrał się z Błażem na Marché-aux-Herbes-Potagères. Tę starą ulicę od niepamiętnych czasów upodobałi sobie krawcy, sami prawie krawcy, najsłynniejsze brukselskie rody krawieckie.

— Dlatego cię tam ciągnę, mój Błażek — mówił pan Ksawery — że znasz się na kroju męskich szat. Wobec zaszczytu, jaki mnie spotkał, muszę być pięknie ubrany.

Błaż przyznał mistrzowi słusność i wyraził chęć dodatkowego służenia radą przy wyborze krawatów. Stała się bowiem rzecz ważna, pan Ksawery otrzymał zawiadomienie, że w Królewskim Towarzystwie Przyjaciół Faro wysunięto jego kandydaturę. Za tydzień ma nastąpić uroczysta promocja.

Krawieckie sklepy na Marché-aux-Herbes-Potagères nie miały krzykliwych szyldów, poprzestawały na małych tabliczkach z nazwiskiem i rokiem założenia pracowni: 1772, 1786, 1791, 1802 etc.

Pan Ksawery wybrał najstarszy ze sklepów, ten z rokiem 1772, na którym widniało nazwisko: Laurentius Demuyder. Zamówili czarną marynarkę jednorzędową, kamizelkę i spodnie w paski.

— Przymiarka będzie gotowa jutro o czwartej po południu — oznajmił p. Adrian Demuyder, potomek Laurentiusa.

Po wyjściu od krawca chodzili po sklepach i wybierali krawaty.

— Muszę się zatroszczyć o pański wygląd — postanowił Błaż. — Jak nadejdzie więcej dolarów, pomyślimy o letnim płaszczu.

Przed powrotem do domu wstąpili do małej drukarenki, gdzie pan Ksawery zamówił setkę biletów wizytowych. Pod nazwiskiem polecił wydrukować:

CZŁONEK RZECZYWISTY
KRÓLEWSKIEGO TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ FARO

— Dawno się nie czułem taki dumny — rzekł do Błażeja.

*

— Ponieważ pan sobie kupił fotel na biegunach, ponieważ pan zamówił garnitur wizytowy — zaczął rozmowę Błaż — i ponieważ mnie ogarniają ciagoty dziennikarskie, myślę, panie Ksawery, że teraz moja kolej i mógłbym sobie kupić maszynę do pisania. Dolary chyba się znajdują.

— Naprawdę, masz takie ciagoty? O, mój chłopcze, to dla mnie wielka radość.

— Owszem, mam nieprzeparte ciagoty do dziennikarstwa. Przyznam się panu, że już byłem na mieście, obszedłem kilka sklepów i upatrzyłem sobie szwajcarską maszynkę „Hermes”. Jest taka płaska, że wchodzi do teczki z papierami.

— No to kupuj, Błażek, dolary są w pudełku.

— Dziękuję, patronie. Dam w sklepie zadatek, żeby mi sprowadzili egzemplarz z polsko-francuskimi znakami. Zapewniają, że to nie potrwa długo.

— Wybornie, Błażek, wybornie. Pozwolisz mi czasem popisać, prawda?

— Patronie, pan sobie chyba zdaje sprawę, jaki to będzie dla mnie zaszczyt.

— A te błogosławione ciagoty, Błażek, skąd na ciebie spadły?

— Ach, panie, coś się we mnie kotłasi, coś kipi, coś się pieni, coś chce wypłynąć. Nie zdaję sobie sprawy, skąd się to bierze, jedno tylko wiem, że chce mi się pisać androny, banialuki, brednie, bajdy, duby smalone, koszalki-opalki, klitucie-bajdusie, niedorzeczności, bezsensy, szaleństwa. Bez tego nie mogę żyć.

— I dawno cię to dręczy, mój chłopcze, dawno już miewasz takie ciagoty do szaleństw?

— Chyba rok, patronie, odkąd przeczytałem „Błękitnych”, „Iwonkę” i kilka podobnych książek.

— Rozumiem cię, Błażek, rozumiem. I tym bardziej się cieszę, że będziesz miał maszynę do pisania.

*

Walka z alkoholizmem w Belgii toczy się zupełnie inaczej niż w Polsce. U nas wiszą plakaty, na których widać, jak pijak znęca się nad żoną, jak bije dzieci, jak podpala dom, jak się wreszcie wieszka na zakratowanym okienku. Makabra, której celem jest zastraszenie. Toteż śmielsze jednostki przechodzą obojętnie obok tych rysunków, nie przyjmując ich treści do wiadomości.

W Belgii makabry nie ma. Tam jest radosny dzień św. Lamberta, patrona kraju, przypadający 17 września. Antyalkoholowy ten dzień tym się wyróżnia, że można pod ową datą tanio się upić, po prostu za bezcen. Albowiem mądry rząd doszedł do przekonania, że zamiast straszyć pijaków makabrą, lepiej im zaproponować szlachetniejszy trunk.

Toteż jak Belgia długa i szeroka, w propagandowym dniu św. Lamberta we wszystkich estaminetach, knajpkach, kioskach ulicznych, nawet na dworcach kolejowych jest sprzedawane czyste wino gronowe pod urzędową nazwą „Porto blanc, goût belge”. Jest sprzedawane na szklanki wielkości naszych „angielek” i kosztuje to samo, co mały kieliszek wódki.

Dystrybucją zajmuje się zasłużone towarzystwo walki z alkoholizmem „Etoile Verte” (Zielonej Gwiazdy). A obywatela się cieszą. Iluż to maluczkich czeka przez cały rok na łaskawy dzionek św. Lamberta!

Ale, przebóg, dlaczego św. Lambert został w to wszystko wciągnięty i teraz patronuje sprzedaży białego porto? Patronem abstynentów jest św. Jan Chrzyciel, a o św. Lambertcie wiemy tylko tyle, że go ktoś zamordował około roku 705 w Leodium*.

Nie dziwny się więc, że Błażej i Walentyna ulegli czarowi białego porto. Chodząc po Bois de la Cambre, a jesień była piękna, zatrzymywali się przed kioskami, by wypić szklaneczkę tradycyjnego napoju.

Walentynie zakręciło się w głowie.

* Zamordowany na rozkaz Pepina z Heristalu, którego ostro potępiał za cudzołówny związek z Hilderyką. (Przyp. red.)

— Błażek*, siadźmy gdzie, bo chwieję się na nogach. Zaprowadził ją mostem na wyspę, do kawiarni pod gołym niebem. Siedzieli w ażurowej altance nad wodą, zamówili podwieczorek. Błażej z ciekawością patrzył na Walentynę, gdyż po raz pierwszy widział ją wstawioną. Była zabawna, wesoła, skora do zwierzeń, ale wszystko, co mówiła, miało wyraźny sens.

— Wiesz, mój luby Pascalu — rzekła — będę musiała przyznać się wujowi, że kurtyzuję**.

— Zostawmy to pomyślnemu biegowi wypadków.

— Nie można, mój Pascalu. Złe by było, gdyby się wuj dowiedział od trzeciej osoby, że skromna sierotka Walentyna ma na podorędziu chwackiego junaka. W głowę zachodzę, jak to się stało, że dotąd nic nie słyszał o naszej eskapadzie na „Belle Toinette”.

— A co robi wujaszek?

— Leczy wariatów. Prócz tego hoduje w ogrodzie różne zwierzaki, zbiera miniatury na kości słoniowej i lubi dobrą kuchnię. Odwiedzam go od czasu do czasu. Przygotuj się, Błażek, że wuj zapagnie cię poznać. Włożysz osłepiająco piękny krawat...

— Och, Walentyno — wtrącił Błażej — przesun te formalności na dalszą metę, póki mi włosy nie odrosną.

— Masz słuszność, mądry Pascalu, trzeba się wstrzymać. Zapomniałam, że jesteś osmyczony. Czy nie wiesz przypadkiem, jak długo czekał Samson na odrośnięcie włosów?

— Nie wiem.

— A mógłbyś się dowiedzieć?

— Chętnie, spytam jakiego prałata.

Oparła mu głowę na ramieniu. Dzień się kończył, ptaki w lesie zamilkły, jeziorowe łabędzie poszły spać. Walentyna i Błażej też zasnęli.

* Błażej w języku francuskim Blaise. Walentyna mówiła zapewne „mon petit Blaise” albo „mon ami”, co autor z konieczności oddaje przez „Błażek”. (Przyp. red.)

** Nazwała go Pascalem przez skojarzenie: Blaise Pascal. Czasownik „courtiser” w lokalnym znaczeniu odpowiada naszemu „chodzić z chłopcem”. (Przyp. red.)

ROZDZIAŁ XVI

Kieszonkowe promienie X. — Troisty atak na wynalazcę. — Pan Ksawery nadal edukuje Błażeja. — Arystofanes i jego słoik z pachnidłami. — Pochwała odmieńców. — Salem alejkum. — Stale zadowolony, stale zdrów. — Jak wyglądała ich kasa.

Pan Ksawery wrócił z miasta zaaferowany. Wyjął z portfela tekturowy czworokąt wielkości 6 na 9 i pół centymetra, giętki, niebieskawy, powleczony błyszczącym lakierem*. Pośrodku czworokąta była dziurka z wklejonym między warstwy papieru kawałkiem koguciego pióra, tak zwanej chorągiewki. Na tekturce był napis:

*Nowość XX wieku
Kieszonkowe Promienie X
Prześwietlają ciało
damskie i męskie
oraz wszelkie zatajone
sekrety
Cena tylko 50 c.*

— Co to ma być? — spytał Błażej.

— Ach, mój chłopcze, coś nadzwyczajnego. Weź, zobacz, rozstaw palce dłoni i spójrz przez dziurkę.

Błażej spojrział, był zaskoczony.

— Rzeczywiście, dosyć zabawne.

Jego dłoń, oglądana przez fragment pióra, przypominała zdjęcie rentgenowskie**. Rozproszenie promieni świetlnych

* Wzruszająca dbałość autora o szczegóły. (Przyp. red.)

** Ciekawego zjawiska z odchyleniem promieni świetlnych przez skrawek pióra nikt dotąd, jak się zdaje, nie wykrył w naszym przemyśle zabawkarskim. (Przyp. red.)

sprawiało, że widział coś jakby szkielet kiści z pięcioma palcami, widział też okalającą je mgielkę, niby zarys ciała.

— Co pan chce zrobić, patronie?

— Muszę się tym zająć. Czy przyjdzie Walentyna?

— Tak, ma przyjść prosto z konserwatorium, powinna tu być lada moment.

— To dobrze. Zaprowadzę was na Grand Sablon, gdzie stoi sprzedawca tych tekturek, stoi i zdiera sobie struny głosowe. Trzeba mu pomóc. I żebyś wiedział, mój Błażejku, że to będzie „zwanze”.

*

Zgodnie z opracowanym przez pana Ksawerego planem wchodzili na plac z osobna, jak gdyby się nie znając, w odstępach dziesięciminutowych.

Pierwszy wkroczył pan Ksawery przez rue Lebeau, potem Walentyna wyłoniła się z kościoła Notre Dame du Sablon, a Błażej wszedł przez małą uliczkę św. Anny. Sprzedawca rzeczywiście zdierał sobie głos, zachwalając swe kartoniki.

Pan Ksawery spojrział na zegarek i zaczął odgrywać przyjętą na siebie rolę.

— To nie może być — przemówił do kamelota — nie wierzę w pańskie opowiadanie.

— Sur ma foi, pan nie wierzy?

Sprzedawca podał panu Ksaweremu kartonik.

— Proszę, niech pan spojrzy choćby na parasolkę tej pani... Dziękuję, madame. O, zwiżam parasolkę jeszcze mocniej, żeby była twarda. Proszę, niech pan teraz podniesie mój wynalazek do oka, niech pan spojrzy, no, no, proszę spojrzeć... Et bien?

— Na Boga! — zawołał pan Ksawery. — Widzę, widzę! Widzę rdzeń parasolki. Tak, to nie jest żadna szarlataneria, to są promienie X. Bardzo pana przepraszam za moją nieufność.

Świadkowie tej sceny zaczęli reagować. Kilka rąk sięg-

nęło po kartoniki. Handel ruszył, twarz sprzedawcy jaśniała. Zgarniał półfrankówki, z wdzięcznością spoglądając od czasu do czasu na pana Ksawerego.

Wystąpienie Walentyny rozweseliło publiczność. Zapytywała nieśmiało, czy korzystanie z kartoników nie jest grzechem, czy nie ma w tym obrazu moralności. Mówiła po flamandzku. Sprzedawca zapewniał, że jego wynalazek jest oparty na ostatnich odkryciach naukowych. Z wahaniem, jak gdyby przezwyciężając lęk, Walentyna kupiła jeden kartonik i odeszła. Po chwili wróciła, by poprosić o drugi. Kilka osób parsknęło śmiechem. Pan Ksawery pomyślał, że byłaby z niej dobra aktorka.

Po następnych dziesięciu minutach podszedł Błażej. Bulwarową francuszczyzną zagadnął kamelota, co się tu dzieje. Otrzymawszy kartonik przymrużył oko i spojrzął pod światło na dłoń.

— Sapristi! — krzyknął. — Ależ to coś nadzwyczajnego. Proszę mi dać trzy sztuki, zawiozę do Paryża.

Kiedy odchodzili, kamelot nie potrzebował nawoływać, nie potrzebował zachwalać kartoników. Sprzedaż szła rażno, z ręki do ręki.

— Wobec tego — oznajmił pan Ksawery — zapraszam was na ucztę.

Zatrzymali się przed nowoczesną restauracją. Wywieszony w oknie spis potraw wymieniał jakieś Langoureuuses de Nnette, Boeuf Arcachon, Bécasse Fine Champagne.

— Ja tego nie będę jeść, dziś piątek — zdecydowała Walentyna. — Chodźcie, zaprowadzę was do starego portu, gdzie dobrze karmią rybami.

Przecieli bulwar Anspacha i przez Marché-aux-Poulets dotarli do ciasnego zaułka, w którym się przytuliły jadalnie dla znawców. Wybrany przez Walentynę lokal przypominał sklepioną piwnicę.

Byli głodni, jedli z apetytem. Podano im naprzd mule w glinianych miskach, do tego fryty. Potem dziwną potrawę regionalną, która się nazywa paling in't groen, czyli węgorz w zieleni. Zamiast piwa dostali lekkie białe wino.

Na zakończenie kawa, do kawy tarte doreye, złoty torcik z ryżu.

Pan Ksawery przypomniał wypadki na Grand Sablon i wyraził pochwałę bieżących chwil.

— Tak, ma pan słuszność — przyznała Walentyna — dzień nam się udał. To było prawdziwe brukselskie „zwanze”. Tamten kamelot łamie sobie głowę, skąd się nagle wzięły takie sukcesy. Dla niego radość, a dla nas uciecha.

Błażej oznajmił, że coraz jaśniej zaczyna odczuwać urok „zwanze”, subtelną nutkę tej gry.

— Dostępną tylko dla wybranych — dodał pan Ksawery.

*

Napłynęło trochę dolarów za horoskopy. Pan Ksawery ugniół je w pudełku od cygar, ale bał się przeliczyć. Błażej, zarażony jego wiarą w przypadki dziwne, niezrozumiałe, wymykające się osądom ludzkiego rozumu, też nie chciał liczyć.

— Na oko, patronie — rzekł — tyle jest tych papierków, że śmiało możemy odwiedzić Marché-aux-Herbes-Potagères i zamówić dla pana sakpalto.

Wybrali się tegoż dnia po obiedzie. Kiedy podeszli do okna firmy „Laurentius Demuyder”, Błażej przystanął i oświadczył:

— Zgoda, niech będzie w stylu mieszczańskim. Ale, błagam pana, bez aksamitnego kołnierza.

— Zrobię to dla ciebie, Błażejku, choć nie bez żalu. Aksamitne kołnierze są w tym mieście oznaką powagi i dostojności. Jako członek Królewskiego Towarzystwa Przyjaciół Faro, rozumiesz...

— Tak, patronie, rozumiem. Mimo wszystko, niech pan zamówi bez aksamitu. To dobre dla majestatycznych ojców rodzin, a pan jest przecież stanu wolnego.

*

W kilka dni później znów napłynęło trochę dolarów. Drobne ogłoszenia w „Ameryka-Echo” dawały o sobie znać. Błażej, pomagając panu Ksaweremu w załatwianiu korespondencji, przemówił:

— Może mój głos zdrzy, może się zarumienie, ale było nie było, postanowiłem prosić pana o trzydzieści dolarów.

Pan Ksawery spojrzął mu w oczy.

— Domyślam się — rzekł — twoja dziewczyna...

— Ach nie, patronie, tu nie o nią chodzi. Chciałbym założyć z kolegami tygodnik. Uchwaliliśmy składkę. Będzie się nazywał „A Quoi Bon?”.

— No to bierz, Błażejku, te trzydzieści dolarów i zakładaj tygodnik. Zawieszcie go, być może, po kilku lub po kilkunastu numerach, ale początek będzie zrobiony i już zostaniesz dziennikarzem.

— Bardzo dziękuję, patronie.

Pan Ksawery pomyślał, że jednak doczeka się pociechy z tego chłopca.

*

Jak zwykle pan Ksawery dyktował, uczeń zapisywał. Jak zwykle stała na stoliku kawa, a w pokoju był obłok dymu z papierosów.

— No to co robić — spytał Błażej — jeżeli gubernator zacznie zanadto hałaburdzić?

— Usadziś go, mój chłopcze, usadziś gładko i z wdziękiem, usadziś według wypróbowanej metody Arystofanesa*. Jeżeli gubernator zacznie hałaburdzić, przypniesz mu coś w rodzaju słoika z pachnidłami. Napiszesz choćby tylko tyle, że jego ekscelencja pan gubernator był na premierze „Wesołej wdówki”. Po tygodniu powtórzysz, że był po raz drugi i gorąco oklaskiwał śpiewaków. Potem zamieścisz notatkę, że, jak się dowiadujemy, pan gubernator

* W turnieju poetyckim Arystofanes dodaje do wymawianych przez deklamatora imion herosów: „zgubił słoik z pachnidłami”, przez co niweczy nastrój. (Przyp. red.)

tor zamówił w Lipsku wyciąg fortepianowy z partytury „Wesołej wdówki”. Jeżeli od tego nie pęknie, to napiszesz za jakiś czas, że gubernator wybiera się na „Wesołą wdówkę” do Wiednia. Ręczę ci, Błażejku, że po tych kilku niewinnych wzmiankach gubernator skapituluje i pójdzie na ugodę. Sprostowania, rzecz jasna, nie może przysłać, bo ładnie by wyglądał z „Wesołą wdówką” na przyczepkę. Ach, Błażejku, dziennikarstwo ma wiele uroków, których profan nawet nie podejrzewa.

— W to mi graj, patronie. Coraz się bardziej zapalam do redagowania gazety.

Skończyli lekcję, przeszli do luźnej wymiany zdań. Pan Ksawery bujał się na biegunach. Od czasu do czasu wyrażał żywą radość z posiadania ulubionego sprzętu:

— Doskonały fotel... Wyborny fotel... Ma gładkie bieguny... Wspaniały fotel... Walentyna pięknie się spisała z tym tapicerem.

— No to mi bardzo przyjemnie, że pan jest zadowolony — rzekł Błażej.

— Tak, mój chłopcze, jeżeli będzie kiermasz koło Gare du Midi, zaprowadzę was na mechaniczną huśtawkę. Ach, coś bajecznego. Marzę o tym.

Po kilku minutach pan Ksawery trochę się zmęczył, znieruchomiał dla zacerpnienia tchu.

— Ciągłe mi chodzi po głowie — zaczął Błażej — ten wagabunda z Grand Sablon. Niech mi pan wytłumaczy, patronie, dlaczego pan wpadł w taki zapał i dlaczego pan zainscenizował nasze potrójne natarcie na jego kartoniki. Czy pan poczuł do niego sympatię? A jeżeli tak, to skąd ta sympatia nagle się wzięła?

— Mam słabość, Błażejku, do ludzi, którzy żyją inaczej, niż im to nakazują gubernatorzy. Nasz wagabunda nie może się zmieścić w narzuconym wzorku. Woli zachrypnąć sprzedając kartoniki ze skrawkami kogucich piór, niż zastosować się do urzędowego rozkładu życia. Taki się już widać urodził, nie potrafi być inny.

Pan Ksawery zamilkł na chwilę, potem mówił:

— Każda stolica ma własny poczet odmieńców, dzi-

waków, wagabundów, oryginałów i wolnych duchów. W Paryżu dobrze się im żyje, w Brukseli też, w Berlinie są tępieni. Czyś słyszał kiedy sentymentalną piosenkę ku chwale Berlina?

— Nie, nigdy, jako żywo.

— A o Paryżu?

— O Paryżu ciągle się słyszy.

— To dlatego, że piosenkarze też są odmieńcami.

— W takim razie do tej wielkiej rodziny musiały pan zaliczyć braci malarską, poetów, aktorów, reporterów.

— A coś ty myślał, Błażejku. Oczywiście, że ich zaliczam. Siebie samego też zaliczam, bo nigdy dotąd buzik nie podrywał mnie z łóżka.

— I pan był szczęśliwy?

— Najzupełniej. Choć zdarzały się okresy, że nie miałem złotówki na pół czarnej z babką śmietankową.

— A skąd się biorą odmieńcy?

— Nie wiem, doprawdy nie wiem. Może tu wchodzi w grę mutacje psychiczne, może jakieś bodźce z zewnątrz, a może echa minionych wieków.

Rozhuśtał się w fotelu. Błażej odczekał chwilę i rzekł:

— Chciałbym się dostać do wielkiego bractwa odmieńców.

— W tym kierunku cię kształcę, mój Błażejku. I nie będę ukrywał, że wkładam w to dużo serca i dużo dobrej woli.

*

Któregoś dnia, mniejsza o datę, kiedy pan Ksawery i jego uczeń wracali z agencji ogłoszeniowej, gdzie zamówili nową serię drobnych anonsów do „Ameryka-Echo”, zastąpił im drogę jakiś mahometanin w czerwonym fezie na głowie. Przyłożył dłoń do czoła, zgiął się w pokłon i zawołał:

— Salem alejkum!

Pan Ksawery stanął jak w ziemię wryty, po chwili

też przyłożył dłoń do czoła i ku zdziwieniu Błażeja powtórzył to samo pozdrowienie:

— Salem alejkum!

Arab mówił zabawną francuszczyzną:

— Content, très content, toujours content, że ciebie spotkał.

— Ja też się cieszę, Mohamedzie ben Jakobie — odpowiedział pan Ksawery. — Jak ci się powodzi?

— Toujours bien portant. A ty?

— Jak widzisz, nieźle się trzymam. W dalszym ciągu wyrabiasz nugaty?

— O tak — odrzekł Arab. — Nougat, li bon nougat, toujours content, toujours bien portant*.

Błażej, nic nie rozumiejąc, słuchał tego dialogu z najwyższym zdumieniem. Na razie zauważył, że człowiek w fezie przemawia w trzeciej zamiast w pierwszej osobie oraz że identyfikuje siebie samego z nugatem.

— Błażejku — rzekł pan Ksawery — pozwól, że ci przedstawię mego przyjaciela Mohameda ben Jakoba, fabrykanta nugatów. Znamy się z dawnych lat.

Uścisnęli sobie dłonie. Arab, posługując się osobliwą składnią, dał do zrozumienia, że chciałby im pokazać swój sklep z nugatami. Albowiem jest teraz osiadłym kupcem i już nie roznosi nugatów jak dawniej. Chciałby też przedstawić panu Ksaweremu swoich dwu synów, którzy mu pomagają w handlu. To niedaleko, zaraz za tym rogiem.

Skręcili w ruchliwą rue de l'Etuve i nagle znaleźli się przed niewielkim sklepem o jednym oknie wystawowym. W lokalu był kontuar, na którym stały piramidy nugatów w tekturowych pudełkach. W oknie też były nugaty, na półkach nugaty, wszędzie nugaty. Nad drzwiami wisiał błyszczący szyld z napisem:

TOUJOURS CONTENT TOUJOURS BIEN PORTANT

* Nugat, dobry nugat, stale zadowolony, stale zdrów. (Przyp. red.)

Podczas gdy Mohamed ben Jakob coś tam tłumaczył panu Ksaweremu, osłupiały Błażej wpatrywał się w napis i usiłował dociec, jaki jest jego związek z wystawionymi na sprzedaż nugatami. Kto tu ma być kontent i kto się dobrze czuje? Właściciel sklepu? Może klient? A może nugat? Była to zagadka trudna i jednocześnie porywająca. Błażej tak się nad nią zamyślił, że zupełnie bezwiednie wszedł do sklepu, popychany z lekka przez Araba.*

Tam witał się z jego synami i w dalszym ciągu nic nie rozumiał. Pan Ksawery stał przy ladzie sklepowej, okiem znawcy lustrował stopy nugatów.

Raptem Błażej poczuł, że Mohamed ben Jakob wtyka mu coś do ust. Żachnął się na to, ale niesłusznie, gdyż był to nugat.

— Jedz, jedz — mówił Arab — to nugat, dobry nugat, stale zadowolony, stale zdrow.

Błażej zgryzł pałeczkę. Smakołyk przypominał panięńską skórkę z orzechami.

Przed pożegnaniem gości Mohamed ben Jakob zawiązał w papier setkę nugatów i wręczył ją panu Ksaweremu, który dar ten przyjął bez oporu. Rozstali się z Arabem i wyszli. Na ulicy Błażej spytał:

— Patronie, co to ma być?

— O, Błażejku, to długa historia. Opowiem ci w domu. Musimy się śpieszyć, bo Dikke Mee czeka na nas z kolacją.

*

Rozbujawszy się w fotelu pan Ksawery mówił:

— Nie dziwi mnie, mój chłopcze, żeś osłupiał na widok szyldu nad sklepem Mohameda ben Jakoba. Pytasz,

* Arabski sklep z nugatami przy rue de l'Etuve przetrwał do drugiej wojny światowej. W ostatnich latach istnienia sprzedawano w nim nadto rachat-lukum, chaitwę i inne słodycze Lewantu. (Przyp. red.)

jaki jest sens w tym napisie nad sklepem z nugatami. Odpowiem ci bez zająknięcia, że nie wiem.

— To któż będzie wiedział, patronie?

— Chyba nikt. Bo jeżeli ja, który ten tekst wymyśliłem, nie mogę go uzasadnić, to zgodzisz się, Błażejku...

— Tak, tak, panie Ksawery, ale musi być jakiś związek, no bo jakże. Błagam pana, niech mnie pan oświeci, bo od tych zagadek mam chaos w głowie.

— Ach, Błażejku, dowiedz się więc, że kiedyś, przed dwudziestu kilku laty, byłem w Boitsfort na wyścigach konnych. Tam wpadł mi w oko wynędzniały chłopak arabski, który laził z kąta w kąt i monotonnym głosem zawodził: „Demandez li nougat, li bon nougat.”

— To był Mohamed ben Jakob?

— Tak, to był on. Handel szedł mu źle, nikt nie zwracał uwagi na jego żalodne nawoływania. No i wyobraź sobie, że ni z tego, ni z owego przyszedł mi do głowy bezsensowny pomysł. Bywa tak, że człowiek sam nie wie, skąd się to wzięło. Skinąłem na chłopaka, odprowadziłem go na bok, a ponieważ był smutny i wyglądał nietęgo, powiedziałam: „Toujours content, toujours bien portant”. Kazałem mu powtórzyć. Jeszcze raz i jeszcze raz. Tak, dobrze. Idź teraz między ludzi i wołaj: „Toujours content, toujours bien portant.”

— I poszedł, wołał?

— Tak, mój Błażejku, poszedł, wykrzykiwał te głupie słowa, które cię tak bardzo zaciekały. Szedłem za nim i widziałem, jak sprzedaje nugaty, widziałem, jak ludzie się oglądają. I w ten sposób handel jego ruszył z martwego punktu.

— No, wie pan...

— Nie, Błażejku, to jeszcze nie wszystko. Zamówiłem kauczukowy stempelek z napisem „Toujours content, toujours bien portant.” Kosztowało mnie to cztery franki pięćdziesiąt. Dokupiłem poduszeczkę z czerwonym tuszem. Na następnych wyścigach odnalazłem arabskiego chłopaka, odprowadziłem go w kąt i ostemplowałem mu kartoniki z nugatami. Masz, powiadam, schowaj ten

stempel. Odtąd handel toczył się gładko. Mój Arab stał się na torze wyścigowym osobistością malowniczą, opisa-no go nawet w gazetach.

— I wyrósł na właściciela sklepu.

— Jak widzisz.

— Ale że pana poznał po tylu latach.

— Ano, wola boska.

*

Płaskie pudełko po cygarach „Don Pablo” (Colorado maduro) grało w ich życiu rolę kasy oszczędności. Wyjmowane z listów banknoty jednodolarowe układali w pudełku, a przy tym nigdy nie przeliczali całości, gdyż pan Ksawery wierzył, że za sknerstwo może spaść kara. Błażej podzielał jego zdanie.

Rozmaicie bywało z tymi dolarami. Czasem napływały jak manna z nieba, czasem się coś zaczynało w korespondencji i warstwa zielonawych papierków z podobizną Jerzego Waszyngtona stawała się cienka, opadała na dno szkatułki. Biegł wówczas pan Ksawery do agencji reklamowej, by zamówić nową serię drobnych ogłoszeń.

I po kilku tygodniach znów zaczynały napływać listy od matek, ciotek i babek. Otrzymywali niekiedy podziękowania za trafne horoskopy, a raz się zdarzyło, że Polki zrzeszone w kółku przy parafii Św. Józefa w Chicago przysłały im zbiorowy list dziękczynny.

— Chyba go oprawimy w ramki i zawiesimy na ścianie — odezwał się Błażej.

Pan Ksawery poprosił o piętnaście minut czasu do namysłu. Zaczął się gwałtownie kołysać na biegunach, wypalił dwa czy trzy papierosy i wreszcie oznajmił:

— Oprawimy, ale nie zawiesimy, tylko schowamy. Oprawimy w mocną dębową ramkę. Za sto lat będzie z tego cenny eksponat muzealny. Nakleimy z drugiej strony kartkę z wyjaśnieniem, że dwaj Polacy, ty i ja, w ten sposób zarabkowali na życie.

— O, to jest dobra myśl! — zawołał Błażej.

Pudełko od cygar leżało na półce z książkami. Aby dolary zabezpieczyć przed kradzieżą, przyciskali szkatułkę wydaniem dzieł Moliera w jednym tomie, a na wierzch kładli ciężki odłamek meteorytu. Taka była ich kasa pancerna.

ROZDZIAŁ XVII

Pułkownik Bodineau w Brukseli. — Pokazuje przyjacielom arcybiskupi przywilej na wyrób likieru. — Burzliwa licytacja. — Zaproszenie na ucztę do Anderlecht. — Walentyna woli się ulotnić. — Tygodnik „A Quoi Bon?” — Pan Ksawery aż zasłabł z radośnego wzruszenia.

Tego dnia po śniadaniu Ksawery dostał pocztówkę, na której przeczytał: „Drogi Panie, jestem w Brukseli, mieszkam w Grand-Hotelu. Pozwolę sobie jutro (środa) zajść do pana o godzinie 5 ppł., by zwierzyć się z pomysłu, który mnie zaprzęta od dłuższego już czasu. Nie wątpię, że znajdę w Panu wdzięcznego słuchacza i życzliwego doradcę. Do zobaczenia, drogi Panie. Gaston Bodineau”.

— Błażejku! — zawołał pan Ksawery wychylając głowę przez drzwi.

Z sąsiedniego pokoju odpowiedział głos:

— Już idę, patronie.

— Błażejku, nadzwyczajna wiadomość. Dziś będzie u nas pułkownik.

— Ten z Franchimont?

— Ten sam. Musimy, mój chłopcze, przyjąć go dobrą kawą. I niechże się Dikke Mee nie zabiera do parzenia. To ja będę kawiarzem, a ty, Błażejku, przemebluj ten pokój. Przynies z dołu fotel dla pułkownika. Pożycz też jaki dywanik od ciotki Teresy i rozłóż pod fotelem. Choć, kto wie, może pułkownik lubi się huścić i wybierz mój fotel. W takim razie ja bym siadł na tym drugim. O tobie nie zapominam, Błażejku, ale ponieważ nie ma trzeciego fotela...

— Wiem, wiem, niech pan będzie o mnie spokojny, siadę na otomance.

— No to zostawiam cię z troską o meble, mój chłopcze, a sam się wybiorę na miasto po zakupy. Pójdę na bulwar Anspacha, poszukam prawdziwej kawy z Gwatemali, kupię holenderską maszynkę do parzenia, kilka ładnych filiżanek, kilka platerowanych łyżeczek, paczkę żołnierskich papierosów „Saint Michel”, bo innych pułkownik nie chce palić, kupię też, wracając przez Grand’Place, ciętych kwiatów. No i co jeszcze, co jeszcze? Pułkownik lubi różne żywe stworzenia, kanarki, papużki, złote rybki, ale tego przecie nie można...

— Tak, tego nie można na łapu capu — zgodził się Błażej.

*

Punktualność jest cnotą wojaka. Zegary w obserwatorium astronomicznym w Uccle były godzinę* piętą po południu i w tej samej chwili pułkownik Bodineau naciskał guzik dzwonka elektrycznego na Petite rue des Bouchers. Powitany serdecznie przez pana Ksawerego, zostawił na dole płaszcz nieprzemakalny, laskę, kapelusz, zabrał teczkę i poszedł na pierwsze piętro. Tam zawarł znajomość z Błażejem i wyraził radość, że tak sympatyczny młodzian będzie świadkiem rozmowy.

— Słyszałem o panu wiele dobrego — dodał.

Terakotowa kafetierka, którą Ksawery przyniósł, składała się z trzech części: spód był w kształcie imbryka, na nim stał cylindryczny pojemnik z dziurkami do prze-

* Na pewno nie były; zegary w obserwatoriach nie wydzwaniają godzin. Prócz tego nie mogą wskazywać tej samej godziny, gdyż nigdy nie są regulowane; każdy zegar posiada metryczkę z omówieniem odchylenia od czasu Greenwich. Wreszcie w nowoczesnych pracowniach astronomicznych zegary wahadłowe należą już do przeżytków. Wybaczymy autorowi ten lapsus calami; zdarza się to najwytrawniejszym piórom. (Przyp. red.)

sączania kawy, na cylindrze leżała pokrywka, którą można było podnieść i sprawdzić, co się tam wewnątrz dzieje. Wszystko koloru ceglanego, poważne, bez jakichkolwiek figlów, bez mechanizmów, rzetelny przybór do parzenia, wypróbowany od wielu pokoleń i ceniony przez znawców jako najlepszy*.

Pułkownik zasiadł w przyniesionym fotelu. Pan Ksawery mógłby się więc bujać na biegunach, ale nie czynił tego przez respekt wobec gościa. Błażej siedział na otomance, patrzył, słuchał i walczył z myślami.

Kim jest ten przybysz z Franchimont? Fenomenalnym łgarzem czy ofiarą halucynacji? No bo w Pompei za czasów Wespazjana przecie nie był. Błażej odrzucał takie założenie. Sprzeczał się czasem na ten temat z panem Ksawerem, który znów wierzył we wszystko, co było napisane w książce o przygodach Gastona Bodineau.

Pili już drugą maszynkę kawy, gawędzili. Pułkownik sięgnął do teczki, wyjął z niej inną teczkę, nieco mniejszą, skórzaną, bardzo zniszczoną, na której znać było resztki złoconych ozdób.

— Mam tu — rzekł — czcigodny dokument z szesnastego stulecia. Jest to przywilej nadany klasztorowi kartuzów w Villers na wyrób likieru. I, co najciekawsze, przywilej ten zawiera ścisły przepis. Warto by, tak mi się zdaje, odtworzyć ów likier sprzed kilku setek lat. Co pan o tym sądzi?

Pytanie było skierowane do pana Ksawerego, który uniósł się lekko w fotelu i zawołał:

— Na miły Bóg, to jest wspaniały pomysł!

— Nie będę panom opowiadał — mówił pułkownik — ile mnie trudu kosztowało zdobycie tego pergaminu. Jest faktem, że znalazł się w moich rękach. Dowiedźcie się więc, iż chciałbym go ofiarować memu przyjacielowi, który ma destylarnię likierów na jednym z przedmieść Brukseli. Jestem przekonany, że jego wielki talent i zna-

* Krótko mówiąc, najzwyklejsza maszynka do kawy; czy warto tyle o niej pisać? (Przyp. red.)

jomość rektyfikacji przyczynią się do wskrzeszenia szlachetnego napoju ojców kartuzów z Villers.

— Amen! — zawołał pan Ksawery wstrząśnięty opowiadaniem. — Amen, niech się tak stanie. Ach, Boże, co za ponętny pomysł.

Ostrożnie, patrząc na własne palce, pułkownik wyjął ze staroświeckiej okładziny złożony w czwórkę pergamin, przy którym wisiała wyciśnięta w ołowiu arcybiskupia pieczęć.

— Proszę panów — spytał — czy mógłbym przysunąć ten stolik bliżej okna? Chciałbym panom pokazać ciekawe drobiazgi. O tak, dziękuję, teraz będziemy mieli dobre światło. Zwróćcie uwagę, że skóra, a jest to skóra jagnięcia, była już regenerowana, czyli skrobana i gładzona. W tym miejscu na przykład widać wyraźnie stare znaki, możemy rozemnać litery karolińskie, które usunięto i na ich miejsce wpisano renesansową minuskułą tekst przywileju. O, tu początek, a tu mamy przepis na likier. Proszę zauważyć, że obok łacińskich nazw ziół, w tym wypadku całkowicie zawodnych, umieszczono ludowe nazwy flamandzkie, które udało mi się zidentyfikować dzięki uprzejmej pomocy profesora de Vriendta*. Jutro zamierzam go odwiedzić.

Pułkownik łyknął kawy i zaczął wyjaśniać, w jaki sposób ustalał składniki likieru. Nie była to rzecz łatwa, gdyż w owych czasach każde ziele miało po kilka nazw, w terminologii botanicznej panował zamęt, a o systematyce nikt jeszcze nie pomyślał.

— O, proszę, weźmy na przykład ten składnik. Autorzy manuskryptu nazwali go gencjaną, ale istnieje wiele odmian gencjany: amarella, punctata, cruciata, purpurea, pneumomantha, lutea...

Błażej słuchał, podziwiał i dochodził do wniosku, że nawet jeżeli pułkownik jest szarlatanem, to jego szarla-

* Mowa tu niewątpliwie o prof. Michale de Vriendt, autorze pracy „Médicaments végétaux des temps passés”, Bruksela 1922. (Przyp. red.)

taneria ma swoisty wdzięk i urzekającą fantazję. No tak, rzecz jasna, cały ten arcybiskupi przywilej na wyrób likieru trzeba będzie zaliczyć do rzędu falsyfikatów, ale ileż pracy, ile zapалу musiał pułkownik włożyć w sporządzenie takiego dokumentu. I jak to wszystko nazwać? Chyba miłością do fikcji.

— Zważcie, drodzy panowie — mówił pułkownik Bodineau — że przywilej był wydany w roku tysiąc pięćset sześćdziesiątym szóstym, czyli w sześć lat po założeniu arcybiskupstwa w Malines. Stało się to na podstawie bulli Pawła Szóstego, który usiłował poskromić zapalę ekspansywne biskupów leodyjskich. Pierwszym arcybiskupem Malines był Antoni Perrenot de Granvelle, tytularny prymas Belgii. Jego podpis figuruje na tym dokumencie, o tu, proszę spojrzeć. Jaka wykwintna sygnatura i co za rozmach.

— Czy to było kreślone gęsim piórem? — spytał Ksawery.

— Nie, panie — odpowiedział pułkownik — ten podpis był wykonany trzcinką calamus.

Pochylili się nad dokumentem, twarze mieli skupione. Rozmawiali cicho, wynajdując wśród wierszy łacińskiego tekstu różne osobliwości i ciekawostki. A Błażej zerknął tylko przelotnie na podpis arcybiskupa i wrócił na otomanę, by porozmyślać nad tym, co widział i co słyszał.

Wkrótce pan Ksawery zeszedł na dół po trzecią maszynkę kawy. Pułkownik złożył pergamin, schował do teczki i rzekł do Błażeja:

— Jestem szczęśliwy, że znalazłem w Brukseli przyjaciół o zainteresowaniach podobnych do moich. Mam tu wiernego kompana Kubę Schroettera, fabrykanta likierów, dla którego właśnie zdobyłem ten dokument. Ale Kuba, niestety, nie ma głębszych upodobań humanistycznych, z temperamentu jest raczej inżynierem. Mogę więc pana zapewnić, młody człowieku, że taka rozmowa, jak ta, która się tu odbyła, jest dla mnie prawdziwą ucztą duchową.

Ksawery przyniósł kawę, zajął się rozlewaniem. Pułkownik oznajmił, że teraz przejdzie do sedna zagadnienia. Na wstępie powtórzył to, co przed chwilą wyznał był Błażewi. Dalej wyraził pewność, że nie spotka go zawód. Następnie rzekł, iż zdobytemu przez siebie dokumentowi zamierza nadać duży rozgłos. Wczoraj wieczorem był w „Café Réal”, gdzie rozmawiał z dziennikarzami i zapewnił sobie ich przychylność. Chodzi o to, by zamieścili w gazetach wzmianki.

— Albowiem, proszę panów — tu pułkownik podniósł się z fotela i stanął w całej okazałości — chciałbym ten klasztorny przywilej sprzedać przez licytację.

— O! — zawołał Ksawery, a w jego głosie dzwięczało rozczarowanie.

Pułkownik uśmiechnął się i mówił:

— Tak, tak, drogi panie, zamierzam w ten sposób sprzedać, by jego nabywcą stał się Kuba Schroetter. Rozumie pan?

— Och, rozumiem, rozumiem, to genialne.

— W tym celu dogadałem się z zarządzającym galerią Leblond, gdzie co sobota odbywa się przetarg na dzieła sztuki i antyki. Zaniosę mu ten dokument i niech sprzedaje. Nabywcą musi być Kuba Schroetter.

— Genialne — powtórzył pan Ksawery.

— I tu chciałbym panów prosić — mówił pułkownik — byście raczyli mi pomóc. Chodzi o to, aby podbić cenę do nieprzewidzianych rozmiarów. Im drożej sprzedamy ten dokument, tym większy będzie hałas w gazetach, tym lepsza reklama dla Kubę Schroettera, który się zajmie wyrobem likieru ojców kartuzów z Villers. Zrozumieli panowie? Rzecz najważniejsza — to podbijanie ceny. Ja odpadam jako sprzedawca obiektu, samotny Kuba ceny nie podbije. Musi więc być kilka postronnych osób, które by rywalizowały rzucając garściami pieniądze. Im drożej, tym lepiej. Krępować się nie potrzeba, gdyż pieniądze wyłoży mój przyjaciel Kuba i zaraz potem je zgarnie. Jedyny koszt, który go czeka, to wypłata ustalonego przez zwyczaj procentu od sprzedaży.

— Ach, pułkowniku — rzekł Ksawery — jestem do pańskich usług.

— Ja też — dodał Błażej. — A gdyby zaszła potrzeba, to mogę sprowadzić młodą, rezolutną dziewczynę.

— Wiedziałem, wiedziałem, że nie zawiodę się na was, tak, byłem tego pewny, byłem pewny... — powtarzał wzruszony pułkownik.

Zastukano, do pokoju wtoczyła się Dikke Mee przynosząc wieczorową pocztę. W rozmowie nastąpił przełom, nastąpiło pogodne odprężenie. Pan Ksawery rozerwał jedną kopertę i wyjął z niej dolara.

— Niech pan spojrzy, drogi pułkowniku, tak działa uruchomiona z pańską pomocą centrala horoskopów.

*

Po licytacji gazety narobiły sporo hałasu. Bo też trzeba przyznać, że cena pergaminu zwyżkowała w zdumiewającym tempie. Prawdziwi miłośnicy starzyzny szybko odpadli i zamilkli. Fikcyjna batalia rozegrała się między panem Ksawerym, Błażejem, Walentyną i fabrykantem likierów Kubą Schroetterem, który nabył eksponat za 36 tysięcy belgijskich franków.

Schowawszy go do teczki, zaprosił towarzystwo oraz kilku dziennikarzy do Anderlecht na ucztę w lokalu fabrycznym.

— Wiesz, Błażejku — rzekła Walentyna — ja z wami nie pojadę, tam będzie straszne pijaństwo.

— Myślę, że będzie, przecie to destylarnia likierów.

Kuba Schroetter zamówił kilka taksówek. Korzystając z zamieszania Walentyna wymknęła się tak zręcznie, że tylko Błażej wiedział, co się z nią stało.

Zakłady przemysłowe pod firmą „Schroetter & Co”, w których miał się odrodzić likier kartuzów, były niewielkie. Aż się Błażej zdziwił. Sala z miedzianym alembikiem, druga z jakimiś kociołkami, podręczne laboratorium, magazyn olejków aromatycznych; największą powierzchnię zajmowała rozlewnia, nadzwyczajnie czysta,

z przyborami do etykietowania butelek. Tam właśnie przygotowano ucztę.

Było to obżarstwo i pijaństwo pełne, całkowite, integralne, nieograniczone, bezkresne. Nikt nikomu nie dolewał, nikt nikogo nie zapraszał. Każdy brał, co chciał. Mógł pić wytrawną jałowcówkę, mógł pić słodkie likiery. Ba, Kuba Schroetter przyniósł z laboratorium opleciony wikliną gąsior i oświadczył, że jest to prawdziwy likier Opactwa Św. Brunona. Musiano mu wierzyć na słowo.

Po upływie godziny Błażej był z Kubą na ty.

— Nigdy ci nie daruję — mówił — żeś mnie nazwał przez telefon matolem.

— Myślałem, że to Władzio przyjechał i wyprawia figle przez telefon.

— A co robi Władzio?

— W Warszawie, coś tam pisze.

Po upływie drugiej godziny jeden z redaktorów pokazywał, jak się chodzi na rękach głową w dół. Po upływie trzeciej godziny goście zaczęli się dopominać, żeby Kuba zaśpiewał coś na guindaille*.

— Masz co w repertuarze? — spytał Błażej.

— Mam jedną pieśń, którą sam ułożyłem.

— O, to warto posłuchać.

Witany oklaskami, podtrzymywany przez życzliwe ramiona Kuba Schroetter wszedł na krzesło i zaśpiewał.

*J'ai des bains de souffre
Pour les amoureux qui s'y engouffrent,
D'où nombre des mariages croissant,
Et on voit souvent
Un couple ravissant
Qui arrive au bain en courant**.*

* Guindaille, potoczna nazwa zbiorowego pijaństwa; zgodnie z obyczajem fundator powinien zaśpiewać coś wesołego. (Przyp. red.)

** Niemal dosłowny przekład polskiej piosenki, śpiewanej przez pijanego Kubusia w rozdziale II „Naszej Pani Radosnej”. (Przyp. red.)

Kiedy Kuba zgramolił się z krzesła, Błażej zawołał:

— Ha, poeta! Jakże ci mam dziękować za tę pieśń nad pieśniami. Chyba cię opiszę w „A Quoi Bon?”.

— Dobrze, opisz, byleś mnie nie zaliczył do „poires crués” — odpowiedział fabrykant likierów.

Opary alkoholowe gęstniały, goście mówili jednocześnie, jeden drugiego prawie już nie słuchał. Błażej spytał Kubusia:

— Jak to było naprawdę z tym psem?

— Jakim psem?

— Pompejańskim, z pędzelkami na uszach.

— Nic mnie psy nie obchodzą.

— Ej, Kuba, coś kręcisz. Tak, mój ty śpiewaku, jesteś krętacz.

— Krętacz? Toś się gładko ze mną skwitował za tamtego matoła. Po co mówić o psach...

— Skoro na świecie jest tyle wódek i likierów — do-
kończył zdanie Błażej.

*

Pan Ksawery uważnie czytał czterostronicowy tygodni-
czek „A Quoi Bon?” wydawany przez grupę studentów
brukselskiego uniwersytetu. Trudno było zgadnąć, jaki
jest kierunek tego pisma. Panował w nim zamęt, dezyn-
woltura i wyraźna kpina z uświęconych obyczajami pojęć.

Ostatnią stronę zajmowały ogłoszenia tawern z okolicy
Porte de Namur, napojów wysokowych oraz artykułów
higienicznych dla panów. Nieco ładu wносиły rubryki
powtarzające się w każdym numerze, a był to już szósty
z kolei numer nowego czasopisma. Jedna z rubryk
szczególnie zainteresowała pana Ksawerego. Jej stały ty-
tuł brzmiał: „Poires crués” i reprezentował całkowicie
zmyślone, przy tym zuchwałe charakterystyki różnych
szanowanych obywateli: profesorów, ministrów, genera-
łów, ojców miasta itp. Poważny, niemal suchy styl tych
opowiadstek łączył się z bezsenssem i zawadiackim żartem.

„Tej fatalnej nocy — czytał Ksawery — wypadki w do-

mu wiceburmistrza potoczyły się gładko. O godzinie 4
min. 20 nad ranem p. Emil Van Glabbeke wstał i zaczął
chodzić tyłem dookoła stołu. Zachęcany okrzykami przez
żonę, chodził tak dobry kwadrans.

Widząc, że to mężowi żadnej nie przynosi ulgi, pani
Emilowa obudziła subretkę Babette, ta zaś zalała się
izami.

— Biada nam, biada! — krzyknęła.

Wobec tego pani Van Glabbeke płacząc zbiegła do sy-
pialni. Zastała tam męża, który płakał. O godzinie
7 min. 30 domownicy zjedli śniadanie płacząc. Zaraz po-
tem p. wiceburmistrz Van Glabbeke pojechał na ratusz,
gdzie się rozplakał w obecności burmistrza. Jego Eksce-
lencja pan burmistrz też płakał. Obaj płakali. Do sprawy
tej jeszcze powrócimy.”

Wszedł Błażej, usiadł po drugiej stronie okna. Pan
Ksawery uśmiechnął się na jego widok i spytał:

— Kto u was pisuje te zwariowane „Poires crués?”

— Ja.

— No, wiesz, muszę ci pogratulować. Ciekawy pomysł.
Ale z jakiej racji tak ostro nacieracie na wiceburmistrza?

— Ach, patronie, bo po pierwsze jest burżuj, po drugie
nosi sakpalto z aksamitnym kołnierzem, po trzecie na-
leży do partii kalotenów* i po czwarte nie pozwala sub-
retce Babette jeździć z Adolfem na week-end do Blan-
kebergi.

— Kto to jest Adolf?

— Naczelnny redaktor „A Quoi Bon?”.

— A gdzie jest wasza redakcja?

— W „Café Réal”, między bufetem a bilardem.

— I tam też jest wasz numer telefonu?

— Tak, proszę pana.

— Błażejku, skądżeście wzięli pieniądze na założenie
pisma?

* Calotins, od słowa calotte, piuska, mycka, przezwisko
nadawane w Belgii członkom rządzącej partii klerykalnej.
(Przyp. red.)

— Pierwszy i drugi numer wydaliśmy z własnych składek. Pan pamięta, wziąłem z pudełka od cygar trzydzieści dolarów. Potem przyszedł do nas agent ogłoszeniowy i zaproponował, że będzie pokrywał koszty drukarni, o ile mu oddamy do eksploatacji ostatnią stronę. Zawarliśmy z nim traktat wzajemnej pomocy. My wypełniamy trzy strony, a on czwartą. Wpływy ze sprzedaży pisma są dla nas, wpływy z ogłoszeń są jego. Właśnie dziś rano zainkasowałem po raz pierwszy honorarium za moje „Poires crues”.

— Chłopcze, a ilu was jest?

— Było sześciu, słabsi poodpadali, zostało nas trzech. Podpisujemy się, jak pan widział, Les Trois Moustiquaires*, co budzi trwogę wśród burżujów.

Pan Ksawery poczuł, że mu się robi słabo z radosnego wzruszenia.

— Ach, Błażejku, wyrośniesz na wspianąego dziennikarza... Błażejku... Błażejku...

— Co, patronie?

— Tam w apteczce stoi flakonik z digitem. Odlicz dwadzieścia kropli.

* Trudna do przetłumaczenia gra słów. Les Trois Moustiquaires — Trzej Muszkieterowie, Les Trois Moustiquaires, od słowa moustique, komar, coś jakby Trzej Żądłkarze. (Przyp. red.)

ROZDZIAŁ XVIII

Życie w tym dobrym mieście. — Zamówienie na nowy sennik. — Wstrząsający papierek z sądu. — Walentyna i Błażej szukają adwokata. — „Rozpaczam, proszę mi nie przerywać”. — Pułkownik Bodineau kupuje fermę ojca Pirotte. — Posępny grudzień.

I tak, proszę państwa, życie naszych przyjaciół potoczyło się spokojnym torem; rzecz zwykła w tym dobrym mieście.

Pan Ksawery dostał list od swego wydawcy z Warszawy, a w liście zamówienie na nowe dzieło pod tytułem „Sny na jutro”. Księgarz tłumaczył, że ludziom już nie wystarcza wróżenie ze snów bieżących, że chcieliby, aby ktoś pokierował ich snami. Ksawery dość długo przemyślał nad formą, a gdy ją wreszcie ustalił, zaczął gromadzić materiał. Robił notatki, na razie chaotyczne, ale utrzymane w jednolitym tonie. Techniki pisarskiej nie zmienił. Posługiwał się, jak i poprzednio, dwoma ilustrowanymi słownikami, które otwierał na chybił trafił. Nie zmienił też swego języka. Jego ideałem były odpustowe broszury w rodzaju „Uwag o śmierci niechybnej” księdza Józefa Baki*.

Zaciemniwszy okno zasłoną, siedząc przy żarówce, pan Ksawery przeglądał obrazki w słownikach i starannie notował skojarzenia:

* Autor zbyt śmiało przypisuje ten utwór księdzu Bace. Dotychczas nie wiadomo, kto to napisał. Najstarsze wydania zaginęły, a nowsze były anonimowe. Według Estreicherki sprzedawane na odpustach „Uwagi o śmierci niechybnej wszystkim pospolitej” są apokryfem; napisał je w przystępie dobrego humoru pułkownik W.P. Rajmund Korsak (1767—1817), poeta z bożej łaski. (Przyp. red.)

„W noc na Środopustną Niedzielę. Śprośnego nosoroga w lesie widzieć. — Cyganów się strzeż, którzy cię na gorzałkę do karczmy zaproszą; nie pij, konia pilnuj.

W noc na św. Piotra i Pawła. Wojaków J. K. Mości w szczyrym polu spotkać. — Lada dzień we wsi bijatykę obaczysz; umykaj, pókiś cały.

W noc na św. Katarzynę. Chameleona po majdanie batem popędzać. — Obrażników znad Gopła powitasz, od których obraz kupisz; byle był ręką malowany.

W noc przed Popielcową Środę. Gajowego z fuzyją jak po krzaczach się czai widzieć. — Nie bałamuć cudzej podwinki; ma ktosik chętkę gnaty ci połamać.

W noc na św. Młodzieniaszków. Z sitowia nici na kołowrotku kręcić. — Bez ochyby strata cię spotka; w trzy karty na jarmarku talara srybrem przegrasz.

W noc na św. Zofiję. Cysarza Franciszka jak się w Dunaju kąpie widzieć. — Sianokosy latoś będą bogate; byleś się z kośbą nie ociągał, durniu jeden”.

Tak pisał pan Ksawery. Kiedy szedł spać, jawiały mu się w myślach sylwetki włościan spod Łowicza, spod Sieradza, spod Iłży, spod Sandomierza, z Kujaw, z Wielkopolski, z prastarej Ziemi Łęczyckiej, jak się pochylają nad „Snami na jutro”, jak sobie tłumaczą ich sens, jak się doszukują ukrytych znaczeń. Jego dzieło, nad którym tak serdecznie się trudził, docierało pod strzechy.

Amerykańską pocztę pan Ksawery załatwiał w kilka minut. Ugniatął dolary w pudełku od cygar, dobierał według dat pocztówki z horoskopami, naklejał znaczki i korespondencja była gotowa do wysłania.

O godzinie szóstej wieczór szedł pan Ksawery do piwiarni „Au Cygne”. Spotykał tam prezesa Królewskiego Towarzystwa Przyjaciół Faro. Pijał oczywiście faro, tylko faro, a o innych piwach wyrażał się z lekceważeniem.

Błażej też sobie unormował życie. Na wykłady chodził lub nie chodził, co zależało od tego, czy profesor nudzi lub nie nudzi. Nowy gmach uniwersytetu był dość daleko od śródmieścia, przy avenue Franklin-Roosevelt, na prześwitach lasu de la Cambre. Aby się tam dostać, Błażej

wsiadał w tramwaj nr 24 przed Giełdą, a potem szedł kawałek pieszo od ostatniego przystanku. W jasnych salach wykładowych i na szerokich korytarzach czuł się dobrze, ale mówili mu woźni, że stary uniwersytet, choć ciasny i ciemnowy, miał większy urok. I wspominali go z westchnieniem.

Błażej spotykał Walentynę w godzinach popołudniowych. Najczęściej na rue de la Régence, kiedy wychodziła z konserwatorium. Czasem ona przyjeżdżała do Bois de la Cambre, jeżeli dzień był pogodny, i czekała na niego w mleczarni nad jeziorem albo stała na mostku rzucając chleb łabędziom.

Późnym wieczorem, koło godziny dziesiątej, Błażej wpadł sam lub z Walentyną do dziennikarskiej kawiarni „Réal” na place Brouckère, gdzie przy jednym ze stolików urzędował zespół tygodnika „A Quoi Bon?”. Bawiąc się znakomicie, trzech redaktorzy przygotowywali następny numer. Stać ich już było na to, że mieli rutynowanego korektora, który był zarazem erudytą, znał się na technice drukarskiej i umiał powściągać młodzieńcze zapęły pisarskie grożące kryminałem.

Walentyna mieszkała naprzeciw kościoła N. D. du Sablon w wymarzonym miejscu, tuż przy konserwatorium, a Błażej miał stamtąd paręset kroków do starej Biblioteki Królewskiej, po której kołatał się jeszcze duch Lelewela.

I tak, proszę państwa, życie naszych przyjaciół toczyło się spokojnym torem; rzecz zwykła w tym dobrym mieście.

*

Sprawcą kłopotów stał się nagle pocztylion. Przyniósł z sądu jakiś papierek. Pana Ksawerego i Błażeja nie zastał w domu, pozostawił więc korespondencję u Dikke Mee i poszedł. Papierek leżał kilka godzin na kominku w jadalni.

Kiedy panowie wrócili przed wieczorem z miasta i zaczęli przeglądać pocztę, znaleźli owo wezwanie sądowe zaadresowane do obywatela o nazwisku Kisaewry Srlkuoski.

— To do mnie — rzekł pan Ksawery.

— Tak, poznaję, to do pana — zgodził się Błażej.

U góry była winieta z podobizną grubej niewiasty z związanymi oczami. Trzymała w prawej dłoni wagę szalkową. Spodem widniał napis: „Pro Justitia”. Sąd zawiadamiał, że odbiorca papierka jest oskarżony z jakiegoś tam paragrafu łamanego przez coś i jeszcze raz przez coś.

Pan Ksawery ujął papierek w dwa palce i oglądał pod lampą. Jego twarz wyrażała odrazę, wzdanie. Błażej do papierka też się nastroił nieprzychylnie. Spytał patrona, czy czasem nie wie, co może znaczyć ten paragraf łamany przez jakąś abrakadabrę.

— Mój drogi chłopcze — odrzekł pan Ksawery — oni zawsze tak piszą, wszędzie, na całym świecie, żeby odbiorca nie mógł się połapać.

— Czyli zmuszają ludzi do szukania pomocy adwokatów.

— Tak, bo przecie sąd i palestra ze wspólnego są gniazda.

— No, to się panu nie uda uniknąć rozmowy z adwokatem. Musi pan sprawdzić, co znaczy ten paragraf.

— Właśnie mi przyszło na myśl, Błażejku, że to ty porozmawiasz z adwokatem. Liczę na twój wdzięk, na twoje krawaty, na twoje zdrowe nerwy. Ja bym się zaplątał, znasz mnie.

— Dobrze, panie Ksawery, poszukam adwokata.

— A czy nie domyślasz się czasem, o co tu chodzi.

— Owszem, owszem, coś mi zaczyna majaczyć, że tu chodzi o tego szczupaka, co to go pan złapał wczesnym rankiem na błystkę. Pamięta pan?

— Ależ, Błażejku, on sam się złapał.

— Wiem, patronie, pan tylko trzymał w ręku koniec linki. Szczupak sam się złapał, pan jest niewinny, a mimo to żandarm zanotował pańskie nazwisko wraz z błędami, które były na legitymacji konwojenta. Myślę, że bez adwokata nie da pan sobie rady.

— Och, Błażejku, znajdź mi przynajmniej zręcznego obrońcę. Tu trzeba kręcić, kołować.

— Niech mi pan zaufa, zrobię, co będę mógł.

— Dziękuję ci, mój chłopcze. Widzisz, kiedy mi spada na łeb taki papierek z „Pro Justitia”, czuję się zupełnie bezbronny, bezradny. Wiem tylko tyle, że mnie może spotkać wielka niesprawiedliwość.

*

Walentyna wyszła z konserwatorium, rozejrzała się w koło, a spostrzegłszy Błażeja, uśmiechnęła się na powitanie.

W kilku słowach opowiedział jej o wezwaniu sądowym i o konieczności znalezienia adwokata-krętacza.

— Czy musi być krętacz? — spytała.

— Tak sobie życzy patron.

— Wiesz, Błażejku, ten pomysł nie bardzo mi się podoba. Usiądźmy, trzeba się zastanowić.

Siedli na ławce opodal pomnika Egmonta i Hoorna. Błażej streścił rozmowę z panem Ksawerym, pokazał papierek i wyraził gotowość jechania choćby do Poperinge, gdzie sądzą przemytników i gdzie adwokaci słyną z krasomówstwa.

— Nie, Błażejku, to nie jest dobry pomysł — z mocą orzekła Walentyna. — Taki obrońca przemytników wywarłby w tutejszym sądzie jak najgorsze wrażenie. Nam potrzeba poważnego obrońcy.

Naradzali się jeszcze chwilę, potem zajęli stolik w pobliskiej ciastkarni, skąd Walentyna telefonowała do kilku znajomych osób. Wróciła do stolika z adresem znanego avoué*.

— Jeżeli masz ochotę — rzekła — to możemy już iść. Avoué przyjmuje od szóstej.

*

* W Belgii, podobnie jak w Anglii, sprawę oddaje się w ręce prawnika zwanego avoué, który o wszystko się troszczy, zbiera materiały, ustala linię postępowania i wyznacza obrońcę do wystąpienia w sądzie. (Przyp. red.)

Prawnik, do którego poszli, był miłym i kulturalnym panem. Nosił okulary o bardzo grubych szklach. Po wysłuchaniu relacji oznajmił, że sprawa jest beznadziejna, że proces muszą przegrać. No cóż, zwyczajne klusownictwo na wodach publicznych. Dowód rzeczowy skonfiskowany, zeznania złożone. Pozostają tylko okoliczności łagodzące i prośba, aby sąd je uwzględnił.

Zdjął okulary, wziął do ręki kartkę i czytał wodząc po niej nosem.

— Jak się wymawia to nazwisko? — spytał.

Błażej wyjaśnił, że nazwisko jest tak zniekształcone, iż trudno je odczytać. Szczegół ten zainteresował prawnika. Założył okulary, spojrzął na Walentynę i Błażeja.

— Wobec tego — oznajmił — możecie państwo zwrócić to wezwanie przez listonosza, możecie zwrócić z dopiskiem, że adresat nie mieszka w waszym domu. To powinno odwlec sprawę na kilka tygodni, kto wie, może nawet na kilka miesięcy. Jeżeli przyjdzie drugie wezwanie z nazwiskiem poprawnie napisanym, ha, to pomyślimy o obronie.

Kiedy się znaleźli na ulicy, Walentyna spytała:

— Jak ci się podobał?

— Całkiem sensowny jęgomość.

— Dlaczego ty i pan Ksawery nie lubicie prawników?

— To jasne, Walentyno. Mój ojciec jest prawnikiem i ze mnie też chciał zrobić prawnika. Wystarczyło. A pan Ksawery, no, znasz go przecie.

*

Posępny grudzień omotał Brukselę mgłami, wilgocią i deszczem pomieszany ze śniegiem. Kto nie musiał wyjść, ten siedział w domu. Ludzie kasłali, kichali, drżeli z zimna. W gazetach pełno było ogłoszeń o niezawodnych lekarstwach na katar, na chrypkę, na przeziębienie. Wybijał się wśród tych anonsów „Pierrot Zionący Ogniem” („Pierrot Crachant le Feu”), najsłynniejszy ze wszystkich specyfików.

Ponieważ pan Ksawery był przeziębiony, ponieważ trzął

się i narzekał na dreszcze, Błażej doszedł do wniosku, że trzeba mu będzie zaaplikować Pierrota. Myślał o tym od wczoraj, a dziś, po zjedzeniu śniadania, postanowił wybrać się na miasto i zajść do apteki.

Wypada dodać, że wstał o zwykłej porze, a nie słysząc żadnego szmeru w pokoju patrona, ostrożnie zastukał do jego drzwi. Odpowiedział mu głos:

— Błażejku, ja sobie jeszcze poleżę. Powiedz babom, żeby mi przyniosły kawę do pokoju.

Zeszedł więc Błażej na parter, wydał zlecenie, włożył nieprzemakalny płaszcz i powędrował do apteki. „Zionący Ogniem Pierrot” był sprzedawany w tekturowym opakowaniu. Na etykiecie widniał pajac w lansadach, któremu z ust tryska płomień. Wewnątrz pudełka mieściło się coś, co po rozłożeniu przypominało ciepły serdaczek, było zrobione z czerwonej waty, pachniało pieprzem* i dawało się wdziwać na klatkę piersiową.

Błażej, słuchając wyjaśnień magistra farmacji, doszedł do przekonania, że trzeba kupić. Zapłacił, opuścił aptekę i zadowolony z własnej przedsiębiorczości wracał do domu. Na drzwiach pana Ksawerego zastał kartkę: „Rozpaczam, proszę mi nie przerywać”.

*

„Droga Walentyno — pisał Błażej — dzieje się coś niedobrego z patronem. Po przeczytaniu wczorajszej wzmianki o źródle we Franchimont, zupełnie się załamał. Nie zeszedł na śniadanie, zamknął się w pokoju i desperuje. Dawniej w takich wypadkach zawsze mnie uprzedzał, tym razem zostałem zaskoczony i nawet nie doręczyłem mu «Zionącego Ogniem Pierrota».

Moja mała Walentyno, nie czekaj dziś na mnie przed konserwatorium, nie mogę odejść. Gdybyś miała czas, gdybyś się nie ulekkła deszczu, to wpadnij na Petite rue des

* Nie pieprzem, tylko wyciągiem z Capsicum annum L. (Przyp. red.)

Bouchers. Twój pogodny uśmiech dobrze mi zrobi. Ściskam Cię, Błażej”.

Po napisaniu tych słów, po zaklejeniu koperty, Błażej wstąpił do sklepiku ciotki Teresy i kupił znaczek pocztowy. Obok adresu wykaligrafował dużymi literami EXPRESS, otulił się mackintoshem i wyszedł. Na placu Giełdy wrzucił list do skrzynki tramwajowej*.

Walentyna przysła zziębnięta i przemoczona. Zdjęła buciki, włożyła Błażejkowe pantofle, przepłukała w łazience pończochy i rozwiesiła je na poręczy krzesła przy żelaznym piecyku. Przez ten czas przyniósł Błażej z dołu kawę i kilka pistoletów**. Zasiadli do podwieczorku.

— Jak minęła noc — spytała Walentyna — czy patron spał?

— Nie wiem, nie chciał ze mną rozmawiać.

— Mógłbyś mi pokazać tamtą wzmiankę w gazecie?

— Gazeta jest w pokoju patrona. No cóż, napisali, że po burzliwych targach u notariusza Prosper Pirotte odrzucił wszystkie oferty w walucie papierowej i sprzedał fermę pułkownikowi Bodineau za siedemdziesiąt dwa i pół tysiąca franków w srebrze, w pięciofrankówkach z Leopoldem.

Po chwili Błażej dodał:

— W głowę zachodzę, skąd pułkownik wziął tyle tych monet, bo przecież srebro jest pochowane.

Walentyna zapatrzyła się w ogień żelaznego piecyka. Drzwiczki były otwarte, z płonącego węgla od czasu do czasu wyskakiwały iskry.

— Wiesz co, Błażejku, dzisiejsza rozpacz patrona jest

* Doręczanie pilnej korespondencji odbywało się w następujący sposób: na krańcowych pętlach tramwajowych dyżurowali młodzi rowerzyści, praktykanci pocztowi. Wyjąwszy ze skrzynek listy stemplowali je: „Trouvé à la boîte — In de bos gevonden” i zawozili do adresatów. Obecnie działa w Brukseli poczta pneumatyczna. (Przyp. red.)

** Pistoletem nazywają w Brukseli rozkrajaną bułkę pszenną z plastrzem wędliny lub sera. (Przyp. red.)

inna, coś zupełnie nowego. Dotąd, jeżeli rozpaczał, to dla zwalczenia złego fatum, jak mówił. A teraz...

— A teraz co?

— Teraz jest gorzej.

— Wyrzuty sumienia?

— Myślę, że tak. Wyrzuty sumienia, zawód, może i wstyd.

Zamilkli. Walentyna przysunęła łydki do uchylonych drzwiczek piecyka.

— Błażejku, jak się do was idzie po schodach, to czuć jakieś lekarstwo.

— Waleriana, takie kropelki. Patron stale coś zażywa na serce, na sen, na nerwy.

Siedzieli, patrzyli w ogień. Ciszę przerwały trzy uderzenia w ścianę. Błażej wstał.

— Patron mnie wzywa. Pewnie się tam zasiedzę. Zostaniesz na noc?

— Zostanę.

Po wyjściu Błażeja Walentyna otworzyła teczkę, wyjęła nuty i rozłożyła na stole. Zaczęła je czytać solfeżując półgłosem. Od czasu do czasu robiła ołówkiem znaki na marginesach.

ROZDZIAŁ XIX

W obłokach dymu. — „Zionący Ogniem Pierrot”. — Pana Ksawerego dręczą wyrzuty sumienia. — Ostre kontrargumenty, z którymi wystąpił Błażej. — Opo-
wieść o szambelanie papieskim. — Radio bez bate-
rii. — Likier Św. Brunona. — Wędrówki po anty-
kwarniach.

Z pokoju pana Ksawerego buchnął dym. Zaskoczony Błażej cofnął się w pierwszej chwili. Nie wiedział, co się dzieje. Był to jednak dym tytoniowy.

— Dobry wieczór, patronie. Proszę się otulić kołdrą, otwieram okno.

Kiedy tuman w pokoju przerzedził się nieco, dojrzał Błażej na nocnym stoliku stertę niedopałków. Nie mieściły się w popielniczce, zakrywały ją, niektóre spadły na podłogę. Również na podłodze leżał termometr, na szczęście nie stłuczony, leżała próżna buteleczka po kroplach waleriano-
wych, prócz tego gazeta z fatalną wzmianką o źródle ojca Pirotte.

— Jak pan się czuje, patronie?

— Lepiej.

— Ma pan gorączkę?

— O czwartej miałem trzydzieści osiem z kreskami.

Błażej zbiegł na parter, wrócił ze szczotką do zamiata-
nia, zrobił w pokoju jaki taki porządek, ubranie pana Ksa-
werego schował do szafy i zamknął okno.

— Wiesz co, chłopcze, kawy bym się napił, dobrej kawy. I zjadłbym kilka keksów, tych z dołu, w woskowanym pa-
pierze, ze sklepiku ciotki Teresy.

— Zaraz się o to postaram, patronie, zaraz się postaram. A potem ubiorę pana w rozgrzewającą kamizelkę. To się

nazywa „Pierrot Crachant le Feu”. Podobno coś znakomi-
tego. Na wszelkie przeziębienia. Mówił mi o tym aptekarz.

— Och, dziękuję ci, Błażejku, dziękuję. Dla mnie ku-
piłeś?

— Tak, dla pana. Zaraz wrócę.

Błażej przeszedł do swego pokoju.

— Bądź taka dobra — rzekł do Walentyny — zrób na
dole kawy dla patrona. W kuchni stoi na półce blaszanka
z jego ulubioną gwatemalą. Weź u ciotki Teresy na nasz
rachunek tuzin keksów „Patria”. Przeważnie ten czas założę pa-
nu Ksaweremu antygrypową kamizelkę.

— Może by warto sprzątnąć?

— Już zamiotłem. No idź, moja mała, rób kawę, patron
czeka.

Pocałował ją w policzki. Walentyna wyszła. Błażej wziął
z kominka tekturowe pudełko z „Zionącym Ogniem Pier-
rotem” i udał się do pana Ksawerego.

— Patronie, proszę toto włożyć.

— A co to? Czy ja się w to zmieszczę?

— Na pewno, to daje się rozciągać. No, włoży pan. Tu są
tasiemki do wiązania.

Pan Ksawery, przybrany w kusy włochaty serdaczek ko-
loru cegły toruńskiej, wyglądał zabawnie i beztrosko.

— Czy aby nie śmiejesz się ze mnie, Błażejku?

— Ja się tylko z zadowolenia uśmiecham. No, niech pan
włoży na wierzch pidżamę. Tak. Okryję pana dodatkowym
kocem.

Zastukała Walentyna, wniosła kawę. Zamieniła kilka
przyjaznych słów z panem Ksawerem i oznajmiła, że idzie
pracować. Uczy się stenografii muzycznej Nicolle'a, z cze-
go ma mieć wkrótce repetycję*.

— Błażejku — odezwał się pan Ksawery — ten ognisty
kłak, coś mi go założył na piersi, zaczyna grzać.

— O to właśnie chodzi, o to chodzi.

— A teraz szczypie, och szczypie, jak papier Rigolot.

* Wobec rychłego pojawienia się taśm magnetofonowych,
praca Walentyny była właściwie już tylko stratą czasu.
(Przyp. red.)

— No to doskonale, patronie, taki jest widać jego obowiązek.

„Zionący Ogniem Pierrot” zaczął działać, zaczął ostro działać. Pan Ksawery coraz głośniej się skarżył, narzekał, kwękał, stękał, biadolił, rozwodził żale i chciał się wyrzec zabiegu. Powstrzymany przez Błażeja, uspokoił się wreszcie i zamilkł. Być może między substancją żrącą Pierrota a bólem pacjenta wywiązała się jakaś równowaga, jakiś stan tolerancji, dość, że skargi ucichły.

— Grzeje? — spytał Błażej.

— Och, pali jak ogień.

— Musi pan wytrzymać do jutrzejszego rana i będzie pan zdrow. Aptekarz dał mi słowo honoru.

— Wytrzymam, wytrzymam. Ten piekielny Pierrot wypędzi ze mnie grype, ale nie wypędzi wielkiego smutku, mój chłopcze.

— Niech pan o tym przestanie myśleć, błagam pana.

— Błażejku, tych myśli już nie odegnam. Przez moją lekkomyślność pułkownik Bodineau kupił zbrocze jałowej skały. Wyłożył ogromne pieniądze za wertep, po którym kozy skaczą. Straszne, Błażejku. Powiniennem jechać do Franchimont, paść na kolana i wyznać całą prawdę.

— To by się nie na wiele zdało, patronie. Siebie by pan jeszcze bardziej pograżył, a pułkownikowi nic by pan nie pomógł. No bo stało się, akt podpisany u rejenta, zdechł pies, wypadków nikt nie cofnie.

— No to co robić, Błażejku, co robić?

— Zaczekać, pułkownik jest stary frant. Jak się przekonam, że źródło nic nie jest warte, sprzeda posesję innemu frantowi.

— Nie nazywaj pułkownika frantem, Błażejku. To zacny, szlachetny człowiek. Przecie zawdzięczamy mu uruchomienie naszej centrali horoskopów.

— Wiem o tym, patronie. I jestem za to wdzięczny pułkownikowi. Jego troska o nas była identyczna z troską, jaką pan okazał arabskiemu sprzedawcy nugatów.

Stęknąwszy jeszcze kilka razy, pan Ksawery snuł dalej swoje zwierzenia.

— I takiego człowieka doprowadziłem, być może, do katastrofy finansowej.

— Zaczekajmy, patronie. Pułkownik da sobie radę. Mówiąc między nami to filut, wysokiej klasy filut. Albo wariat.

— Szanuj go, chłopcze, to czcigodny człowiek.

— Zróbmy pół na pół, patronie, i niech już będzie czcigodnym filutem albo czcigodnym wariatem. Ta jego historia pompejańska...

— Cyt, Błażejku, nie poruszajmy tego tematu. Wiem, że powątpiewasz, a ja wierzę. Oglądałem na własne oczy posąg Junony, rozmawiałem z kapłanem Seutesem, warczał na mnie pies z pędzelkami na końcach uszu. Czy ci nie wystarcza? *

Błażej bąknął, że należałoby wszystko sprawdzić, porównać, uzgodnić i dopiero wtedy dałoby się przeprowadzić granicę między rzeczywistością a urojeniem. Pan Ksawery przypomniał, że taka granica bywa nikła, nieuchwytna, że według niektórych myślicieli w ogóle nie istnieje.

— Gorgiasz z Leoncjum uczył, mój chłopcze...

Na dźwięk greckiego imienia Błażej powstał i twardo oświadczył, że na kolację zapowiedziano suflet z jarmuzem. Czy patron ma na to chęć? Bo gdyby nie miał, to trzeba zaraz zawiadomić Dikke Mee, żeby przygotowała inną potrawę.

*

Nazajutrz rano podczas śniadania Błażej był roztargniony.

— Co cię trapi? — spytała Walentyna.

— Wiesz, z patronem jest coś niewyraźnie. Miesza epoki, miesza fantazję z rzeczywistością. Nie wiem, jak postępować.

* Pozwalamy sobie jeszcze raz przypomnieć, że dla oceny zalet tej książki warto przeczytać tegoż autora „Naszą Panią Radosną”. (Przyp. red.)

- Może to z gorączki?
 — Nie z gorączki. Ta dziwna skłonność opanowała go we Franchimont podczas obcowania z pułkownikiem Gastonem Bodineau. Ach, przeklęta książka, potferdeke.
 — Nie klnij, Błażejku.
 Zamilkł na chwilę, zamyślił się, potem rzekł:
 — Słuchaj, moja mała, czy mogłabyś zrezygnować z dzisiejszych zajęć w konserwatorium? Jedno z nas musi być przy panu Ksawerym. Chciałbym się wybrać na miasto, odwiedzić kilka miejsc. Sprawy są ważne, związane ze zdrowiem patrona.
 — Dobrze, zostanę, mam ze sobą skrypty.

*

Padał deszcz na przemian ze śniegiem, zmieniał się też co chwila kierunek wiatrów. Na ulicach kobiety szamotały się z parasolkami, mężczyźni wtulali głowy w kołnierze gumowanych okryć. Kiedy wiało od Dworca Południowego, mżył deszcz, kiedy wiało od Dworca Północnego, zacinął mokry śnieg. Typowa brukselska zima.

Skulony Błażej stał na wysepce tramwajowej przed gmachem Gieldy. Spod ronda kapelusza spoglądał na teksty reklam neonowych. O tej porze dnia były przeważnie martwe. Świeciły te tylko, które miały coś wspólnego ze stanem pogody.

Zaufaj! ASPRO
 zwalczy twój katar.

Niezawodne pastylki VALDA
 usuwają kaszel i chrypkę.

ZIONACY OGNIEM PIERROT
 leczy przeziębienie

Cudowny INHA — X
 zabezpiecza przed bólem gardła

Pigułki marki VAN GRIPEKOVEN
 tłumią kaszel w zarodku

Dzięki metodzie PULMO będziesz miał nowe płuca

Błażej stał, patrzył, odczytywał napisy i robił porównania. Ucieszyło go, że jednak Pierrot bije w reklamie konkurentów. Poczul się jak gracz na wyścigach, który postawił na właściwego konia.

Zajechał tramwaj. Błażej strząsnął śnieg z płaszcza i wskoczył na platformę.

*

Zdażył wrócić akurat na obiad. Zziajany wpadł do jadalni, gdzie przy stole siedziała samotna Walentyna.

— Co się dzieje z patronem? — spytał.

— Zaraz zejdzie.

— Wyzdrowiał?

— Tak, zaziębienie minęło, gorączki nie ma.

— A widzisz. Jednak miałem szczęśliwy pomysł z tym „Zionącym Ogniem Pierrotem”.

Błażej był rad z siebie, z Pierrota, z pana Ksawerego, no i z wiadomości, jakie udało mu się zebrać. Ze wszystkiego był rad. Wyszedł na chwilę i przyniósł od ciotki Teresy trzy butelki porteru. Otwierał je z uwagą, by nie poplamzić serwety.

— Wiesz, zdemaskowałem pułkownika.

— Pułkownika Bodineau?

— Tak. Zaraz wygarnę wszystko przed patronem.

— Nie, Błażejku, nie można. Patron jest dziś w trochę lepszym nastroju, mógłbyś wszystko zepsuć rewelacjami. Zaczekaj, niech sam poruszy ten temat. I nie lej mu zimnej wody na głowę, bądź ostrożny.

— Masz słuszość, Walentyno, zaczekam.

Na schodach dały się słyszeć kroki, pan Ksawery wszedł. Błażej powstał na jego powitanie.

*

W sklepach ukazały się nowe odbiorniki radiowe, zdumiewające, bo bez baterii i bez akumulatorów. Włącza się po prostu wtyczkę, jak by to była lampa albo żelazko. I na tym koniec kłopotów. Aparat gra, śpiewa, gada.

— Wiesz, warto by może kupić — rzekł Błażej.
— Tym bardziej — dodała Walentyna — że wkrótce będzie w radio mój występ.
— Kiedy?
— Za tydzień. Mam odśpiewać kilka berzeretek.
— Bój się Boga, szalona dziewczyno, i ty nic nie mówisz.
— Jest taki przesąd, Błażejku, że lepiej się nie śpieszyć z opowiadaniem. Zresztą, mogę zginąć w tłoku. To będzie zbiorowy popis uczniów i uczennic naszego konserwatorium.

Szli bulwarem Anspacha, deszcz chwilowo nie padał. Zatrzymywali się przed oświetlonymi jaskrawo wystawami sklepów. Błażej wstąpił do kwiaciarni i kupił dla Walentyny bukietik nicejskich fiołków z długimi łądkami. Objęła go za szyję i pocałowała. Dalej był sklep ze sprzętem radiowym.

— Chodź — rzekł Błażej — może się wreszcie dowiem, jak to wygląda z bliska.

Na ich powitanie sprzedawca włączył kilka aparatów. Walentyna zatkała uszy palcami.

— Dosyć, dosyć, wierzę panu, że wszystko tu gra.

Zaczęli oglądać najnowsze odbiorniki bez baterii i bez akumulatorów. Wybór był duży. Angielskie Marconiego, francuskie Gaumonta, holenderskie Philipsa, niemieckie Telefunken, swojskie Vega. W tej powodzi odmian, typów, patentów, Marconi prezentował dowcipny pomysł. Jego głośnik był umieszczony wprost w szafce i tworzył z odbiornikiem jedną całość.

— To jest bardzo praktyczne — zapewnił sprzedawca. — Odpada kłopot z ustawianiem, włączaniem i regulowaniem głośnika.

— Kupujemy — szepnął Błażej do Walentyny. — Wybierz najlepszy aparat i nie krępuj się ceną.

Poprosiła sprzedawcę o schwywanie jakiegoś śpiewu. Rzym nadawał właśnie operę Verdiego z potężnym chórem, na którego tle solistka żaliła się na los.

Sprzedawca włączał kolejno różne odbiorniki, Walentyna słuchała uważnie i wreszcie orzekła:

— Wiesz, Błażejku, chyba ten.

— No to bierzemy.

— Ma pani słuszność — oświadczył sprzedawca. — To bardzo jest praktyczne. Można przenosić głośnik z miejsca na miejsce, można go ustawić na nocnym stoliku, regulować.

Wzmocnił odbiór. Orkiestra grała triumfalnego marsza. Na scenę wkraczał jakiś despota, może król. Słychać było kotły i gwałtowne bicie w talerze.

— Wszystko razem wygląda dosyć zajmująco — rzekł Błażej. — Ciekaw jestem, co na to powie pan Ksawery.

— Aha, Błażejku, musisz wmówić w patrona, że to dla niego wybraliśmy aparat. Małe kłamstwo, niewinne kłamstwo, a choremu robi przyjemność.

— Dobrze, powiem.

Sprzedawca przyjął zaliczkę i zapewnił, że jutro koło południa wraz z odbiornikiem zjawi się monter, który założy antenę.

*

Aby wypędzić z organizmu resztki przeziębienia, pan Ksawery przywdział po raz trzeci kamizelę „Zionącego Ogniem Pierrota” i przespał w tym stroju trzecią z kolei noc. Był wypoczęty, rozleniwiony. Śniadanie zjadł w łóżku, zapalił papierosa i wszczął gawędę z Błażejem.

— Tak, masz słuszność — mówił. — Wiele rzeczy można podrobić, gdy się ma ku temu zapał i zdolności. Można podrobić monetę Wespazjana, jego list, jego podpis. Ale żywego psa z okresu Wespazjana, wierzaj mi, Błażejku, nikt nie podrobi.

Błażej zmarszczył czoło. Zastanawiał się właśnie, jak ma postąpić. Powiedzieć, czy nie? Chwila była odpowiednia.

— Patronie — zaczął — ta fotografia, co to mi ją pan przysłał z Franchimont, mówię o fotografii psa z pędzelkami na końcach uszu, ta fotografia zrobiła nieoczekiwaną karierę. Niech pan sobie wyobrazi, że zaniósłem ją do Królewskiego Towarzystwa Hodowców Psów Rasowych.

— Po co, Błażejku?

— Ot, tak sobie. Chciałem sprawdzić, czy się tam znajdują psach.

— To ciekawe, bardzo ciekawe. No i co, no i co, Błażejku?

— Wie pan, powyciągali mnóstwo albumów, wertowali je przez dobry kwadrans i wreszcie orzekli, że jest to półdziki pies Indian meksykańskich.

— Nie może być!

— Jako żywo, patronie. Pokazali mi dla porównania kilka podobizn. Kropka w kropkę to samo. Tamte psy też są pstrokate, też mają pędzelki na uszach.

— Ha, Błażejku, twoje odkrycie jest dla pułkownika nader krępujące. Ale pomyśl, zastanów się i miej dobrą wolę. Przecież tamten antyczny pies pompejański mógł zdechnąć, a ten jest tylko podobny.

— Jeżeli w ogóle był tamten pies. No i po co, patronie, opisywać kundla z Meksyku, wmawiając w ludzi, że to żywy antyk?

Pan Ksawery posmutniał, zamrugał oczami, potem je zamknął i zamilkł. Błażej też nic nie mówił, czekał. Zaczął się zastanawiać, czy dobrze postąpił demaskując psie figle pułkownika.

— Widzisz, Błażejku — przemówił pan Ksawery — gdyby nawet wyszło na jaw, że pies jest zmistyfikowany, pozostaje jeszcze kapłan Seutes, pozostaje posąg Junony.

— O, z posągiem, to żaden dowód. Sam mi pan opowiadał, że Theux jest starym rzymskim osiedlem, że zwało się Tectum, że we Franchimont przebiegał nad rzeką rzymski gościniec. Mógł więc pułkownik Bodineau wykopać rzeźbę gdzieś w polu albo we własnym ogrodzie, mógł też wydobyć z rzeki. Tak, to nawet prawdopodobne, bo przecież chrześcijaństwo niszczyło zabytki pogańskiego kultu, topili bałwany w rzekach. No i proszę, patronie. Od tego zaczęła się, być może, wielka mistyfikacja, której ukoronowaniem jest książka z przedmową pułkownika Bodineau.

Wbrew zamiarom Błażej zapalił się do tematu. O zaleceniach Walentyny zapomniał.

— Błażejku — odrzekł pan Ksawery — w tym, co mówisz, jest tylko powątpiewanie. Tu nawet poszlak oszustwa nie mogę się dopatrzeć. Nie uwzględniłeś szczegółu, że wraz z Junoną zjawił się jej kapłan.

— Ach, patronie — Błażej stanął wyprostowany — z tym kapłanem też wyszedł niezły kawał. Zajrzałem ot tak, mimochodem, do dykcjonarza gwarowego liégeois-français i natrafiłem na słówko seute. Zwykły przymiotnik seute, który odpowiada francuskiemu svelte, czyli wiotki, smukły. Oto nasz kapłan Junony. Był sobie prosty walloński proboszcz Wiktor Seute, chłop z chłopów, dodano mu literę s w końcówce i stał się Grekiem Seutesem.

— A po co mi o tym mówisz, Błażejku? Chcesz poderwać we mnie ufność w historię pompejańską. Przecież dzieciom opowiada się bajeczki o Czerwonym Kapturku i dzieci w to wierzą, bo chcą wierzyć. Nikt nie rozbija ich wiary. Jeżeli przygody Gastona Bodineau uznajesz za fantazję, zalicz ją do kategorii Czerwonych Kapturków.

— Ja tylko... — Błażej był zakłopotany. — Chodzi mi o to, patronie, żeby pan się zanadto nie przejmował tym pułkownikiem. Kupił źródło dla spekulacji. Może na tym stracić, może zarobić. Myślę, że zarobi.

— Naprawdę tak myślisz?

— Naprawdę, zobaczy pan. I żeby skończyć z tą pompejańską historią, jeszcze raz powtarzam, że pułkownik jest z lekka palnięty w łeppek.

— Och, aż tak?

— Z całą pewnością.

Błażej opanował zakłopotanie i mówił już rześkim głosem:

— Wie pan, miałem dalekiego kuzyna, który był szambelanem papieskim i honorowanym prezesem różnych stowarzyszeń charytatywnych. Słyszał z umiejętności przewodniczenia na zebraniach. Pewnego razu, zamykając jakieś posiedzenie, wstał i zawołał: „Kukuryku!” Odtąd za każdym razem, ilekroć przewodniczył, zawsze na zakończenie wydawał ten koguci okrzyk. Aż raptem mojego krewniaka zabrano do jakiegoś sanatorium, gdzie spędził kilka mie-

sięcy. Wyszedł z tych przygód w pełni sił i, jak słyszałem, nadal przewodniczy na zebraniach, ale już nie woła „Kukuryku”. Mówię o tym, żeby pan wiedział, drogi patronie, że takie niewinne palnięcia w łepkę są uleczalne.

— Według ciebie pułkownik...

— Tak, patronie, pompejańska historia jest czymś w rodzaju „Kukuryku.”

— Dobrze, dobrze, Błażejku, ale w tej historii występowało kilka innych osób i wszystkie się zgadzają z pułkownikiem. Nie ma protestów, przeciwnie, jest twarda solidarność.

— Tak, ma pan słuszność, tu się kryje słaby punkt mojego rozumowania — przyznał Błażej. — Tego szczegółu dotąd nie przemyslałem i nie mogę go sobie wytłumaczyć.

Podniecenie minęło, uspokoił się, milczeli. Pan Ksawery poczęstował Błażeja papierosem, zaciągnął się i rzekł:

— Zabiłeś mi ćwieka tym „Kukuryku”, mój chłopcze.

Po chwili spytał:

— A może twój szambelan był hodowcą drobiu?

— Nie, patronie, był prawnikiem, ale nie praktykował; potajemnie pisywał do gazet i do teatryków rewiiowych.

Na dole ktoś szarpnął dzwonek od ulicy, trzasnęły drzwi, słychać było głos męski pomieszany z głosem Dikke Mee. Zastukano, do pokoju wszedł mąż w czekoladowym uniformie. Na otoku kepi miał wyhaftowany złoty napis „Radio-Palace”. Oświadczył, że przynosi odbiornik i chciałby założyć antenę.

— Ja nie zamawiałem — bronił się pan Ksawery.

— Patronie — rzekł Błażej — to Walentyna zamówiła dla pana.

*

Na szczytowych ścianach, na słupach i na tablicach ogłoszeniowych ukazały się wielkie plakaty zachwalające likier. Tekst zapewniał, że jest to destylat przygotowany po raz pierwszy w roku 1566, obecnie wyrabiany według recepty Opactwa Św. Brunona w Villers, zatwierdzony bullą pa-

pieską Pawła VI. Nazwa likieru (bez skrótów) brzmiała: „Liqueur de l'Abbaye Saint-Bruno à Villers”, a nazwa handlowa „Liqueur Saint-Bruno”.

Błażej zauważył, że na samym spodzie umieszczono dopisek, ale tak skromny, że nie rzucał się w oczy: „Jedyni depozytariusze na Belgie i Luksemburg: Distillerie des liqueurs Schroetter & Co, Bruxelles-Anderlecht”. Rysunek wyobrażał zakonnika zbierającego zioła. Noc, księżyc na niebie, zakonnik schyla się i zrywa jakieś kwitnące rośliny. Po lewej stronie u góry widniał stylizowany herb opactwa.

— No, no — odezwał się Błażej — mój przyjaciel Kubuś ostro jedzie.

Walentyna spytała:

— Wciąż jeszcze podejrzewasz, że ten pergamin z licytacji był sfalszowany?

— Głowę dam sobie uciąć.

Stali, patrzyli, podziwiali. Błażej oznajmił, że chciałby poczęstować Walentynę likierem Św. Brunona. Poszli więc go szukać. W kawiarniach przepraszano ich, że jeszcze nie ma, ale lada dzień będzie, może jutro. Wreszcie zasiedli przy stoliku w „Astorii” na rue Royale. Tam był już nowy likier, a na ścianie wisiał plakat z zakonnikiem zbierającym kwiatuszki. Ucieszyli się na ten widok, jak gdyby spotkali dobrego znajomka.

Kelner przyjął zamówienie z powagą, nawet twarz mu nie drgnęła. Przyniósł tacę ze zwykłym ceremoniałem. Postawił na marmurze dwie podstawki, na podstawkach zgrabne kieliszki z napisem „Liqueur Saint-Bruno”.

Otwieranie dziewiczej butelki trwało długo, gdyż trzeba było zdjąć ołowiany kapsel zamykający wylot i opasujący szyjkę. Korek okazał się przesadnie długi, trudny do wyciągnięcia; kelner aż poczerwieniał z wysiłku.

Na butli, która kształtem przypominała dawne gąsiorki, były naklejone dwie etykiety. Czołowa wymieniała nazwę likieru, datę jego powstania (rok 1566), bullę papieską oraz klasztor kartuzów. Druga etykieta, zredagowana w łacinie, przynosiła błogosławieństwo Pawła VI dla zakonników

z Villers, pośrednio więc i dla osób popijających likier. Surową nieco całość ożywiała czerwień lakowej pieczęci z herbem opactwa.

Kelner odszedł, Walentyna rzekła:

— Wiesz, trzeba przyznać, że to wszystko budzi zaufanie.

— Wyczuwam w tym lwi pazur pułkownika. Piłem już ten likier podczas przyjęcia w Anderlecht. Chciałbym usłyszeć twoją ocenę.

Walentyna sięgnęła po kieliszek, obejrzała złotawy płyn pod światło, skosztowała i oznajmiła:

— Cóż, likier jak likier, nie gorszy od innych. Myślę, że przy takiej reklamie powinien chwycić.

*

Pan Ksawery wyzbył się przeziębienia i myślał z wdzięcznością o „Zionącym Ogniem Pierrocie”. Teraz już wiedział, czego się trzymać, wiedział, że gdyby coś podobnego znów się przytrafiło, Pierrot nie zrobi mu zawodu.

W nastroju też był lepszym. Zaczął odwiedzać bukwinistów i znosił do domu nieprawdopodobne czasopisma, przeważnie miesięczniki, które przeleżały długie lata na półkach antykwariatów w oczekiwaniu na nabywcę. Między innymi zakupił tanio roczniki: „Journal des Savants”, „Revue Archéologique”, „Isis”, „Revue Sumerienne”, „Cultes”, „Revue des Etudes Grecques”, „Annales du Musée Guimet”, „Comptes Rendus de l'Academie Royale des Sciences”, „Revue des Apocryphes”, „Intermédiaire des Chercheurs” i wiele innych.

Wszystko to pan Ksawery zwoził i znosił na Petite rue des Bouchers z myślą o Błażejku, o jego wykształceniu. Ale po co przydzwigał komplet kwartalnika „Revue des Chauves-Souris du Maroc”, tego nawet on sam nie mógł zgadnąć*.

* Wydawnictwo to przetrwało drugą wojnę światową i nadal wychodzi; jego egzemplarze można znaleźć w bibliotece Muzeum Zoologicznego przy ul. Wilczej 64 w Warszawie. (Przyp. red.)

ROZDZIAŁ XX

Popis wychowanków konserwatorium. — Telegraficzna pochwała likieru Saint-Bruno. — Straszny sen. — Szarża blaszanych budzików. — I znów dokuczliwa Justitia. — Kropelki doktora Pagello. — Pan Ksawery błaga pułkownika o przebaczenie. — Ostatnia noc przed procesem.

Kilku dni potrzebował pan Ksawery, aby przezwyciężyć nieufność do radia. Drażniła go obecność skrzynki w pokoju, drażniły druty, przełączniki, a najsilniej drażnił go głośnik w kształcie wielkiego talerza do zupy ustawionego sztorcem na podstawce.

Był to patentowany głośnik marki „Vega”. Załączona broszurka pouczała, iż jest najlepszy wśród istniejących na rynku głośników, albowiem drgająca błona ma największą powierzchnię o najwyższym stopniu elastyczności.

Rzeczywiście, kiedy pan Ksawery ostrożnie przytknął w talerz, głośnik zadźwięczał głucho, jak bębenek. Doszli z Błażem do wniosku, że drgająca powierzchnia jest sporządzona ze świńskiego pęcherza powleczonego lakierem ze sproszkowanym aluminium.

Kto jak kto, ale Błaż był zaciekawiony wynalazkiem. Przyniósł z miasta kilka czasopism radiowych, jedno miejscowe, dwa paryskie i jedno angielskie. Uczył się z nich, co to jest radio i jak należy postępować, aby chwycić dalekosieżne programy. Przesiadywał dość często u pana Ksawerego i kręcił gałkami szukając koncertów ze stolic europejskich. Raz nawet udało mu się złapać Reykjavik.

— To jest zabawne — oznajmił.

— A co się stanie z katarynkami? — spytał pan Ksawery.

Na słuchanie radia przychodziła czasem Walentyna. Pewnego razu rzekła:

— Nie zapomnijcie, że jutro o siódmej dwadzieścia jest mój występ.

*

Uroczysty popis uczennic i uczniów konserwatorium brukselskiego był poprzedzony przez słowo wstępne jakiegoś nudziarza, który nie wiadomo po co plótł trzy po trzy o roli muzyki w życiu społeczeństw. Potem drugi nudziarz, też nie wiadomo po co, opowiadał o dziejach konserwatorium. Wreszcie z talerza zabrzmiał głos:

— Prosimy o chwilę cierpliwości. Przed rozpoczęciem koncertu musimy przesunąć fortepian.

Słychać było jakieś chroboty, szurganie, ktoś stęknął, ktoś zawołał: „Ça y est”. Po chwili spikier oznajmił, że do fortepianu zasiada młody pianista, który odegra coś z Schuberta. Z kolei grała pianistka, po niej inny pianista, potem były skrzypce solo, altówka solo, kwartet smyczkowy i nareszcie rozpoczęły się śpiewy.

Głos Walentyny wypadł tak zniekształcony, że gdyby nie zapowiedź, Błażej nigdy by go nie poznał. Zdawało mu się, że słyszy kogoś zupełnie obcego. I tym razem, jak po każdym poprzednim występie, z głośnika doleciały oklaski. Profesorowie bili brawo swym wychowankom.

Mniej więcej w godzinę po audycji, na Petite rue des Bouchers zjawiła się Walentyna. Była podniecona, twarz miała zarumienioną i błyszczące oczy.

— No, jak to wyszło, Błażejku?

Rzuciła mu się na szyję, wycalowała i omal nie straciła ze stołu patentowanego głośnika „Vega”.

*

Błażejowi odrosły włosy i mógł się już pokazać nawet w takim lokalu jak dansing hotelu „Palace”. Wybrał się tam z Walentyną. Tańczyli, pili kawę z likierem Św. Brunona.

— O czym tak myślisz? — spytał Błażej.

— Wiesz, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Chciałabym zrobić naszemu fabrykantowi likierów niespodziankę.

— No to rób, moje dziecko. Masz we mnie pomocnika.

— Korci mnie, żeby mu wysłać depezę dziękczynną z mnóstwem nazwisk, niby od gości zebranych w tym dansingu.

— To dobry pomysł. Siadajmy.

Sięgnął po kartkę reklamową jakiegoś aperitif i na odwrotnej stronie napisał: „Zgromadzeni w dansingu «Palace» goście serdecznie dziękują firmie Schroetter & Co za wspaniały likier Saint-Bruno”.

— Teraz trzeba to podpisać — rzekł. — Może znasz jakie dostojne, szlacheckie rody?

Walentyna wymieniła nazwiska: de Smet de Naeyer, d'Oultremont, t'Serstevens, de Merode, de Ravesteyn, Frère-Orban, d'Enghiem, Carton de Wiart. Więcej nie mogła sobie przypomnieć.

— Wystarczy — rzekł Błażej — podorabiam im jeszcze imiona, a potem trzeba będzie znaleźć kilka plebejskich nazwisk. Kuba pomyśli, że to złota młodzież, bawiąc się z dziewczętami, przysłała mu depezę.

Zapalał się coraz bardziej, przypominał sobie nazwiska oglądane na szyldach, a Walentyna mu dopowiadała. Opracowali wkrótce długą listę, tak długą, że wypadło po dwie i pół gryzетки na kawalera, może więcej.

— Nic nie szkodzi — orzekł Błażej — domniemanych nadawców tej depezy stać na szaleństwa z dziewczętami.

Figurowały na liście: Susette Pestermans, Loulou Goitshoven, Arlette Papst, Georgette Cock, Sidonie Loomans, Jefke Van den Boem, Lisette Vayembergh, Clara Stroobant, Babette Thyskens, Jeanne Pailoche, Bertha Verrocken, Ninnon Papstoumper, Madelon Zeeman, Lucette Droochloost, Adrienne Fyt, Odette Rookenkraacht, Alice Int'Kamermaeker, Albertine Vanloo i Nennette Van Giderachter.

Błażej wyraził zadowolenie. Nazwiska dziewcząt były autentyczne, często spotykane. Przewidywał, że Kuba

Schroetter uważnie przestudiuje depeszę i sprawdzi, skąd była wysłana.

— Chodź — powiedział do Walentyny — w hotelu jest poczta. Poprosimy, żeby doręczyli na ozdobnym blankiecie.

*

Tej nocy, choć był już początek marca, nad Brukselą przeszła wichura połączona z gwałtownymi uderzeniami deszczu. Dachy dudniły, szyby w oknach brzęczały, w kominach coś wyło i gwizdało.

Pan Ksawery, mimo że stan jego zdrowia w ostatnich dniach nieco się poprawił, nie mógł jednak zasnąć. Wstał, otulił się szlafrokiem, siadł przy żelaznym piecyku. Dorzucił kilka brykietek i grzał palce w otwartych drzwiczkach.

Przypomniał sobie, że w stoliku ma nowy środek nasenny „Somnifen” wyrobu szwajcarskiego. Zapewniono go w aptece, iż jest to preparat ziołowy, niezawodny. Postanowił go wypróbować.

Po rozpakowaniu pudełeczka, zamiast zwykłych pastylek znalazł smukłą fiołkę z aromatycznym płynem. Odliczył dwadzieścia kropli i wypił. Było to zupełnie coś nowego w tej dziedzinie, a przecie zdążył już zbadać chyba wszystkie środki nasenne sprzedawane w aptekach.

Czekał na nadejście snu. Aby zabić czas, zaczął studiować dołączony do leku karteluszek. Dowiedział się z ubolewaniem, że „Somnifen” nie jest preparatem ziołowym, lecz barbiturowym. „Oszukano mnie” — pomyślał.

Za oknem wciąż szalała wichura. Niesforny deszcz uderzał co kilka sekund w okno, jak gdyby kto chlustał wodą z konewki. Pan Ksawery znów sięgnął po łopatkę, dodał do ognia brykietek, a dla zwalczenia niepokoju zaczął w siebie wmawiać, że jednak życie jest piękne. Rozmyślenia zakończył inwokacją do własnej osoby: „Ty stary kuniu, uspokój się. Żyjesz i żyjesz, nigdyś się dotąd nie zrywał na dźwięk budzika, o co ci więc chodzi?”

Ziewnął. Szwajcarski „Somnifen” zaczynał jednak dzia-

łać. Pan Ksawery pozbył się szlafroka, legł w łóżku i po kilku minutach twardo zasnął.

*

Błażej skończył się właśnie golić, zamierzał zejść do łazienki, gdy usłyszał stukanie w ścianę. Wytarł rękami twarz i poszedł do pana Ksawerego.

— Czołem, patronie, jak pan spał?

— Błażejku, miałem sen tak straszny, że nie mogę się teraz otrząsnąć. Boże, Boże, co mi zwiastuje ten koszmar?

— Pan wierzy w sny?

— Bywają różne sny, mój chłopcze.

— Przecie pan się dość jasno wypowiedział w swoich sennikach egipskich.

— Tamte sny, Błażejku, są to zwyczajne sny na codzień, sny gospodarskie. A mój sen był złowrogi, przerażający. Boże, Boże, co teraz będzie.

— No, patronie, niech pan opowiada. Zajmiemy się potem tłumaczeniem. Pozwoli pan, że siadę w pańskim fotelu?

— Proszę cię, siadaj. To się zaczęło, widzisz, chłopcze, na Krakowskim Przedmieściu. Szedłem samopas nocą, chodniki były puste, ale nad wejściami do niektórych lokali żarzyły się jeszcze neony. Szedłem tak, a wokół ani żywej duszy. Raptem słyszę za moimi plecami cwał, galop, szarża kawalerii. Ale dźwięk kopyt na asfalcie wydawał mi się inny, bardziej metaliczny, połączony z grzechotem żelastwa. Oglądam się, Błażejku, a tam z placu Zamkowego wypadają budziki, potwornie wielkie budziki, wyższe od człowieka. Cały szwadron budzików-olbrzymów, tych błaszanych z dzwonekami na tułowiu.

Nie wiedziałem, dokąd uciekać. Budziki galopują koło hotelu Bristol, nie zatrzymują się, skręcają za skwerek, wpadają do Simona i Steckiego, skąd po chwili wybiega Boy-Zeleński, zupełnie zmaltretowany. Boy coś krzyczy, nie mogę zrozumieć. Budziki szarpia go, biją, popychają. Chowam się, Błażejku, za filar „domu bez kantów”. No cóż,

nie jestem bohaterem. Widzę, jak z baru Europejskiego budziki wyprowadzają kogoś przemocą, obalają go na jezdnię i wloką po kamieniach. Poznają, to Witkacy.

Zaczynam się przemykać pod ścianami domów. Wpadam do Lijewskiego i krzyczę: „Odmieńcy, uciekajcie, budziki nas gonią!” Robi się popłoch. A ja biegnę dalej, alarmuję, wpadam do „Savoyu”, do „Italii”, podrywam ludzi z miejsc.

Tworzymy już sporą grupę. W „Gastronomii” przyłączają się do nas nowi. Biegniemy razem w kierunku Alei Ujazdowskich. Na placu Trzech Krzyży dopada nas szarża potwornych budzików. Kopią mosiężnymi nogami, bodą dzwonekami, przewracają, tratują. A my, odmieńcy, nie umiemy się nawet bronić. Wołamy więc tylko „Kukuryku”. Ja też, Błażejku, zapiałem „Kukuryku”. I na tym skończył się mój sen.

Pan Ksawery zamilkł, zapalił papierosa. Był bardzo, ale to bardzo smutny.

— Patronie — zaczął nieśmiało Błażej — w tym, co pan opowiadał przed chwilą, widzę dwa skojarzone motywy: antypatię do budzików i opowieść o szambelanie papieskim. To się razem jakoś przemieszało, skopulowało i wyszła szarża blaszanej kawalerii na tłum odmieńców. Niech pan nie robi z tego wróżb, bo tu nic nie ma do wróżenia.

*

Sen o budzikach, choć się nie dawał wtłoczyć do mgławicy snów zwiastujących złą przyszłość, sprowadził na ich dom kłopoty. Właściwie jeden tylko kłopot, ale potężny.

Pana Ksawerego odwiedził jakiś kancelista z sądu i uprzejmie oświadczył:

— Proszę nam wybaczyć, że nie umiemy napisać poprawnie pańskiego nazwiska. Czy nie zechciałby pan prze-literować?

Rad nierad pan Ksawery spełnił życzenie gościa. Ten się z tego ucieszył, wyjął z teczki wezwanie in blanco (też z podobizną Justiceji) wykaligrafował na nim bezbłędnie nazwisko pana Ksawerego i rzekł podając:

— Do zobaczenia.

Od tej chwili posiane na Petite rue des Bouchers ziarno niepokoju zaczęło kiełkować, wschodzić, narastać, pączkować i wydawać owoce. Im bliższa była data procesu, tym większe się stawało zdenerwowanie pana Ksawerego. Wypalał ogromne ilości papierosów, łykał różnorodne lekarstwa z gatunku sedatiwów i po kilka godzin dziennie bujał się w kochanym fotelu na biegunach. Nic nie pomagało, nawet fotel.

Pan Ksawery rzekł do swego ucznia złamanym głosem:

— Błażejku, kiedy Alfred Musset zalał się raz do tego stopnia, że wyskoczył zupełnie nagi z hotelu i zaczął hasać po placu Świętego Marka w Wenecji, pani George Sand sprowadziła lekarza, który zapisał jakieś piorunujące krople. Po zażyciu tych kropli Musset zaraz się uspokoił. Myślę, że i mnie by takie kropelki pomogły.

— Ba, ale gdzie ich szukać?

— Otóż, Błażejku, ty je znajdziesz. Zrobisz to dla mnie, prawda?

— Och, panie Ksawery.

— No to jak będziesz w bibliotece, mój chłopcze, zajrzyj do katalogu i odszukaj pracę Antoniego Cabanèsa „Un roman vecu a trois personnages”. Tam jest recepta. A ten doktor nazywał się Pagello.

— I pan by chciał zamówić w aptece te same krople, od których Musset ocknął się z białej gorączki? Przecież pan jest zupełnie trzeźwy, aż nadto.

— Myślę, że kropelki doktora Pagello, które uspokoiły szalejącego Musseta, uspokoją i mnie. Idź, mój chłopcze, poszukaj, znajdź, przepisz receptę i zanieś do apteki.

— Już idę, patronie. Przed wieczorem będzie pan miał lekarstwo.

*

Recepta doktora Pagello tak wyglądała:

Aq. Ceras. nigr. 1 unc. 2 gr.
Laud. liquid. Sydn. gutt XX
Aq. coob. laur. ceras. gutt XV

Magister farmacji, któremu Błażej ją podał, był to starszy pan, całkiem łysy, w profesorskiej krymce na głowie. Rzucił tylko okiem na kartkę i spytał:

— Czy zechce pan zaczekać?

— Tak, zaczekam.

Błażej był zdumiony, że recepta z czasów Musseta nie wywołała w aptece żadnego zamieszania. Starszy pan wyszedł do przyległego pokoju, po kilku minutach wrócił trzymając w palcach buteleczkę z kroplami. Nałożył papierowy kapturek, ścisnął gumką, zawinał w bibułkę i podał Błażewi nie zdradzając jakichkolwiek oznak zaskoczenia*.

— Na nic cała przyjemność — westchnął Błażej wychodząc z apteki.

*

Trapiiony niepokojem pan Ksawery wyczekiwał na wieści z Franchimont. Nie znajdując ich w stołecznej prasie, zaczął odwiedzać Dom Walloński na rue de l'Ecuyer, gdzie dla gości były do czytania gazety i czasopisma prowincji leodyjskiej.

* Treść recepty w polskim przekładzie tak by przypuszczalnie brzmiała: wody z czarnych wiśni 1 uncja i 2 grany, płynnego laudanum Sydenhama 20 kropli, destylowanej wody laurowej 15 kropli.

Tomasz Sydenham, wybitny medyk angielski (1624—1689) był twórcą owego laudanum, które się składało z wyciągów szafranu, opium, goździków i cynamonu. Specyfik ten przetrwał w farmakopeach do dziś i można go jeszcze odszukać pod nazwą oryginalną albo pod nazwą Tinctura opii crocata. (Przyp. red.)

Zamawiał piwo i rzucał się przede wszystkim na wychodzący w Spa tygodnik „Le Pouhon”*, organ dyrekcji uzdrowiska. Pan Ksawery wiedział, że pismo to nie jest bezstronne, że broni interesów spółki akcyjnej Spa-Monopole. Gdyby się gdzieś pod bokiem zjawiała konkurencja, to „Le Pouhon”, rzecz oczywista, zaczęłby ją zwalczać.

Na razie „Le Pouhon” z nikim nie walczył, a o Franchimont milczał uparcie. Wiadomości związane z osobą pułkownika Bodineau znalazł pan Ksawery w gazecie „La Wallonie” wychodzącej w Liège. Dziennik ten miał niedzielny dodatek redagowany częściowo w języku francuskim, częściowo w wallońskim, i tam właśnie ukazał się dłuższy reportaż z Franchimont o sprzedanej przez ojca Pirotte fermie z sadzawką i źródłem.

Jako sensację podała „La Wallonie” wiadomość, że pułkownik nie szukał pięciofrankówek drogą skupu, lecz skierował zamówienie wprost do mennicy państwowej, która się szybko wywiązała z zadania dostarczając nieskazitelnie piękne monety w rulonach z urzędowymi stemplami. Dalej była opowieść o przyjeździe do Franchimont geologa oraz o wszczęciu robót wiertniczych. Na dziedzińcu fermy zbudowano drewnianą wieżę, podobną do rusztowań w zagłębiach naftowych. „La Wallonie” zamieściła fotografię wieży ze stojącym obok niej geologiem.

Ze ściśniętym sercem czytał pan Ksawery, że wiercenia żadnych nie dały wyników. Wybudowano więc drugą wieżę. Ta druga też zawiodła. Pułkownik Bodineau zaniechał dalszych wierceń i zaprosił na konsultację różdżkarza. Ten skrytykował wszelkie wiercenia pionowe. Przy pomocy drewnianka w kształcie litery Y wskazał na zboczu skalnym

* Nie ma szans znalezienia tego słowa w zwykłych słownikach francuskich, chyba w jakim gwarowym. Pouhon, wyraz lokalny, ardeński, oznacza zapadlinę lub pęknięcie ziemi ze źródłem. W Spa jest kilka pouhonów, wśród których najważniejsze: Pouhon Pierre le Grand (z żelaznym krzesłem Piotra Wielkiego) i Pouhon Condé. Mniejsze źródła mineralne są tam określane jako „source”. (Przyp. red.)

miejsce, gdzie się ma znajdować żyła wodna. Istnieje obawa, że dalsze poszukiwania będą kosztowne, gdyż według zaleceń różdźkarza należałoby żłobić litą skałę w kierunku poziomym na wysokości trzech metrów ponad dziedzińcem. Czy pułkownik podejmie takie ryzyko? — zapytywała gazeta.

Po przeczytaniu reportażu pan Ksawery zupełnie stracił głowę i nie wiedział, co robić. Wyszedł z czytelni, poczuł chłód, wstąpił do sklepu i kupił ciepły szalik, którym okręcił sobie szyję. W chwilę potem połapał się, że niepotrzebnie kupował, gdyż ma na szyi dwa szaliki.

Zdjął więc ten nowy i szedł trzymając go w rękę. Ponieważ przechodził właśnie ulicą de L'Etuve koło Manneken-Pisa, przystanął, wspiał się na sztachety i tkliwie otulił szalikiem posażek nagiego dziecka.

— Ça est chic, savez-vous! — zawołał jedyny świadek tej sceny, policjant. I zasalutował przed panem Ksawerym.

*

Przez kilka nocy pan Ksawery spał twardo. Piekielna driakiew doktora Pagello, która w Wenecji zwała z nóg szalejącego Musseta, równie skutecznie działała na Petite rue des Bouchers.

Pan Ksawery, choć był nerwowo roztrzęsiony, choć był zdesperowany wypadkami we Franchimont, przesypiał osiem godzin z rzędu i, co najciekawsze, nie miał żadnych snów o źródle, o sadzawce. Przez ten czas, który można by nazwać dniami odprężenia, zredagował długi i serdeczny list do pułkownika Bodineau. Nic w nim nie ukrywał. Opowiedział o oberży pod glicyniami, o kelnerce, o soli na porost kwiatów, którą wsypał do źródła. Surowo potępił sam siebie za lekkomyślność, za opieszałość w korespondencji, za chwiejność, za brak zdecydowania.

„Wiadomość, że Pan się stał nabywcą fermy ojca Pirotte — pisał pan Ksawery — była dla mnie ciosem. Drugim ciosem był dla mnie reportaż ogłoszony w dodatku niedzielnym «La Wallonie»”.

Na zakończenie, wyrażając głęboką skruchę, błagał o zaniechanie poszukiwań z udziałem różdźkarza.

Listu tego nie pokazał pan Ksawery uczniowi; lękał się jego uwag na temat pompejańskich przygód pułkownika.

*

Nadchodził straszny dzień sądu, dzień Justycji. Ksawery miał być potępiony za kłusownictwo, za schwytanie szczupaka na błystkę.

— Pan chyba nie zapomniał, patronie — odezwał się w czasie obiadu Błażej — że przed procesem trzeba być dobrze wypoczętym. Czy ma pan krople doktora Pagello?

— Właśnie mi się skończyły, Błażejku, ale wybieram się na miasto i zajdę do apteki. W której to aptece było robione?

— U Gripekovena, na Marché-aux-Poulets.

— Dobrze, wstąpię tam.

Tak się też stało. Pan Ksawery wstąpił do apteki i trafił na tego samego magistra z apatyczną twarzą, w czarnej profesorskiej krymce na łysej głowie. Czekając na sporządzenie leku rozmyślał z wdzięcznością o doktorze z Wenecji, o Alfredzie Musset i o pani George Sand, dzięki którym posiadał teraz niezawodną receptę.

Kiedy magister podszedł z buteleczką do lady, pan Ksawery zagadnął go, co myśli o tych kropkach. Ten odpowiedział:

— Niewinne, nieszkodliwe.

— Co? Niewinne?

— Tak, mogę pana zapewnić, że niewinne.

Nic ponadto pan Ksawery nie mógł wycisnąć z obojętnego rozmówcy.

Następstwa tego dialogu, choć składał się z tak niewielu słów, były fatalne. Ostatniej nocy przed rozprawą sądową Ksawery nie zmrużył oka. Stracił wiarę w doktora Pagello. I znów Błażej zastał w pokoju patrona tuman dymu tytoniowego przemieszany z zapachem kropli walerianowych. Na popielniczce leżała góra niedopałków.

ROZDZIAŁ XXI

Załosna droga do sądu. — Za panem Ksawerym biegnie gromada kotów. — Woźni zarządzają obławę. — Cocorico! — Wycieczka do Montigny. — Partia szachów z marszałkiem Fochem. — Patronie, trzeba się leczyć.

Palais de Justice w Brukseli góruje nad całym miastem. Zzieleniałą od słońca i od wichrów miedzianą kopułę tego olbrzyma widać ze wszystkich stron. Jest to, jak powiadają, największy gmach sądów w Europie.*

Tam właśnie zdążył na jedenastą przed południem pan Ksawery w towarzystwie Błażejka. Wyruszyli pieszo przez rue des Violettes i potem prosto jak strzeżeni ku Régence, gdzie się mieli spotkać z Walentyną.

— Na miłość boską, patronie — mówił Błażej — niechże pan poskromi swój podbródek.

— A co, bardzo mi lata?

— Ach, panie. Dlaczego pan o tym zawczasu nie pomyślał.

— Błażejku, wypilem na czczo pół buteleczki waleriany, po śniadaniu drugie pół, a i w ciągu nocy też łykałem. Jestem wprost przesiąknięty walerianą.

Mijali sklep zegarmistrza. Śpiący pod oknem rudy kot otworzył oczy, ziewnął, wstał i ruszył truchcikiem w ślad za nimi.

— I oto, mój chłopcze, idę teraz do jaskini zbójców, którzy zrobią ze mną, co będą chcieli.

* Jest większy od Bazyliki Św. Piotra. Sala des Pas-Perdus ma 97 metrów wysokości. Budował Poelart od 1866 do 1883 roku. (Przyp. red.)

— No, no, nie jest tak źle. Głowy panu nie urwą.

— Zawloką do więzienia.

— Nie zawloką. Avoué mówi, że w najgorszym razie dostanie pan trzy tygodnie aresztu z zawieszeniem.

Na rogu uliczki Św. Anny do rudego kota przyłączył się drugi, łaciaty. Przemykały się odtąd w przykładnej zgodzie podążając w trop za panem Ksawerym.

— Powiedz, Błażejku, czy taki sędzia, który ma mnie potępić, nie powinien był przedtem zająć do nas, na Petite rue des Bouchers, wypytać, porozmawiać, napić się z nami kawy i dopiero potem wyrokować?

— Widocznie do głowy mu to nie przyszło.

— I teraz będzie mnie sędził na podstawie papierków, paragrafów, z których każdy stara się pomniejszyć ludzką godność.

Nie wiadomo, skąd się wziął trzeci kot, wkrótce i czwarty. Posuwały się odtąd za panem Ksawerym wiernie, zapamiętałe. Szły w gromadce, wzdłuż ścian, bacząc, by im kto z przechodniów nie nadepnął na łapę.

Rue de la Régence była już blisko. Tam, przed owocarnią, miała na nich czekać Walentyna.

— Pomyśl, Błażejku — mówił pan Ksawery — czy nie powinno powstać międzynarodowe stowarzyszenie ludzi dobrej woli, ludzi silnych, niezłomnych, którzy by pewnej nocy podpalili wszystkie sądy i wszystkie kancelarie adwokackie na świecie? Pomyśl nad tym, mój chłopcze.

— Kto wie, może i warto pomyśleć. O, patronie, Walentyna już czeka.

Ślicznie była ubrana. Miała na głowie zawadiacki kapelus, który Błażejka rozweselił.

— Skąd tu tyle kotów? — spytała.

Szli teraz pod górę, wprost do Pałacu Sprawiedliwości. Ten okazały gmach zdawał się czekać, by ich wchłonąć. Tarasy, schody kamienne i jeszcze raz schody, kolumny doryckie, posągi. Pan Ksawery rad nierad rozpoznawał niektóre postacie. Oto Solon ze zmarszczonym czołem, obok stoi gaduła Likurg, dalej — nieznośny krzykacz Demoste-

nes i jeszcze jacyś starożytni juryści; na zakończenie Cy-
ceron.

„Boże, Boże — pomyślał — i to wszystko złożyło się ra-
zem, żeby ludziom zatruwać życie”.

Kiedy wchodzili do olbrzymiej sali des Pas-Perdus, za-
stąpił im drogę portier w granatowym uniformie ze złoco-
nymi guzami.

— Kotów nie wolno wprowadzać — oznajmił twardym
głosem.

Pan Ksawery dopiero teraz zauważył, że na jego tyłach
powstało kocie zbiegowisko. Było ich, z grubsza licząc,
chyba z tuzin. Zachowywały się spokojnie, jak gdyby z po-
korą, jak gdyby w oczekiwaniu na karesy. Walentyna
rzekła:

— Pierwszy raz w życiu widzę coś podobnego.

— Czyje to koty? — spytał portier.

Odpowiedzieli, że nie wiedzą. Pan Ksawery chciał się
przedstawić, odnalazł w portfelu wezwanie sądowe, por-
tier jednak nie słuchał jego słów. Przywoławszy do pomocy
kolegę, zajął się polowaniem na koty.

Po pięciu minutach obaj byli zziąjani, a koty gdzieś się
pochowały i nie można ich było odnaleźć. Kiedy zapanował
spokój, portier ze złotymi guzami rzekł:

— Okrycia, parasolki i laski proszę pozostawić w szatni.

— A gdzie szatnia? — spytał Błażej.

— Tam. Zaraz za szatnią jest kancelaria.

Podczas gdy rozmawiali z szatniarką, do pana Ksawerego
podpełzi rudy kot, ten od zegarmistrza, i zaczął się mi-
łośnie ocierać o jego spodnie.*

— Co on robi? — spytała Walentyna.

Zerknęła w lustro ścienne, poprawiła kapelusz, prze-

* Sprawa oddziaływania preparatów kozłkowych (*Vale-
riana officinalis*) na koty pozostaje nadal nie wyjaśnio-
na. Prof. Goris z fakultetu medycznego w Nancy wykrył
w świeżym korzeniu kozłka związek, który nazwał Chati-
ną, od słowa „chat”, kot. Jest to keton pyrylometrylowy.
(Przyp. red.)

niosła wzrok na Błażeja i uśmiechnęła się z uznaniem.
Wyglądał pięknie w marynarkowym garniturze od Zarem-
by z Trębackiej. Krawat miał cudowny. Stwierdziła
w zwierciadle, że tworzą parę dobraną i wielce malowni-
czą.

Panu Ksaweremu podbródek drżał coraz szybciej. Nie
było już przerw, tylko jedna bezustanna drgawka. Ten tik
mógł wzbudzić litość u obserwatorów postronnych. Bła-
żej szepnął do Walentyny:

— Patrz, co się dzieje z patronem.

— Tak, widzę. Może przez to sędziowie będą bardziej
łaskawi, bardziej pobłażliwi.

Skierowali się do kancelarii, gdzie czekał obrońca. Za-
wiadomił ich, że sprawa pana Ksawerego ma być rozpa-
trywana ostatnia i zacznie się przypuszczać, że jakiś
kwadrans. Dodał kilka słów na pokrzepienie ducha i od-
szedł.

Po opuszczeniu kancelarii musieli się rozdzielić. Walen-
tynę i Błażeja wprowadzono do poczekalni dla świadków,
a pan Ksawery, pożegnawszy przyjaciół trwożliwym spoj-
rzeniem, znikł za innymi drzwiami.

O czym tu rozmawiać, gdy za piętnaście minut patron ma
wystąpić przed sądem jako kłusownik?

— Ładnie dziś wyglądasz — rzekł Błażej.

— A ty jesteś wspaniała, mój przyjacielu.

Gawędzili o błahostkach, byle zabić czas. Wezwano ich
wreszcie do sali nr 12a.

— Żle jest — powiedziała Walentyna — dwanaście z li-
terą „a” to przecież trzynastka. Tak oznaczają pokoje w pen-
sjonatach, nie wiedziałam, że i w Pałacu Sprawiedliwości.

Kiedy wchodzili, wyminął ich woźny z kotem na ręku.
Stworzenie stawiało opór zdradzając wyraźną chęć powro-
tu na salę rozpraw.

Weszli, rozejrzeli się dokoła. Był tam długi stół zasłany
zielonym sukniem. Za tym pasmem zieleni siedzieli trzej sę-
dziowie w czarnych kitlach i czarnych myckach. Ten środ-
kowy miał na szyi łańcuch z emaliowanym lwem. Nad gło-
wami sędziów czuwał we wnęce gipsowy król Albert.

A pan Ksawery siedzący na ławie oskarżonych, to właściwie nie był już pan Ksawery, tylko kupka rozdygotanej galarety. Błażejek zauważył, że oprócz podbródka drga mu jeszcze jabłko Adama. Odwrócił oczy, nie mógł na to patrzeć.

— Panie Vandestraaten — przemówił do woźnego zirygowany sędzia — żeby mi tu więcej kotów nie było.

Po kilku minutach wywołano Błażeja. Podszedł do stołu, podniósł rękę i przysiągł, że powie prawdę, tylko prawdę, nic prócz prawdy. Zapytany o błyszkę oświadczył, iż kupił ją w Gandawie na Marché-aux-Grains i ofiarował oskarżonemu. Czy wiedział o zakazie łowienia ryb na błyszkę? Nie, nie wiedział. Czy w sklepie nie uprzedzono go o tym? Nie, nie uprzedzono. Wystarczy, następny świadek.

Kiedy Walentyna zaczęła składać zeznania, ktoś niebacznie uchylił drzwi i w tejże chwili wśliznęły się na salę sądową dwa koty, a trzeci zabeczkał na korytarzu.

— Panie Vandestraaten — huknął sędzia — proszę usunąć z trybunału wszystkie czworonogi!

Był czerwony z gniewu, szeptał coś z siedzącymi po bokach podsędkami.

Przyszła kolej na obrońcę. Wytrawny ten adwokat doskonale wiedział, że zanudzenie sądu długą mową mogłoby ściągnąć niepożądane skutki. Przypomniawszy więc tylko, że oskarżony jest cudzoziemcem, że choć nieznaną osobą nikogo nie usprawiedliwia, w tym jednak wypadku zwykła życzliwość ludzka wskazuje na okoliczności łagodzące. Zakończył krótkim apelem o łagodny wyrok.

Trójka sędziów zaczęła coś szeptać. Podczas tych narad na korytarzu dało się słyszeć pokorne miauczenie, jakby prośba o otwarcie drzwi. Główny sędzia, ten z lwem na łańcuchu, obrzucił woźnego nieufnym spojrzeniem.

— Tak, tak, panie sędzio, ja pilnuję.

Za zielonym stolikiem sędziowie znów poszeptali i oto padło zwykle w takich wypadkach wezwanie:

— Oskarżony ma ostatnie słowo; proszę wstać i mówić. Pan Ksawery dźwignął się z ławy, wsparł się rękami

o barierę, spojrzął na Walentynę i Błażejka. A potem grdyka mu nabrzmiała i nagle zapiał fałsetem:

— Cocorico!

*

Był zamęt. Sędziowie pozrywali się z miejsc. Pan Ksawery zasnął. Ułożono go na ławie. Jeden z podsędków wybiegł do przyległego pokoju. Po chwili ktoś stamtąd zaczął gwałtownie telefonować wywołując różne numery. Usunięto z sali publiczność. Woźny po kilkakroć powtarzał:

— Proszę wychodzić, zamykamy! Alleye, alleye, circuleye!

*

Stali na tarasie Pałacu Sprawiedliwości. Widzieli, jak zajeżdżała karetka sanitarna, widzieli, jak odjeżdżała.

— No, to możemy stąd odejść — rzekł Błażej.

— Tak, możemy.

Spojrzał na nią i coś zauważył.

— Masz puder?

— Tak.

— Przypudruj sobie buzię.

*

Walentynę, która była sierotą, utrzymywał od dziesięciu lat zamożny wujaszek, dr Józef Ekels. Mieszkał w nowoczesnej dzielnicy opodal avenue Louise, gdzie miał willę z zadrzewionym ogrodem. Hodował w nim wiewiórki, jeże i greckie żółwie, a dla zaskrońców, żab i chińskich karasków zbudował basen z wymyślnym wodotryskiem. Jako psychiatra niczemu się nie dziwił, a jako człowiek bezżenny nie miał kłopotów domowych i nie ukrywał zadowolenia z celibatu. Koledzy żartowali, że to początki euforii. Doktor Ekels spokojnie odpowiadał, że wcześniej czy później i tak dostanie lekkiego bzika (dla klinicysty zwykły porządek rzeczy), a mając do wyboru różne odchylenia od normy, chętnie powita euforię.

Hodując zwierzaki w swym ogrodzie, doktor Ekels dobrze wiedział, co robi. Chwile spędzane w towarzystwie wiewiórek, jeży, płazów i gadów były najlepszą odtrutką na atmosferę obłędu, z którą się stykał.

Teraz właśnie dr Józef Ekels obserwował zaskrońca. Przed chwilą położył na piaszczystym brzegu sadzawki gołębie jajo i czekał, co dalej nastąpi. Wąż, zabierając się do spożycia posiłku, opasał jajo ogonem i zaczął je ślinić. Jego czarny rozdwojony język drgał tak szybko, że stał się prawie niedostrzegalny, wyglądał jak mglista kreska.

Od ulicy ktoś zadzwonił. Doktor Ekels podniósł głowę nasłuchując, czy się odezwie gospodyni. Tak, schodziła z pierwszego piętra. Doktor pochylił się nad węzem. Jajko było już powleczone warstwą śliny, która przypominała delikatną piankę.

— Witaj, wujaszku!

— A, to ty, Walentyno. Chodź no tu bliżej, chodź, popatrz, co się dzieje.

Objęła go za szyję i pocałowała.

— Wujaszku, przyszedł cię o coś prosić.

— Doskonale, możesz opowiadać. Spójrz, otwiera pyszczek.

— Czy on zamierza to jajo połknąć? Nie, wuju, nie uwierzę.

— Połknie, zaraz się przekonasz.

— Mój wuju, jeden starszy pan stawał przed sądem za łapanie ryb na błyskę. To taka wędka, której nie wolno używać na wodach publicznych. Oskarżono go o kłusownictwo. A teraz siedzi w komunalnym szpitalu psychiatrycznym w Montigny, jest pod obserwacją.

— Ale za co siedzi? Chyba nie za pasję do ryb. Cóż on takiego zrobił? Spójrz, rozsuwa szczęki, chowa język.

— Wujaszku, zupełny drobiazg. Właściwie nic nie zrobił, tylko zapał jak kogut, zawołał „Cocorico!”

— W sądzie?

— Tak, w sądzie, kiedy go wezwano, żeby wypowiedział ostatnie słowo.

— O, to niedobrze. Sędziowie tego nie lubią, psychiatrzy też nie lubią.

— Przyszedł cię prosić, wujaszku, żebyś go wydobył z Montigny.

— Spójrz, Walentyno, objął pyszczkiem pół jajka, teraz zacznie wchłaniać. Zwróć uwagę, obie szczęki są luźne, rozsuwalne. Widzisz?

— Tak, wujaszku, widzę.

— Chciałabyś wyreklamować tamtego wędkarza. No cóż, w pewnych wypadkach można przenieść chorego do prywatnej lecznicy, choćby do willi „Pervenche”, gdzie pracuję. Patrz, już połknął dwie trzecie jajka, aż się skręca z wysiłku.

— Wujaszku, wujaszku, muszę ci się przyznać. Mam chłopca.

— Spodziewałem się tego. Czy aby przyjemny?

— Och, wuju, cudowny chłopak. Ale dlaczego się na mnie nic a nic nie gniewasz?

— Moje dziecko, taka jędrna dziewczyna, jak ty, nie mogła się ostać. Jedyne zmartwienie, że już sobie nie wpleciesz barwinku we włosy*.

— Wujaszku, ten starszy pan, co zawołał „Cocorico”, jest wychowawcą mego chłopca. Dlatego przybiegłam do ciebie. Pomożesz nam, prawda?

Gdzieś w głębi domu zadźwięczał gong.

— Wzywają nas na obiad — rzekł doktor. — Patrz, jajko znikło, teraz zacznie się przesuwac wzdłuż przelyku. Chodź, Walentyno, opowiesz mi przy stole o swoim chłopcu i o zdrowiu tamtego pana.

*

Spotkanie nastąpiło w kawiarni i miało rzeczowy przebieg. Doktor Ekels obrzucił Błażeja szybkim spojrzeniem,

* Aluzja do tradycyjnego święta cnoty w Bouvignes nad Mozą. Wyróżnione przez burmistrza dziewczęta wplatają sobie we włosy gałązki barwinku. (Przyp. red.)

uśmiechnął się do Walentyny i zaraz zaczął mówić o panu Ksawerym.

— Wyniki wstępnych badań — rzekł — nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Byłem dziś rano w Montigny, rozmawiałem godzinę z chorym, przeglądałem testy i muszę się zgodzić z moimi kolegami, że równowaga psychiczna jest nieco zachwiana. Radziłbym, niech chory tam pozostaje aż do otrzymania urzędowego certyfikatu, który zapobiegnie wznowieniu sprawy sądowej.

— A potem, wuju? — spytała Walentyna.

— Potem zabierzemy go do willi „Pervenche” i zrobimy wszystko, co się da zrobić.

— Jesteś najmiłszy z wujaszków całego świata.

Doktor przypomniał im, że jutro jest dzień odwiedzin chorych, mogą więc jechać do Montigny i spędzić parę godzin w tamtejszym parku. Radio zapowiada piękną pogodę.

— Doktorze — odezwał się Błażej — to ja jestem sprawcą całego nieszczęścia. Opowiadałem memu mentorowi o pewnym szambelanie papieskim, który przewodnicząc na zebraniach wykrzykiwał „Cocorico”. Nie rozumiem, dlaczego mentor tak się tym przejął, że aż sam zapał wobec sędziów.

— Mój przyjacielu — odpowiedział dr Ekels — stałeś się być może jego dobrodziejem. Mógł wybrać gorszą monomanię.

— Aha, wuju — wtrąciła Walentyna. — Zwróć uwagę na podbródek, coraz bardziej mu skacze.

— To drobiazg, zauważyłem, wystarczy hydroterapia. Czy macie we wtorek wolny wieczór? Moja kucharka lubi uroczyste popisy.

*

Pojechali kolejką wąskotorową, która w urzędowym rozkładzie jazdy nosi nazwę Sąsiedzkiej Kolei Żelaznej (Chemin de Fer Vicinal) i tym się odznacza, że nie tylko gwizdże, ale i dzwoni, chrzęści, zgrzyta, chrobocze, a wagoniki beztrąsco podskakują.

Walentyna i Błażej wieźli pomarańcze, banany, czekoladę, wodę kolońską, papierosy, książki, gazety, wszystko dla pana Ksawerego. Zastali go w zadrzewionym ogrodzie, gdzie grał pod lipą w szachy z mężem przybranym w kurtę wojskową z licznymi orderami.

Na widok gości pan Ksawery zamachał wesoło ręką i chciał powstać, ale partner powstrzymał go surowym gestem.

— Witamy, patronie — zaszczębiotała Walentyna.

— Proszę nam nie przeszkadzać — warknął partner.

Ksawery spojrzał na nich błagalnie, jak gdyby się usprawiedliwiając ze swej niemocy. Szybko przesunął bierki na kratkowanym stoliku, byle prędzej skończyć. Wkrótce oznajmił, że się poddaje. Partner podał mu rękę.

— To do jutra. Proszę się zameldować u mego adiutanta. I odszedł żołnierskim krokiem.

— Wybaczcie — rzekł pan Ksawery — ten pocziwina wyobraża sobie, że jest marszałkiem Fochem. Lepiej go nie drażnić.

Dziękował za przywieziony gościniec, cieszył się zwłaszcza z papierosów „Arax”, których nie znalazł w kantynie.

— Byłem pewny, że mnie dziś odwiedzicie.

— Patronie — Błażej mówił cicho, ze wzruszeniem — czy dobrze się z panem obchodzą?

— Nie mogę narzekać, wszyscy tu są grzeczni.

— A jak pan się czuje?

— No cóż, moi drodzy, jestem w domu wariatów pod obserwacją. Doktorzy badają mnie codziennie przed południem. Dziś, ponieważ wypadły odwiedziny chorych, przesłuchano mnie zaraz po śniadaniu.

— Jakże się to odbywa?

— Ach, Błażejku, śmiechu warte. Naprzód kazali mi liczyć od jednego do stu i z powrotem. Potem egzaminowali mnie z tabliczki mnożenia. Potem zaczęli mi zadawać coraz trudniejsze zadania arytmetyczne z mnożeniem i dzieleniem, wszystko w pamięci bez ołówka. Kiedy się przekonali, że jestem lepszym od nich matematykiem, przeszli do pogaduszek z innych dziedzin. Wczoraj przyplątał się jakiś

obcy lekarz, którego widziałem po raz pierwszy, i przez dłuższy czas zabawiał mnie rozmową. Opowiadał wesoło o wiewiórkach i żółwiach. Potem ni z tego, ni z owego zagadnął, czy przeżyłem kiedy katastrofę na kolei żelaznej. Zapewnił mnie, że podczas mijanek na stacjach ulegają często rozbiciu ostatnie wagony. „Jak pan myśli, spytał, może by warto odczepiać ostatni wagon przed wyruszeniem pociągu w drogę?”

Pan Ksawery śmiał się z prostoduszności lekarza.

— Nie jest tu źle — zapewnił — mowy nie ma o nudach. Melancholików trzymają oddzielnie, a w tej części ogrodu są przeważnie wybitne osobistości, choćby marszałek Foch, z którym grywam w szachy. Przykry jest tylko ciągly nadzór. O, spójrzcie, tam stoi jeden z takich, wygląda niewinnie, jak listonosz. Drażni mnie też brak klamek. Jeżeli kto chce wyjść na korytarz albo przejść z pokoju do pokoju, musi dzwonić. Cóż, potrzymają mnie tu podobno dwa tygodnie i puszczą. A wtedy, moi drodzy, zabieram manatki i jadę do Warszawy.

— Chce pan nas porzucić? — spytała Walentyna.

— Tak — odparł — trzeba przełamać złą passę. Spotykają mnie same klęski. We Vlissingen dostałem wyrok, choć byłem niewinny; w Gandawie tłukli mnie parasolami okrutni mieszczanie; w Dendermonde nabito mi guza; w Mons porwano Błażejka i ostrzyżono mu włosy; potem był przypadek ze źródłem ojca Pirotte, a teraz mnie skarżą o kłusownictwo i zamykają w domu wariatów.

Przy ostatnich słowach pan Ksawery zająknął się, gdyż podbródek silnie mu dygotał. Walentyna spojrzawsza porozumiewawczo na Błażeja, wyjęła z torebki lusterko i rzekła:

— Patronie, niech no się pan przejrzy.

— Widzę, broda mi lata.

— Ma pan chore nerwy, trzeba się leczyć. Zamówiliśmy dla pana pokój w willi „Pervenche” pod Tervurem. To taki prywatny dom wypoczynkowy z hydropatią. Mój wuj jest tam lekarzem. Rozmawiałam z nim. Obiecał, że się panem zaopiekuje.

— Moi drodzy, czy nie odpocząłbym lepiej na Petite rue des Bouchers?

Zabrał głos Błażej:

— Patronie, to nie są żarty. Przecie z takim nerwowym tikiem ludziom na oczy wstyd się pokazać. I pan chce wracać do Warszawy? Wolne żarty, patronie. Wydawca senników czmychnie na pański widok. Trzeba się leczyć.

ROZDZIAŁ XXII

Willa „Pervenche”. — Kwiaty na biurku patrona. — Koniec roku szkolnego. — Komisyjne otwarcie cudzego listu. — Kuba Schroetter daje wykrętne odpowiedzi. — Pułkownik Bodineau na ekranie. — Wielki wstrząs. — Kaskada Franchimont. — I znów są razem.

Oglądana z avenue de Tervuren willa „Pervenche” niczym się nie różniła od pobliskich rezydencji zamożnych mieszczan brukselskich. Nikt by nie zgadł, że mieści się w niej szpital psychiatryczny. Nawet tabliczka obok kutej w żelazie bramy była dyskretna; wymieniała tylko nazwę posesji i nic więcej.

Pan Ksawery siedział tam od paru tygodni. Przez ten czas zaadministrowano mu kilka wstrząsów elektrycznych, od których tracił przytomność. Przechodził też kurację hydropatyczną, początkowo łagodną, potem ostrą z zastosowaniem tzw. biczów wodnych „chaud-froid” z szybką przemianą temperatury wody od lodowatej do gorącej.

Co do rygorów w willi „Pervenche”, to pan Ksawery z rozczarowaniem stwierdził, że niewiele się różnią od istniejących w szpitalu komunalnym w Montigny. I tu drzwi były bez klamek, i tu dawał się odczuć nieustanny nadzór, może mniej rzucający się w oczy, ale na pewno równie skuteczny.

Doktor Józef Ekels często przechadzał się po parku z panem Ksawerym. Prowadzili ożywione rozmowy. Zdarzało się czasem, że zapraszał go do swego gabinetu, tam kładł go na otomany, podsuwał mu pod głowę poduszkę i mówił:

— Niech pan opowiada, co pan chce, coś ze swojego życia, o dzieciństwie, o szkole, o przygodach.

Przyćmiewał światło, jeżeli był wieczór, albo opuszczał w oknach zasłony, jeżeli był dzień. Sam siadał przy biurku, z dala od otomany.

Pan Ksawery, ponieważ z zamilowania był gadułą, mówił o wszystkim, mówił wesoło albo rzewnie, skakał z tematu na temat, zwierzał się z trosk i niepokojów. Opowiadał o zniewadze, jaka go spotkała ze strony ojca jego ucznia, o poszukiwaniu zarobku, o skutecznej pomocy pułkownika Gastona Bodineau, o rozwikłaniu trudności z horoskopami, o fermie Prospera Pirotte i o lekkomyślnym wyspaniu soli do sadzawki.

Innym razem pan Ksawery sam zaczął mówić o skutkach tego postępu, o kupnie fermy przez pułkownika Bodineau i o wierceniach w poszukiwaniu wody mineralnej. Tak się tymi zwierzeniami przejął, że zaszlochał. Doktor Ekels przerwał seans, uspokoił pacjenta i wyprowadził do ogrodu.

Po kilku dniach wznowili poufne gawędy. Doktor słuchał, od czasu do czasu coś nieznacznie notował. Rozmowy kończyły się najczęściej ubolewaniem pana Ksawerego, że stał się sprawcą katastrofalnej dla pułkownika transakcji finansowej.

*

Smutek zapanował na Petite rue des Bouchers. Błażej po raz pierwszy w życiu miał teraz kłopoty pieniężne, gdyż kuracja w willi „Pervenche” okazała się kosztowna. Na szczęście Walentyna była przytomną dziewczyną i w porę go namówiła, żeby wzmógł reklamę horoskopów w amerykańskich czasopismach. Wpłacił więc zaliczkę na drobne ogłoszenia w niezawodnym „Ameryka-Echo”.

W pierwszy wtorek czerwcowy Walentyna i Błażej odwiedzili doktora Ekelsa. Spodziewał się najwidoczniej, że przyjdą razem, gdyż wyszedł na ich powitanie wymachując najświeższym numerem „A Quoi Bon?”.

— Na Boga — zawołał — jak wy to robicie, panowie mustykerzy, że nikt do was nie strzela?

— Korzystamy — odpowiedział Błażej — z mądrych wskazówek mojego wychowawcy.

Przy stole doktor Ekels omówił szczegółowo przebieg kuracji w willi „Pervenche” i tak zakończył:

— Nerwy chorego doprowadziliśmy do porządku, podbródek już mu nie skacze. Co do sfery psychicznej, to po wstrząsach elektrycznych nastąpiła w zdrowiu wyraźna poprawa. Bóle głowy minęły, sen stał się normalny.

— Wujaszku — spytała Walentyna — czy można go uważać za wyleczonego, czy już nie zapieje jak kogut? Jednym słowem, czy można go już zabrać?

Doktor Ekels zamyslił się, spojrzal w otwarte okno od ogrodu. Na framudze siedziała wiewiórka. Sięgnął do kieszeni, wyjął kilka orzechów laskowych i rzucił na dywan. Wiewiórka zeskoczyła z okna.

— Skąd one tu się biorą? — zagadnął Błażej.

— Z lasu de la Cambre, wędrują alejami po drzewach.

— Widzę, wujaszku — rzekła Walentyna — że sami nie bardzo wiecie, co dalej robić z panem Ksawerym.

— Moje dziecko — doktor Ekels spowaźniał i już nie patrzył na wiewiórkę — sprawa przedstawia się tak, że można by pacjenta w każdej chwili odesłać do domu. Ale co będzie dalej, to masz słuszność, nie wiemy. Jest pewna udreka, która niszczy mu zdrowie.

— Sprawa źródła we Franchimont?

— Tak, i tu muszę się przyznać, że jestem bezsilny. Na wyrzuty sumienia nie ma leków.

Zastanawiali się nad dalszym postępowaniem. Zabierać chorego, czy nie zabierać? Doktor Ekels oznajmił;

— Wolałbym poleczyć go jeszcze sugestią, żeby zapobiec melancholii. Kto wie, może utrafię w taką nutę, która wywoła przełom.

Walentyna i Błażej nie chcieli rezygnować z nadziei. Pozostawili pana Ksawerego na czas nieokreślony w willi „Pervenche”.

Rok szkolny dobiegł końca. Błażej, choć uczył się bezplanowo i często opuszczał wykłady, zdał interogacje ze

średnią na czternastkę*, co nie było źle. Walentyna pozda-
wała wszystkie przedmioty z wynikami znacznie lepszymi
i zdobyła tzw. dystynkcję.

*
• Mieli teraz dużo wolnego czasu. Ponieważ w willi „Per-
venche” nie było surowych przepisów dla odwiedzających,
mogli przyjeżdżać do pana Ksawerego o każdej porze
dnia.

Po serii takich spotkań zauważyli, że ich rozmowy z cho-
rym stają się coraz bardziej oderwane od życia, od chwili
bieżącej. Były tematy, o których woleli nie myśleć i nie
wspominać. Pan Ksawery, jak się zdaje, odczuwał to samo,
gdyż nie zadawał im kłopotliwych pytań i nie prosił o przy-
wrócenie mu wolności. Raz tylko, pochwaliwszy Walentynę
za otrzymanie dystynkcji w konserwatorium, westchnął;

— Ach, dzieci, to już wkrótce będzie rocznica, jakeśmy
wypłynęli z Hoeke na „Belle Toinette”.

*
Pewnego ranka Błażej i Walentyna wstąpili do anty-
kwarni, by przejrzeć książkowe rupiecie. Znaleźli anoni-
mową broszurkę z roku 1882 pod oryginalnym tytułem
„Chronique scandaleuse des poivrots bruxellois avec choix
complet de leurs gouttes favorites”**.

— Musimy kupić — rzekł Błażej.

— Tak — zgodziła się Walentyna. — Z tego byłby dobry
upominek dla Kuby.

— A wiesz, to jest myśl. Zagadnę go przy sposobności
o pompejańską eskapadę.

* Postępy w naukach notuje się w Belgii liczbami od 1
do 20; nadto każdy przedmiot posiada tak zwany współ-
czynnik ważności (coefficient de l'importance). Obliczenia
są zagniatwane. (Przyp. red.)

** Skandaliczna kronika moczygębów brukselskich z peł-
nym wyborem ich ulubionych trunków. (Przyp. red.)

Walentyna znalazła w „Le Soir” notatkę o pułkowniku Bodineau. Dawano w niej do zrozumienia, że sprawa wierceń jest beznadziejna. Pułkownik zerwał ostatecznie z geologami i zaufał, jak się wyrażała gazeta, czynnikom supranaturalnym. W towarzystwie różdżkarza włóczy się po posesji, opukuje skały i traci pieniądze na żłobienie poziomych otworów przy pomocy świdra pędzonego silnikiem elektrycznym.

Zupełnie poważnie zastanawiali się Błażej i Walentyna, co dalej robić. Może by należało jechać do Franchimont i szczerze porozmawiać z pułkownikiem? W mieszkaniu na Petite rue des Bouchers leżał na biurku pana Ksawerego list ze stemplem poczty w Theux. Był to niewątpliwie list od pułkownika. Mógł zawierać wieści pokrzepiające, mógł też przynosić wieści klęskowe. Nie śmieli go więc doręczyć adresatowi, by nie spowodować jakiego nieszczęścia.

Pewnego popołudnia Walentyna rzekła do Błażeja:

— Postąpiłam bez twojej wiedzy, ale chyba nie będziesz się gniewał. Zatelefonowałam do wujaszka i opowiedziałam mu o liście z Theux. Wuj mówi, że koniecznie trzeba otworzyć i przeczytać. Chce, żebyśmy przyszedli do niego z listem dziś wieczór. Otworzymy, powiada, przeczytamy, a gdyby nie można było doręczyć panu Ksaweremu, to włożymy wszystko do mocnej koperty i zalakujemy. Ty, Błażejku, i ja mamy się podpisać jako świadkowie komisijnego otwarcia cudzej korespondencji.

*

Odczytanie listu wstrząsnęło Błażejem. Dowiedział się o rzeczach, których nie podejrzewał. Wynikało z treści, iż jest to replika na poufną wypowiedź pana Ksawerego, na jego prośbę o darowanie mu winy.

Ale, co najciekawsze, pułkownik dawał do zrozumienia, że nie bardzo wierzy w opowieść o zasoleniu źródła ojca Pirotte, że skłonny jest ją uważać za próbę życzliwej interwencji w celu zahamowania dalszych wierceń.

„Zapewniam drogiego pana — pisał pułkownik — że zdaję sobie sprawę z tego, co robię. Wiedza naszych geologów bywa niestety zawodna. Sam się o tym niedawno przekonałem. Z drugiej zaś strony wiem z całą pewnością, że różdżkarze w warunkach sprzyjających osiągają wyniki kapitalne. W miejscowości Aquas Calientes w Meksyku, gdzie stał mój sztab, byłem świadkiem wytrysku wody mineralnej w miejscu wskazanym przez różdżkarza. Przyjmij więc, drogi Panie, do wiadomości, że wierceń nie zaniecham. Z wiarą w szczęśliwe zakończenie, postanowiłem roboty przyspieszyć, nadałem im przed kilku dniami o wiele żywsze tempo. Cenny list pański jest dla mnie dowodem głębokiej troski i przyjaźni. Jakże mam nań odpowiedzieć? Chyba zapewnieniem, że znalazł Pan we mnie równie wiernego i oddanego przyjaciela”.

— Tego panu Ksaweremu nie można pokazać — odezwała się Walentyna.

— Oczywiście że nie — przytaknął doktor Ekels.

Wstał, podszedł do szafki, pogrzebał chwilę i wrócił z dużą kopertą podklejoną płótnem.

— Sporządzimy protokół — rzekł.

Przez otwarte okno zajrzała wiewiórka. Doktor cmoknął na nią, zagrzechał orzechami w kieszeni. Wskoczyła, siadła na otomanie.

— Kto się podpisze pierwszy? — spytał doktor.

— Mogę ja — odpowiedział Błażej — niech się na mnie skrupi gniew pana Ksawerego, jeżeli kiedykolwiek zapozna się z tym listem.

*

Po przeczytaniu „Skandalicznej kroniki moczygębów brukselskich” Błażej wsiadł do tramwaju, który go zawiózł na przedmieście Anderlecht.

W fabryce likierów, w dyrektorskim pokoju, nad głową samego dyrektora wisiała złota ramka, a w ramce za szkłem Błażej odczytał treść depeszy wysłanej z hotelu „Palace”.

— Z czego szanowny gość tak się śmieje? — spytał Kuba.

— Z pijaków, że im się chciało wysyłać depeszę.

— To są znawcy, ocenili, co dobre.

Rozmawiając w cztery oczy, przez szerokość biurka, z fabrykantem likierów, Błażej przyjrzał mu się uważnie i doszedł do wniosku, że prawdziwy Kuba znacznie się różni od tamtego z powieści. Po pierwsze nie jest blondynem, po drugie jego uroda na pewno nie skłoniła spacerujących po forum pompejanek do westchnień: „Bogi, jakież on piękny”.

— Co mi się tak przyglądasz? — zagadnął Kuba.

— Zastanawiam się właśnie nad twoim sexappealem. Jeżeli to prawda, że pompejańskie panny...

— No, no — przerwał Kuba — lepiej wypijmy za nasze zdrowie.

Podniósł się z dyrektorskiego fotela i podszedł do szafki, w której stały rzędem firmowe butelki tudzież kieliszki różnego kształtu. O pompejańskich przygodach nie chciał rozmawiać. Na natarczywe pytania Błażeja coś tam mruzczał, burczał, fukał, bąkał, mamrotał i zawsze tym się kwestia kończyła, że dolewał jeszcze jeden kieliszek.

*

Kiedy Błażej opowiedział Walentynie o złoconej ramce nad biurkiem Kuby, spąsowiała z silnego wrażenia.

— Wiesz — rzekła — to było pierwsze i jedyne „zwanze” w moim życiu. Nigdy dotąd nie miałam śmiałości. Dziękuję ci, żeś mnie zachęcił i dopomógł.

*

Wraz z końcem roku szkolnego trzej mustykierowie postanowili zawiesić wydawnictwo „A Quoi Bon?” na okres letnich upałów. Zebrali się więc przy redakcyjnym stoliku w „Café Réal”, po raz ostatni w tym sezonie, aby omówić bieżące sprawy. Błażej przyprowadził Walentynę, a naczel-

ny redaktor przyszedł z panną Babette, która po pamiętnym felietonie w „Poires crues” zyskała zupełną swobodę ruchów.

Obgadali co należało, umówili się na następne spotkanie we wrześniu i każdy z redaktorów poszedł w swoją stronę. Walentyna i Błażej, nie mając nic lepszego do roboty, postanowili odwiedzić „Cinéma-Actualités”. Było to nowe kino opodal Gare du Nord przeznaczone dla podróżnych oczekujących na pociągi i dlatego czynne przez całą dobę. Zamiast się nudzić w bufecie kolejowym, każdy mógł wyjść na place Rogier, przejść przez jezdnię i był już w kinie, gdzie nie wyświetlano ani dramatów, ani komedii, tylko gmatwaninę krótkometrażówek bez żadnego porządku i ładu.

Właściciele innych kin wzruszali na to z pogardą ramionami. Mówili, że „Cinéma-Actualités” jest to wielki śmietnik, do którego operatorzy kinowi wrzucają wszelkie odpadki. Zdaje się, była w tym część prawdy. Programy w nowym kinie uzupełniano codziennie świeżymi zdjęciami z kraju i zagranicy. Na miejsce mniej aktualnych przychodziły ostatnie nowości. Nikt nie miał więc czasu na surową selekcję filmów.

Kiedy Walentyna i Błażej zajęli miejsca, pokazywano zabawną kreskówkę Disneya o kurczątku, które się wyległo wraz z kaczkami i na próżno usiłuje pływać jak i one. Potem były zdjęcia z wyspy w delcie Rodanu, gdzie jedyni w Europie kowboje chwytają na laso półdzikie konie i bydło. Potem defilowały modelki z salonu mód; kroczyły dumne, wyprostowane, uśmiechały się do widzów. Potem przemknęły przez ekran samochody z jakiegoś wyścigu; jeden z nich się rozbił, pokazano martwego kierowcę. Potem widać było, jak z nasienia kielkuje powój ogrodowy, jak rośnie w oczach, jak wyciąga macki i czepia się żelaznych krat balkonu. Wreszcie zaczęto wyświetlać rzecz najważniejszą, dziennik, czyli obiecane przez nazwę kina aktualności. Rozległ się głos spikera:

— Przedstawiamy państwu pułkownika Gastona Bodineau, szczęśliwego nabywcę femmy w Ardenach. Na terenie

tej fermy, w miasteczku Franchimont, wytrysło gorące źródło mineralne, które, jak się zdaje, ma przed sobą nie-lada przyszłość.

Walentyna uszczypnęła Błażeja w łokieć.

— Uważaj.

— Tak, tak, uważam.

Z ekranu kłaniał się publiczności pułkownik Bodineau. Był ubrany w kurtę myśliwską, długie buty, trzymał na smyczy psa.

Głos spikera: — Nasz korespondent przeprowadził z pułkownikiem krótką rozmowę, którą pozwalamy sobie od-tworzyć.

Reporter: — W jaki sposób pan odgadł, panie pułkow-niku, że w tej właśnie skale znajduje się żyła gorącej wody?

Pułkownik: — Ja nie odgadłem. Zaprosiłem ródźkarza, pana Celestyna Lapoulette, który po kilku seansach ściśle określili miejsce. Oto on, pan Lapoulette.

Reporter: — Proszę bliżej, trochę bliżej, o tu. Panie Lapoulette, jak to się stało, że pan tak ładnie trafił?

Lapoulette: — Zwyczajnie, przy pomocy ródźki.

Reporter: — Z czego była zrobiona ta ródźka?

Lapoulette: — Z gałązki bzu.

Reporter (do pułkownika) — Jaka jest temperatura źródlanej wody?

Pułkownik: — Trzydzieści siedem i cztery dziesiąte stopnia Celsjusza.

Reporter: — Czy pan uważa, panie pułkowniku, że to będzie miało jakieś znaczenie w terapii?

Pułkownik: — Olbrzymie, kolosalne. Moje źródło jest w Europie jedynym źródłem mineralnym o temperaturze podgorączkowej. Tak, powtarzam, o temperaturze podgo-rączkowej.

Reporter: — Dziękuję panu.

Na ekranie pokazano jeszcze, jak woda tryska ze ska-ly tworząc kaskadę, jak spływa po dziedzińcu, jak so-bie wywalcza ujście do rzeki. Walentyna zerwała się z miejsca.

— Chodź, Błażejku, prędko.

— Dokąd chcesz iść?

— Zatelefonujemy do wujaszka.

*

Kiedy się doktor Ekels dowiedział od Walentyny o zdję-ciach wyświetlanych w „Ciména-Actualités”, zawołał:

— No to go teraz wyleczymy, już nam się nie wymknie. Przygotujcie wszystko, żeby mógł wrócić.

— Ach, wujaszku, nawet kwiaty stoją na jego biurku.

Po rozmowie z Walentyną doktor Ekels wsiadł do samo-chodu i pojechał na place Rogier do kina. Chciał się prze-konać na własne oczy, jak to wszystko wygląda. Z filmu był rad, był bardzo rad.

Nazajutrz rano, znalazłszy się w willi „Pervenche”, we-zwał pomocników i miał z nimi krótką rozmowę. Pana Ksawerego poddano chłóście wodnej „chaud-froid”, potem ugniatali go dwaj masażyści, potem zawinięto go w koc i na zakończenie wytarto go szorstką rękawicą zwilżoną spirytusem. Po tej serii zabiegów pan Ksawery poczuł się jak młody żreback.

— Drogi panie — rzekł doktor Ekels — w zdrowiu pań-skim widzę tak znaczną poprawę, że chyba się wybierze-my na jaki spacer. Wstąpimy do kawiarni, kto wie, może i do kina. Proszę się starannie ogolić, proszę włożyć naj-lepszy garnitur, bo zaraz po obiedzie jedziemy do mia-sta.

*

Tego dnia auto doktora Ekelsa jeszcze dwa razy mknęło po szosie Tervuren—Bruksela i z powrotem. W rezultacie o godzinie szóstej wieczór pan Ksawery znalazł się w kinie, potem zajechał na Petite rue des Bouchers, a o pół do ósmej zasiadł do kolacji w towarzystwie Błażeja i Walen-tyny.

Był zdrów, był wyleczony z niedomagań psychicznych,

nerwowych i cielesnych. Na jego powitanie Dikke Mee przygotowała „waterzoie”, coś w rodzaju kury w rosole.

— Moje drogie dzieci — mówił pan Ksawery — posiedzę z wami kilka dni, żeby się otrząsnąć po tamtych wariatach, a potem wsiadam do pociągu i jadę do Warszawy. Muszę wykończyć nowy sennik, to bardzo ważne, a poza tym wzywają mnie przyjaciele, którzy stęsknili się za mną.

— Niech pan zostanie z nami na lato — prosiła Walentyna — Błażej ma zabawny pomysł.

— Jaki pomysł?

— O, co to, to nie — zawołał Błażej. — Na razie nie powiem, bo mógłbym sprawę zapeszyć. Dowie się pan jutro albo pojutrze.

Ksawery przyznał mu słuszość i sięgnął po nową porcję kurzych podróbek.

*

Kanał był prosty jak strzełi. Filomena stapała z majestatyczną powagą. Pilnujący steru pan Ksawery z zachwytem patrzył na Walentynę i Błażeja, na ich opalone, połyskujące ciała.

— Wyglądacie — przemówił — jak gdyby was namaszczono oliwą.

Dodał, że taki połysk skóry ceniono niegdyś w Atenach, pocytywano za przejaw zdrowia i tężyzny fizycznej. Kto nie błyszczał sam przez się, ten się uciekał do pomocy oliwy.

Jadący wzdłuż kanału rowerzysta-listonosz zawołał:

— Hé, „La Belle Toinette” mam coś dla was!

Rzucił na pokład związaną sznurkiem paczkę korespondencji, powiedział „Bonne chance” i pomknął dalej.

Pan Ksawery przyciągnął paczkę nogą, oparł się ramieniem o ster i zaczął przeglądać pocztę. Amerykańskie listy wsunął do kieszeni, nie były ciekawe. Zajął się innymi.

— Słuchajcie, dzieci — zawołał nagle — słuchajcie! Jest

list od pułkownika Bodineau. Píše, że Kuba Schroetter kupił sobie samochód.

— Widocznie likier Saint-Bruno dobrze mu poszedł — zrobiła uwagę Walentyna.

— Schroetter jest teraz we Franchimont na letnim wypoczynku. Przyjechał też z Warszawy ten drugi Polak, jego przyjaciel. O, to jest ważne, słuchajcie. Wszyscy trzej wybierają się samochodem do Brukseli. Pułkownik zakłada spółkę akcyjną. Na byłej posesji ojca Pirotte ma stanąć nowoczesny hotel-sanatorium pod nazwą „Cascade de Franchimont”.

— Potferdeke! — zawołał Błażej. — Ten pułkownik ma ostre tempo.

— Słuchajcie, dzieci — pan Ksawery podniósł głos — pułkownik i jego przyjaciele wybierają się samochodem tu, nad kanał, na nasze spotkanie. Chcą urządzić wesolą popijankę na pokładzie „La Belle Toinette”.

— No i widzi pan — przemówił Błażej — z tej głupiej paczki soli na porost kwiatów wyrośnie hotel-sanatorium. I po co się pan tak zamartwiał, patronie? A co do popijanki, to owszem, trzeba oblać kaskadę Franchimont, tak, trzeba ją uroczystie oblać.

— Boże — westchnęła Walentyna — te pijaki stratuja mi ogródek.

— Za to ja — rzekł Błażej — może się wreszcie dowiem od tamtego autora z Warszawy, jak to było naprawdę z pompejańskimi przygodami pułkownika Gastona Bodineau.

Leżeli na słońcu, pan Ksawery był zajęty przeglądaniem korespondencji.

— Najwyższy czas — odezwała się Walentyna — żebyś wreszcie wyjaśnił wszystkie te zagadki. Przecie to się ciągnie już drugi rok. Mówił mi wujaszek, że książka o pułkowniku Bodineau walenie się przyczyniła do choroby patrona.

— Tak, muszę to wyjaśnić, przypnę tamtego literata do ściany.

Płynęli. Filomena wymachiwała ogonem odpędzając mu-

chy. Słońce prażyło niemilosiernie*. Walentyna sięgnęła ręką do grządki, wyrwała kilka rzodkiewek, oplukała w wodzie i podzieliła się z Błażem. Gryźli je o niczym nie myśląc. Raptem usłyszeli głos pana Ksawerego:

— Olala! A to ci kawał!

— Co tam znów, patronie? — spytał Błażej.

— Twój papa jest w Brukseli.

— Tego nam brakowało.

— Był w naszym mieszkaniu na Petite rue des Bouchers, zostawił kartkę, a ciotka Teresa dołączyła ją do poczty.

— No i co jeszcze?

— Zamieszkał w „Metropolu”. Píše, że cofa poprzednie rygory i chce się z nami zobaczyć.

— Jeżeli papa taki czuł, to niech przyjedzie tu, na barcę.

— To chyba niezła myśl — przyznała Walentyna. — Twój ojciec wie od ciotki Teresy, że obaj pływacie. Napisz prawdę, Błażek, napisz, że nie możecie barki opuścić. Na pewno przyjedzie.

— Dobrze, napiszę jutro, dziś mi się nie chce.

Błażej wstał z pokładu, złapał wpół Walentynę i rzucił ją do wody. A potem sam skoczył. Baraszkowali przez kwadrans, zmęczeni się, siedli na burcie.

„La Belle Toinette” płynęła obok pastwisk poprzegradanych żywopłotami z tarniny. Pan Ksawery odpieczętował kopertę paryskiej agencji antykwarskiej „Intermédiaire des Chercheurs”. Znalazł kilka wycinków prasowych, którymi się zainteresował.

— Coś podobnego, Błażek, Błażek! Wyobraź sobie, jakiś wariat, a może geniusz, rozwiązał kwadraturę koła. Zapewnia w wywiadzie prasowym, że jego obliczenia zrobili dwaj profesorowie z Ecole Normale i nie znaleźli błędu. Coś podobnego!

* Opowieść dobiega końca. Warto wobec tego zaznaczyć, że wszystkie poprzednie przypiski, rozrzucone na kartach tej książki, są dziełem Autora. Jedynym autentycznym przypiskiem redakcyjnym jest tylko ten, ostatni. (Przyp. red.)

Krowy na pastwisku stanęły rzędem, podniosły głowy i bezmyślnymi ślepiami gapily się na barcę.

— Patronie — spytał Błażej — czy to prawda, że w warszawskich kawiarniach nazywają pana Quadratusem?

— Ze co w kawiarniach?

Ksawery nie dosłyszał, gdyż jedna z krów ryknęła przeciągle i zagłuszyła słowa. Był zresztą zajęty liczbami na wycinku prasowym i nic go na razie nie obchodziły kawiarnie.

Walentyna rzekła do Błażeja:

— Wiesz, trochę się boję spotkania z twoim ojcem.

— Odwagi, odwagi, ma brave pigeonke.

Poderwał ją z pokładu i rzucił do wody.

KONIEC

SPIS TREŚCI

<i>Od autora</i>	5
Rozdział I	
Pułkownik Bodineau przegląda poranną pocztę. — List od Kuby Schroettera. — Ponętne ruiny Opac- twa w Villers. — Spotkanie z Prosperem Pirot- te. — Kozia ferma. — Depesza Havasa. — Jak to było naprawdę. — Niewinnie oskarżeni	7
Rozdział II	
Przyjazd do Brukseli. — To nie jest w porząd- ku. — Namydlona uliczka. — W drodze do uni- werku. — Co się stało? — Pan Ksawery wiedza stare zaułki. — Kwiaciarka na dawnym miejs- cu. — Tu był mój stolik. — Tkliwa opowieść o gałązce mimozy	15
Rozdział III	
Wzmianka w gazecie. — Nic się nie zmieniło. — Straszny list z Warszawy. — Pan Ksawery rozpa- cza. — Dyskurs o megaliansach polskich hra- biów. — Oryginalny pomysł zarobkowania na ży- cie. — Depesza do Franchimont i uprzejma odpo- wiedź pułkownika	26
Rozdział IV	
Pan Ksawery jedzie do pułkownika. — Serdecznie powitany, zatrzymuje się w pobliskim Verviers. — Zaczyna pisać teksty do przenoszenia na kamień. — Oberża pod glicyniami. — Wymiana listów z Bła- żejem. — Kwaśne źródelko. — Stara litografia. — Pułkownik jest zachwycony	36
Rozdział V	
Dalsza wymiana korespondencji. — Co to jest „zwanze”? — Sól na porost kwiatów. — Błażej	

	w Bibliotece Królewskiej. — Telefon do fabrykanta likierów. — Pan Ksawery wraca do Brukseli. — Zjawia się Walentyna. — Odkurzacze na raty. — Och, Błażejku, odpukaj	46
Rozdział VI	Romantyczna tablica. — Dopisek zrobiony obcą ręką. — Na którego widok pan Ksawery posmutniał. — Jego wielka trema. — Wyjazd do Hoeke. — Ślady dawnej potęgi. — Tak, to jest koń. — Walentyna zgadza się im towarzyszyć. — Wyruszają samotrzeć na daleką wędrówkę	56
Rozdział VII	Prosto jak strzelił. — Kaprysy Filomeny i co z tego wynikło. — Sprzeczką w oberży. — Walentyna ściga się z kaczkami. — Ryba na haku. — Wspomnijmy życzliwym słowem flamandzkich „dziadów”. — Wieś-rezerwat. — Na horyzoncie Gandawa	64
Rozdział VIII	Dzień sobotni w Gandawie. — Błażej kupuje patentowaną wędkę Allcocka. — Dobry król Gambrius. — Pan Ksawery zmaltretowany przez okrutnych mieszczan. — Dramatyczna noc. — Co napisano w gazetach. — Walentyna pociesza patrona. — Lew Flandrii wkracza na pokład	75
Rozdział IX	Allcocks Colorado Spinner. — Ryby rzeczywiście same się łapią. — Słone jezioro Donk. — Przegryny zakład z oberżystą. — Walentyna wprowadza zamienny handel rybami. — Dziki dozorca służy. — Wielkie pranie. — Pan Ksawery zaczyna opowiadać	83
Rozdział X	Zajęty w całości przez opowieść pana Ksawerego. — O biskupie, co żrebec hodował. — O młodym pocię Marku. — O zamówionej przez biskupa pieśni. — O kamieniarzach, którzy tej pieśni nie chcieli śpiewać. — I o innej pieśni, którą chętnie śpiewali	91

Rozdział XI	Skrytykowana opowieść. — Wypad do Brukseli. — Pochwała hopjesów. — Co to jest idylla. — Jony w sadzawce ojca Pirotte. — Kraina krągłych piramid. — Ostatni szczupak. — Żandarmi na pokładzie „La Belle Toinette”. — Protokół i konfiskata błystki. — Walentyna kuleje	109
Rozdział XII	Podniecenie w mieście. — Małpa pilnuje ratusza. — Doudou. — Podział zarobków i szampan. — Bal pod gołym niebem. — Błażej gdzieś znikł. — Czyżby go wprowadziła kobieta? — Całocna boleść Walentyny. — Pan Ksawery paktuje ze św. Antonim	117
Rozdział XIII	Błażej wcielony do 11 pułku piechoty. — Nieporozumienie pana Ksawerego z majorem. — Od urzędu do urzędu. — Depesza i beznadziejna odpowiedź. — Tęsknota do proszków z kogutkiem. — I znów pan Ksawery odwiedza św. Antoniego. — Nagły powrót Błażeja. — Boże, ostrzygli go maszynką!	126
Rozdział XIV	I znów są w Brukseli. — A gruby major niech pęknie! — Początek roku szkolnego. — Błażej wstępuje na archeologię. — Opowieść o korporacji „Vistula”. — O obciętej brodzie honorowego prezesa. — Jak się pisze sennik egipski. — Wstępne kroki do sensacyjnego reportażu	134
Rozdział XV	Marché-aux-Puces. — Pan Ksawery kupuje fotel na biegunach. — Lekcja techniki dziennikarskiej. — Zaszczytne promocja na miłośnika fero. — Porto blanc goût belge. — Dzień św. Lamberta. — Czy długo czekał Samson?	145
Rozdział XVI	Kieszonkowe promienie X. — Troisty atak na wynalazcę. — Pan Ksawery nadal edukuje Błażeja. —	

Arystofanes i jego słoik z pachnidłami. — Pochwała odmieńców. — Salem alejkum. — Stale zadowolony, stale zdrów. — Jak wyglądała ich kasa	156
Rozdział XVII	
Pułkownik Bodineau w Brukseli. — Pokazuje przyjaciółom arcybiskupi przywilej na wyrób likieru. — Burzliwa licytacja. — Zaproszenie na ucztę do Anderlecht. — Walentyna woli się ulotnić. — Tygodnik „A Quoi Bon?” — Ksawery aż zasiał z radosnego wzruszenia	168
Rozdział XVIII	
Życie w tym dobrym mieście. — Zamówienie na nowy sennik. — Wstrząsający papierek z sądu. — Walentyna i Błażej szukają adwokata. — „Rozpaczam, proszę mi nie przerywać”. — Pułkownik Bodineau kupuje fermę ojca Pirotte. — Posępny grudzień	179
Rozdział XIX	
W obłokach dymu. — „Zionący Ogniem Pierrot”. — Pana Ksawerego dręczą wyrzuty sumienia. — Ostre kontrargumenty, z którymi wystąpił Błażej. — Opowieść o szambelanie papieskim. — Radio bez baterii. — Likier Św. Brunona. — Wędrówki po antykwarniach	188
Rozdział XX	
Popis wychowanków konserwatorium. — Telegraficzna pochwała likieru Saint-Bruno. — Straszny sen. — Szarża blaszanych budzików. — I znów dokuczliwa Justitia. — Kropelki doktora Paggello. — Pan Ksawery błaga pułkownika o przebaczenie. — Ostatnia noc przed procesem	201
Rozdział XXI	
Żałosna droga do sądu. — Za panem Ksawerym biegnie gromada kotów. — Woźni zarządzają obławę. — Cocorico! — Wycieczka do Montigny. — Partia szachów z marszałkiem Fochem. — Patronie, trzeba się leczyć	212

Rozdział XXII

Willa „Pervenche”. — Kwiaty na biurku patrona. — Koniec roku szkolnego. — Komisyjne otwarcie cudzego listu. — Kuba Schroetter daje wykrętne odpowiedzi. — Pułkownik Bodineau na ekranie. — Wielki wstrząs. — Kaskada Franchimont. — I znów są razem	224
---	-----